

Antoni Marczyński
CZARNA PANI



SK

Antoni Marczyński

CZARNA PANI

Spis treści

1. [Tajemnicze ostrzeżenie](#)
2. [Sobowtór](#)
3. [Przegany proces](#)
4. [Ruiny starego zamczyska](#)
5. [Najazd Mongołów](#)
6. [Zemsta Lorenza Del Medici](#)
7. [Tajemnicze spotkanie](#)
8. [Podwójny szantaż](#)
9. [Kompromitujący list](#)
10. [Wyznanie przedśmiertne](#)
11. [Partia pokera](#)
12. [Pałac w Żabnie](#)
13. [Dalsze dzieje Beatrycze Pazzi](#)
14. [Po śladach](#)
15. [Czyn szaleńca](#)
16. [Portfel z dokumentami](#)

Tekst wg wydania z 1928 r.

ROZDZIAŁ I

Tajemnicze ostrzeżenie

Tachometr pędzącej limuzyny wskazywał właśnie szybkość osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, kiedy z tubki, umieszczonej w pobliżu głowy szofera, padło głośno jedno słowo:

— Stój!!!

Kierowca zwolnił biegu, zahamował czym prędzej, a siedzący obok niego młodzieniec obrócił się wstecz, spoglądając ze zdumieniem w głąb limuzyny. Gdy potężny samochód zatrzymał się wreszcie, opadła mała szybka w szklanej ścianie, która przedzielała przednie siedzenie od reszty wozu.

— Dlaczego stanęliśmy? — zapytał silny głos męski z wnętrza auta.

— Jak to, dlaczego... Przecież zawołałeś: stój.

— Kto? Ja?!

— Czy ja wiem, czy ty? Może Staszek wołał..

— Słuchaj, Jędrzek, lubię dobre kawały, nie znoszę lichych, Staszek drzemie aż miło do tej pory, ja sobie

dumam spokojnie, a widząc, że auto stanęło w szczerym polu, pytam o przyczynę... Więc?...

— Co się stało? Dlaczego nie jedziemy? — zapytał zaspanym głosem trzeci mężczyzna, którego obudziła głośna sprzeczka dwóch towarzyszy podróży.

Andrzej opisał w kilkunastu słowach przebieg zdarzenia, a stary szofer potwierdził, że słyszał wyraźnie, jak z tubki padł rozkaz: stój. Wówczas Stanisław Dobromilski zwrócił się do siedzącego obok przyjaciela.

— Przecież nie mogło im się obu naraz przywidzieć... Ej, kuzynku, przyznaj się... Tyś był zapewne sprawcą...

Zainterpelowany zachnął się niecierpliwie:

— Ależ daję ci słowo honoru, że ust nie otworzyłem, kiedy spałeś,

— Więc kto?

— Mamy sobie też nad czym głowę łamać... Kto... kto... Może duch.

Andrzej roześmiał się wesoło, a Stanisław mruknął pod nosem:

— Kto wie? Kto wie, czy nie jest to jakieś

tajemnicze ostrzeżenie. — Głośno dodał: — Za szybko jedziemy jak na nocną porę.

— Phi! Osiemdziesiąt do dziewięćdziesięciu najwyżej.

— Bójże się Boga! Po tych naszych drogach?! I w nocy? Ależ to rzeczywiście można kark skrócić. Widać, jakieś opiekuńcze bóstwo nad nami czuwało i sprawiło, że ja się przebudziłem, aby was trochę przyhamować.

— Cha, cha, cha, cha, cha! A to doskonale! Nie przypuszczałem, że jesteś taki zabobonny, kuzynie dyplomato. No, no! Długo jeszcze będziemy stać w szczerym polu i rozmyślać nad tym „poważnym” problemem? Ani rano nie staniemy w twoim rodowym zamku, jeśli tak dalej pójdzie.

Mówiący nie mógł się powstrzymać od lekkiej, zazdrosnej ironii, gdy wspomniał o zamku Stanisława.

— Zaraz jedziemy... Janie, jak daleko będzie jeszcze do domu?

Szofer rozejrzył się po okolicy:

— Bliziotko, paniczu — odparł natychmiast. — O ile miarkuję, nie będzie stąd do rzeki, jak półtora lub dwa kilometry. Teraz jeszcze pojedziemy prosto, a

potem zakręcił i już most.

— A od mostu?

— Od mostu będzie z piętnaście kilometrów do pałacu.

— No, więc za dwadzieścia minut staniemy w domu.

— Powinniśmy tam stanąć o kwadrans na pierwszą. Pięć minut brakuje jeszcze do północy — dodał Andrzej, porównując czas swego zegarka z chronometrem automobilowym.

— Ruszajmy zatem i niech Jan jedzie najwyżej pięćdziesiąt na godzinę.

— Słucham panicza.

Stukonna isotta fraschini zawarczała i ruszyła z miejsca majestatycznie, błyskając ślepiami swych dużych latarni. Ale nie było jej dane ujechać bez wypadku daleko, bo niebawem na lewym przednim kole pękła z wielkim hukiem opona.

— Co tam znów?! — zapytał Stanisław, widząc, że wóz przystaje.

— Powietrze puściło — bąknął szofer, klnąc w duchu niefortunną jazdę dzisiejszą.

— Ładnie mi puściło. Guma strzeliła, jak z armaty — mówił Andrzej, wysiadając z auta.

— No, jedziemy z wyraźnym pechem. Czwarty raz, pęka od Krakowa. Ma pan chociaż w zapasie czwartą kiszkę?

— Otóż to właśnie — zaczął skwapliwie kierowca ucieszony, że mu ułatwiają tłumaczenie się. — Otóż właśnie, że nie mam. Kto by pomyślał! Cały garnitur nowusieńki wzięłem na drogę, a prócz tego trzy kieszki zapasowe. Ale ja w mig zalepię. Mały wulkanizator mam, oczywiście.

Andrzej wpadł w doskonały humor. Podszedł do drzwiczek oszklonej klatki limuzyny, które dwaj towarzysze podróży właśnie otworzyli.

— Jak wam się to podoba? Ja bo jestem zachwycony.

— A ja wam mówię, że to nowe ostrzeżenie. Coś ma nas spotkać w drodze.

— Ja bynajmniej — mruknął krępy kuzynek młodego gospodarza.

— Cha, cha, cha, cha, Stasiu, Wiesz, co nas ma spotkać? Rzeka. Słyszysz, jak szumi? Pójdę spojrzeć.

Skoro Jan naprawi gumę, zatrąbcie na mnie.

— Lepiej pojedziemy do mostu po ciebie.

— Prawda, a może i ty się przejdziesz ze mną?

— Nie. Nad wodą chłodno, a moje płuco jeszcze się nie zagoiło.

— A ty, Karolu, nie pójdziesz?

— Uprzejmie dziękuję za tę wątpliwą przyjemność.

— Ha!... Więc sam idę.

Raźno ruszył Andrzej gościńcem. Aż, do zakrętu szedł jasną smugą światła, które tryskało z latarni auta, oraz z reflektora zwanego Sucherem.

Wszędzie znać było ślady ogromnych deszczy, o których czytał jeszcze na wyjezdnym z Paryża. Łany przydrożnych zbóż chłopskich były zmięte, stłamszone. Dorodne żyto leżało miejscami pokotem.

— Dźwignie się do żniw, o ile znowu lać nie zacznie — szepnął i znów począł oglądać ślady niedawnej ulewy.

Po lewej ręce uchodziła do traktu polna droga. Czerniały tam jakieś głogi, tarniny, ostreżyny czy inne krzewy. W świetle księżyca, który wydostał się przed chwilą spoza szala obłoków, i w blaskach reflektorów

stojącej opodal limuzyny, wszystkie te krzaki wyglądały wymokłe jak po gruntownej kąpieli. Tylko wierzby, jako lubiące wilgoć, prezentowały się okazale. Ich pędy wyrastające z grubych pałek pni sterczały prosto, pokryte gęstwą listków.

Andrzej minął zakręt. Ujrzał nieco poniżej szeroką wstęgę rzeki przeciętej czarną linią mostu.

— Ho, ho — mruknął zdziwiony. Nigdy nie przypuszczałem, że San tak solidnie wygląda. Pewnie go deszcze upały do tego stopnia.

Szybko zeszedł aż do bariery mostu i przystanął jeszcze bardziej zdumiony.

Mętne nurty wezbranej rzeki dochodziły aż po same przęsła. Zdawały się muskać i lizać poprzeczne belki, na których spoczywała podłoga z desek. Po prawej, a więc południowej stronie zrobił się zator z kawałków drzew, z gałęzi, ze snopów słomy, wiązek siana i wszelakich przedmiotów, które powódź zmiata najchętniej. Filary mostu znikły zupełnie pod wodą.

Chłód i groza wiały z tych szumiących odmętów, które pławiły się w miesiąca srebrnej poświacie. Patrzący długo pałł oczy pięknym, choć groźnym,

widokiem.

W oddali zabrzmiała trąbka automobilowa. Andrzej odwrócił się plecami do rzeki i spojrzał w kierunku zarośniętego wierzbami zakrętu, gdzie powinna się była ukazać limuzyna.

Nagle z pomiędzy drzew wypadł cwałujący koń, z jeźdźcem na grzbiecie.

— Czarny jeździec i wierzchowiec kary — szepnął, obserwując zbliżającego się szybko rumaka.

Jeździec zatrzymał się tuż obok i wówczas spostrzegł Andrzej, że ma przed sobą kobietę. Bardzo piękną kobietę. Ubiór miała dość niezwykły, gdyż okrywała ją ogromna czarna peleryna, której fałdy spływały aż poza strzemiona. W jednym przelotnym spojrzeniu zdołał ogarnąć szlachetny owal twarzy, głęboko osadzone oczy, napięte silnie łuki brwi czarnych, wiśniową plamę maleńkich ust i gęstą łunę długich, hebanowych, rozplecionych włosów, rozwichrzonych szybką jazdą.

Amazonka podniosła szpicrutę, wskazała na rzekę, wykonała gest przeczenia, potem znów wskazała na most i zrobiła ruch szybki ku ziemi, nie mówiąc przy

tym ani słowa.

— Aha! Przesła nie utrzymają auta — bąknął domyślnie młodzieniec i chwycił dłonią za czapkę sportową, by złożyć ukłon. Ale w tejże chwili odskoczył, gdyż rumak, spięty ostrogami, dał ogromnego szczupaka i jak szalony wpadł na most. Kiedy w zwariowanym galopie dobiegł do przeciwległego brzegu Sanu, rozległ się nagle straszliwy trzask łamanych belek i desek. Środkowe przesło mostu ugięło się, skręciło, ruszyło z prądem. Nagromadzone w zatorze snopki, wiązki siana, odłamki drzewa czy gałęzie popłynęły natychmiast w stronę wyrwy...

— Jezus!... Maria! — zakrzyknął Andrzej, patrząc rozszerzonymi od zgrozy oczyma na rzekę. Nie słyszał nawet turkotu maszyny samochodu, który podjechał w międzyczasie i zatrzymał się tuż obok.

— Siadaj, Jędre!... Jedziemy.

— Stać! Ani kroku!... Wsiadaj i patrz!

Ton głosu mówiącego był tego rodzaju, że obaj młodzi ludzie zdecydowali się na bezzwłoczne opuszczenie ciepłego wnętrza limuzyny.

— Co? Dlaczego?

— Patrz! Tam płynie... środkowe przeszło... Śmierć przeszła koło nas... Bylibyśmy runęli do wody.

— Och, zaraz śmierć. Ja pływam doskonale. Kuzyn Stanisława lubił zaznaczać przy każdej sposobności, że jest zwołanym sportsmenem.

— Tak, umiesz pływać w kostiumie kąpielowym i w basenie. Ja także potrafię... Ale nie w ubraniu, po wezbranej rzece górskiej... A zresztą nim byś się wyplątał z głębi limuzyny, dawno byłoby po tobie... Boże!... Boże! I ta dzielna dziewczyna miała odwagę jechać tędy, wiedząc, że most runie.

— Kto taki?

— Jaka znów dziewczyna?

— Przecież musiała koło was przejechać. Stamtąd przybyła. — Wskazał ręką na drogę, którą samochód zbliżył się do rzeki.

— Koło nas przejechać? Dziewczyna?! Jędreku, ty dziś bredzisz.

Podniecony wypadkami, których był świadkiem przed chwilą, zaczął pospiesznie opowiadać przebieg spotkania z amazonką...

— Jak była ubrana? — zapytał Stanisław głosem lekko zmienionym.

— Czarna, ogromna peleryna, spięta na piersiach złotym łańcuszkiem. Nic więcej nie zauważyłem. Aha!... Czarne, długie włosy...

— A koń?

— Jak heban... Wspaniałe zwierzę...

Stanisław milczał przez chwilę, a potem rzekł z naciskiem:

— Teraz odpowiedz mi na jedno pytanie, ale namyśl się dobrze.

— Słucham.

— Czy tętent tego wierzchowca nie wydał ci się niezwykle, charakterystyczny? Przypomnij sobie...

Andrzej Kaszowski uderzył się dłonią w czoło:

— Tak... tak... Samemu mi to nawet na myśl przyszło, ale pod wpływem świeższego wrażenia, katastrofy tego mostu... zapomniałem ci powiedzieć.

— No, no?

— Ja wcale tętentu nie słyszałem.

— Bredzisz — rzekł Karol! — Na moście musiało dudnić aż miło.

— Ależ wierzcie mi, że zupełnie nie było słyhać. Koń pędził w szalonym galopie, a pomimo to... była cisza zupełna... Tak... tak. Mógłbym przysiąc, że nic nie słyszałem. Przesunął się koło mnie jak cień, jak duch.

Coraz lepiej. — Karol poklepał mówiącego po ramieniu:

— Jędrzek, zastanów się, co gadasz. Musiało cię zawiąć od tej romantycznej rzeki. Cha, cha, cha, Staszкови nie dziwiłbym się wcale, ale ty... ty, człowiek trzeźwy, zrównoważony... Przecież to absurd, żeby koń przebiegł most bez hałasu, choćby nawet miał pantofle filcowe na nogach... Absurd!... Absurd!

— Są rzeczy, o których się nie śniło waszym filozofom.

— Zostawże, Stasiu, nieboszczyka Szekspira w spokoju i wracajmy jaką inną drogą... Dobrze przewidywałem, że na rano staniemy na miejscu...

— Tak... Musimy szukać innego mostu... Janie, którędy pojedziemy?

Trzej młodzieńcy rzucili pytające spojrzenia w stronę szofera i równocześnie wydali lekki okrzyk zdziwienia. Stary, spokojny zawsze kierowca stał obok,

przysłuchując się w milczeniu prowadzonej rozmowie. Ale w tej chwili twarz jego była zmieniona nie do poznania. Znikł wyraz pewności siebie, zimnej krwi flegmy godnej Anglika i bajecznego spokoju, z jakim prowadził auto z największą chyżością po karkołomnych górskich drogach, z jakim lawirował pośród powodzi furmanek, których woźnice popili się na targach i spali na wozach, pozostawiając konie ich instynktowi oraz boskiej opiece. Teraz stał Jan błady jak ściana, szczękając zębami ze strachu.

— Co się Janowi stało?

— Pani... czu... taż ja... byłbym.. panicza... utopił... gdy... by...

— No, no, uspokójcie się... Nic się przecież nie stało.

— Paniczu... to... była na pewno... ona!

Stanisław zmarszczył się trochę.

— Pytałem się Jana, którądy pojedziemy — rzekł zimno, urzędowo. — Gdzie tu jest najbliższy most?

— Musimy wykręcić na prawo, do Sanoka, paniczu.

— Więc dobrze. Tylko tutaj nie da się nawrócić

tak długim wozem.

Andrzej Kaszowski wmieszał się do rozmowy:

— Tam, koło zakrętu, widziałem polną drogę. Trzeba auto cofnąć tyłem, skrócić w tę drożynę i nawrócić dopiero. Tu wszędzie za wąsko.

— Doskonale zatem. Niech Jan rusza zaraz.

— Ale ty, Stasiu, sobie zaszkodzisz... Zimno wieje od wody. Siadaj do środka z Karolem. Ja pójdę koło wozu, aby Jan nas do rowu nie wyspał podczas cofania.

Kiedy wreszcie minięto zakręt i limuzyna puściła się w powrotną drogę aż do poprzecznego traktu, wiodącego do Sanoka, Andrzej przesiadł się do wnętrza oszklonej klatki wozu i zasypał pytaniami przyjaciela:

— Kogo Jan miał na myśli? — mówił. — Któż to jest ta tajemnicza ona, na której wspomnienie wasz flegmatyczny szofer dreszczy dostał. Czy uwierzysz, że się przeżegnał trzy razy, zanim usiadł przy kierownicy? Wietrzę jakąś niesamowitą historię... No, powiedz, Stasiu...

Ale Stanisław Dobromiński stał się dziwnie

małomówny. Naciśnięty przez dwóch towarzyszy podróży, rzekł wreszcie:

— Przede wszystkim, proszę was bardzo, abyście przy moim ojcu ani słowem nie wspomnieli o całej historii. On tego strasznie nie lubi... Bardzo was proszę...

— Przyrzekam ci. lecz twoje zastrzeżenie zaciekawia mnie tym bardziej.. Więc któż to jest owa dama?

— Beatrycze Pazzi — odparł niechętnie.

— Włoszka?...

— Uhum... Ale więcej ani słowa na ten temat. Krzysia wam wszystko opowie, byle nie przy ojcu. Ona się ogromnie interesuje... Czarną Panią.

— Czarna Pani... Czarna Pani... To brzmi wcale romantycznie.

Andrzej przypuszczał, że uda mu się wciągnąć przyjaciela w dalszą pogawędkę, lecz Stanisław oparł się wygodnie o poduszki siedzenia limuzyny i zasnął zaraz, lub udawał, że śpi.

Szofer Jan jechał teraz bardzo ostrożnie. Nawet na najlepszych odcinkach drogi nie rozwijał większej

chyżości niż pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Resory limuzyny kołysały wspaniale, toteż niebawem zdrzemnął się także Karol, znużony długą jazdą.

Tylko Andrzej Kaszowski nie mógł zasnąć, pomimo najszczerzych chęci. Majaczyła mu wciąż blada twarzyczka amazonki, jej głębokie a podłużne oczy, jej włosy czarne, puszyste i ust wiśniowych plama.

ROZDZIAŁ II

Sobowtór

Po obfitym posiłku, przetraconym najpierw wystawą starką, a potem winem zakropionym, czterej panowie przeszli na cygaro do gabinetu gospodarza. Stary pan Dobromilski miał wprawdzie nieklamana ochęć raz jeszcze uściskać syna, a potem pójść spać (jako że sypiać dobrze lubił a pora była mocno spóźniona), niemniej jednak zajął się gośćmi i bawił ich rozmową na swój sposób. Zaczęło się, oczywiście, od genealogii. Zaczęło się od genealogii jeszcze i z tego powodu, że Stanisław przedstawił jednego ze swych towarzyszy, jako kuzyna. Starszy pan nie mógł się ani rusz wyznaczyć w owym pokrewieństwie. Czuły i wrażliwy na punkcie swego rodu, zagadnął gościa wcale zręcznie o rodzinę. Zainterpelowany uśmiechnął się kącikami ust, ale nie pozostał dłużny odpowiedzi:

— Zaraz panu hrabiemu wywiode naszą parentelę. Otóż matka pana hrabiego, była z domu Goślicka...

— Tak... Mater mea de domo fuit Zofia Grzymała

Goślicka.

— Przyrodnia siostra Zofii Goślickiej, Maria, wyszła za mąż za Ernesta Zabłockiego i miała jedyną córkę... Lilianę.

— Aha... Lilianę — mruknął stary Dobromilski, starając się robić minę jak najmniej kwaśną, albowiem przypomniał sobie natychmiast daleką kuzyneczkę Lili, której rodzina wypierała się skwapliwie z powodu skandalicznego prowadzenia się. Wiadomość, że parentela z nowym „kuzynem” wiezie przez piękną Lili, bardzo chłodno nastroiła gospodarza wobec gościa. A dalsze wywody nie poprawiły sytuacji bynajmniej.

— Lili Zabłocka była moją macochą.

— Macochą?... No, proszę.

— Tak, panie hrabio. Najmilszą, najlepszą macochą, jaką sobie można wyobrazić, biorąc pod uwagę uprzedzenie, jakie do wszystkich teściowych oraz macoch na całym świecie panuje. Niestety, była nią bardzo krótko, gdyż jej charakter nie zgadzał się z charakterem mego ojca...

— A ojcu było... zaraz.. zaraz.. jakże mu było?

Aha... Karol — łąał starszy pan, albowiem nigdy nie interesował się nazwiskami wszystkich mężów i przyjaciół wyklętej z rodu Lili.

— Nie, panie hrabio... To mnie jest Karol... Ojcu było na imię Franciszek.

— Ach prawda!... Franciszek Dawidowski...

— Dawidowicz.

Ostatnie słowo wypadło ogromnie cicho i dyskretnie, ale stary pan czuwał uważnie. Przy przedstawianiu nie dosłyszał „godności” świeżego kuzynka. Usłyszał tylko: Dawid, a końcówka rozprysnęła się w powietrzu. Toteż tym razem dobrze uszu nadstawił i skwaśniały do reszty humor starał się ocukrzyć przyjemnym wyrazem twarzy, zręcząc w duchu: — Ten Staszek ma zawsze pomysły. Ależ to jakaś dziesiąta woda po kisielu, albo jeszcze mniej! Ni brat, ni swat, tylko jakiś... Da...wi...do...wicz i ma pretensje do pokrewieństwa. Dawidowicz, Dawidowicz. Licho wie, co zacz. Może przechrzta, a w najlepszym razie Ormianin.

Ale że wypadło coś rzec na zakończenie familijnych wywodów, chrząknął pan August

Dobromilski i powiedział:

— Jak z tego widzę, jesteście rzeczywiście w powinowactwie. Bardzo się cieszę... bardzo.

Jednakże „bardzo wielka uciecha” wypadła bardzo chłodno. Więc Karol Dawidowicz przygryzł wargi, a potem zwrócił się z jakimś pytaniem do Stanisława, któremu nie w smak była indagacja papy. Gospodarz zainteresował się z kolei drugim gościem, lecz tym razem był znacznie serdeczniejszy. Przede wszystkim Andrzej Kaszowski nie czynił się żadnym kuzynem, a choćby nawet tak było, to warci Kaszowscy Dobromilskich. Toż Dersław Kaszowski herbu Janina, podpisywał traktat z Krzyżakami w roku 1436. Toż Jan Teodor był koniuszym litewskim za Sobieskiego. Niejednego senatora Rzeczypospolitej wydał ze swego pnia stary ród Kaszowskich. Poza tym młody Andrzej Kaszowski był najlepszym przyjacielem Staszka i po owym pojedynku w Paryżu, nie odstępował rannego ani na chwilę, o czym starszy pan z listów syna dobrze wiedział. To też August Dobromilski w ciepłych słowach zaczął mu dziękować za opiekę nad synem, a korzystając z tego, pochylił się Stanisław do

„powinowatego kuzyna” i szepnął mu nieznacznie:

— Nie tytułujże papy per hrabia. On tego nie lubi.

— Tak? No, proszę! A ja byłem wprost przeciwnego zdania,

— Żartujesz chyba...

— Mówię serio, że zdawało mi się...

— To kiepski z ciebie psycholog,

— Widzę to właśnie.

Zdawało się Staszкови, że lekka ironia dźwięczy w słowach Karola,

Po jakimś czasie, kiedy papa-gospodarz nacieszył się już rozmową z Andrzejem, uznał za stosowne nawiązać pogawędkę ze synem. Goście nie powinni mieć chyba o to pretensji. Przecież im pierwsze zdania poświęcił...

— Jakże tam twoja rana? — zaczął.

— Dziękuję, papo. Moja rana miewa się niezgorzej. Trochę na płuca teraz kwękam, ale bo też to było śliczne pchnięcie.

— Śliczne nieśliczne. Mogłeś zostać na placu. Sądzę, że Hiszpan także wziął dobrą pamiętkę. Co?

— Owszem, chociaż udało mi się go ranić całkiem

przypadkowo.

— Nie bądź taki skromny.

Stanisław nie zauważył wąskiej zmarszczki niezadowolenia na czole ojcowskim. Rozpędziwszy się, brnął dalej:

— Nie jestem wcale skromny. Niech Jędrrek poświadczy, jaki to był mistrz. Przez cały czas walki ja się trzymałem w defensywie, mówiąc językiem wielkiej wojny... On wciąż atakował.

— Jednakże ranieś go w końcu. — upierał się starszy pan, w którym ożyły rycerskie ambicje.

— Ranilem przypadkowo. Po prostu zderzyliśmy się ze sobą. Żaden z nas nie wykonał prawidłowej parady i jednocześnie zrobiliśmy wypad. Ja dostałem sztych w piersi, o tutaj, a on nabił się brodą na ostrze mojej wyciągniętej szpady.

— Więc nie nabił się, lecz trafiłeś go w brodę. I co? Zęby poszły?

— A tak. Zeszpecilem Hiszpana, gdyż stracił kilka przednich zębów, które były jego prawdziwą ozdobą i chlubą.

— O, Hiszpanie mają śliczne zęby — wtrącił

Dawidowicz,

Stary pan odparł słodko:

— Nie wszyscy, nie wszyscy. Widziałem w Rio de Janeiro przeważnie takich, co mieli zęby zupełnie spróchniałe. — W ten sposób pan August poinformował pana Dawidowicza mimochodem, że był niegdyś w Brazylii i spodziewał się, iż będzie okazja do potrącenia o ulubiony temat... podróże. Ale Karol, który poza Francją oraz południową Europą nie miał dalszych wojażów na sumieniu, nie kwapił się bynajmniej do rozmowy na temat niepewny, zwłaszcza z Augustem Dobromilskim, który niegdyś, za młodych lat, połowę majątku „ulokował” w egzotycznych podróżach. Tak więc rozmowa potoczyła się nadal o pojedyńku.

— A o co wam poszło właściwie, bo pisałeś tak niejasno.

— Co, papo?

— Cha, cha, cha. Unikasz odpowiedzi, aby zebrać czas do namysłu. No, zgaduję, zgaduję. Cherchez la femme! Co? Nie gniewam się, Stasiu. Wcale się nie gniewam. Dobromilscy zawsze stawiali z orężem w rękę

w dam obronie.

Tu zerknął senior Dobromilski w kierunku niewyraźnego kuzyna, jak gdyby go pytał wzrokiem, czy Da...wi...do...wi...cze w ogóle kiedykolwiek z orężem w dłoni stawali, a jeżeli się tak nawet przypadkiem wydarzyło, to czy w obronie dam, czyli też raczej w obronie worków kawy, korzeni lub skórek w czasie karawanowych podróży ze Wschodu.

Tymczasem Stanisław powtórzył pytanie, jakie zadał ojcu zaraz po przybyciu do domu:

— A Krysia już do nas nie wyjdzie?

— Czekala do północy i była bardzo niespokojna. Wiesz, jaka ona jest wrażliwa. Wciąż jakieś przeczucia i przeczucia, a dzisiaj romantyzm nie w modzie.

— Jestem wręcz przeciwnego zdania — zaczął Andrzej, wciąż jeszcze myśląc o niezwykłych zdarzeniach nocy dzisiejszej, ale uciał momentalnie zgromiony spojrzeniami obu przyjaciół. Przypomnił sobie, że Stanisław prosił ich gorąco, aby nic o tajemniczych ostrzeżeniach ojcu nie wspominać. Stanisław mówił, że ojciec takich historii nie lubi, bo wstydził się powiedzieć całej prawdy, a mianowicie, iż

pan August boi się panicznie wszelkich opowiadań o duchach i innych niesamowitościach, od których roją się okolice, zamieszkiwane niegdyś przez ród przesławnych Herburtów.

— Nie chcę się z panem sprzeczać na ten temat — rzekł gospodarz, zwracając się w stronę młodszego przyjaciela swego syna. — Czy jednakże nie może to zdenerwować starszego człowieka, jeśli córka co chwilę wykrzykuje: Musiało im się coś stać w drodze... Papo, im grozi straszne niebezpieczeństwo... Papo, ja przeczuwam — i tak w kółko. Istna rozpacz!

— I Krzysia dzisiaj to mówiła?

— Właśnie. Biła dwunasta, kiedy mnie przestraszyła takim wykrzyknikiem. Zirytowałem się trochę i kazałem jej się spać położyć. Swoją drogą oczekiwaliśmy was koło dziesiątej wieczór, jak brzmiała treść depeszy. Tymczasem teraz mamy... teraz mamy, o proszę... czwarta dochodzi.

Starszy pan przerwał nagle swe utyskiwania. Wydało mu się, że trzej młodzi porozumiewają się ze sobą wzrokiem. Wobec takiego nietaktu, okrył się co prędzej togą lekkiego oburzenia i zademonstrował je

milczeniem. Tymczasem Andrzej spoglądał wciąż zdumionym wzrokiem na Karola, Karol na Staszka, a ten znów na Andrzeja. Wszyscy trzej przypomnieli sobie równocześnie, że kiedy padł tajemniczy rozkaz: Stój, brakowało pięć minut do północy, co przecież na zegarkach sprawdzali. Był to więc albo osobliwy zbieg okoliczności, albo przyczynek do romantycznych, niezrozumiałych wydarzeń księżycowej nocy...

— Hm — chrząknął wreszcie Dobromilski senior, aby jakoś przerwać milczenie. Stanisław podjął wątek urwanej rozmowy:

— Rzeczywiście, spóźniliśmy się trochę, drogi papo.

— Ładnie trochę. Sześć godzin prawie. Pewnie zabawiliście się w Krakowie.

— Och, papo! Po Paryżu? Jak można w ogóle mówić o zabawieniu się w Krakowie, po bezpośrednim przyjeździe z Paryża. Po prostu pech nas w drodze prześladował. Cztery razy kiszka pękła.

— Niemożliwe! Kazałem Janowi założyć nowy garnitur na wyjeździe do Krakowa.

— Był nowy. Oglądaliśmy.

— Ach, te nasze polskie drogi! Cóż? Gwóźdź czy szkło?

— Ani jedno, ani drugie, i polska droga też nie zawiniła tym razem.

— Więc przyciął kiszkę przy zakładaniu... Nie! To niemożliwe! Jan jest naprawdę wyjątkowo starannym szoferem. Zresztą mogłoby mu się podobne niedbalstwo raz wydarzyć, ale nie cztery razy. Wykluczone!

Dawidowicz, jako zawołany sportsmen, uczył się najbardziej powołanym do interweniowania. Rzekł więc:

— Ani jedna kiszka nie była przycięta. Jestem starym automobilistą i każdy, nawet najdrobniejszy, wypadek żywo mnie interesuje. Oglądałem wszystkie cztery szlauchy. Wszystkie mają jednakowe dziury.

— A przyczyna?

— Gdyby nie to, że jechaliśmy nocą i że droga mokra po deszczach, powiedziałbym, iż pękły z gorąca.

— Z gorąca?! — Niezbyt ukrywana ironia drgała w pytaniu gospodarza. Dawidowicz zastrzegł się szybko:

— Ja też tego wcale nie twierdzę.

— Więc?

— Zły gatunek gumy. Za słaba na ciężką, stukonną limuzyną. Swoją drogą Jan pompuje za dużo powietrza. Zwróciłem mu już na to uwagę.

— Niechby i tak było, ale czy z tego mogła wyniknąć pięciogodzinna zwłoka? Jan zmienia kiszkę w przeciągu dwunastu do szesnastu minut. Nieraz sam stwierdziłem z zegarkiem w ręku.

— Kołowaliśmy, papo, na Sanok.

— W imię Ojca!... Na Sanok?

— A tak, papusiu. Wstąpił do piekieł, po drodze mu było.

— No, no; wiesz Stasiu, że nie lubię, kiedy się robi parodię ze słów modlitwy. Czemuż to na Sanok, a nie na Przemyśl, na ten przykład?...

— Jechaliśmy na bliższe drogi — zaczął syn i urwał nagle, bo w tym momencie rozwarły się przymknięte drzwi przyległego pokoju. Stała w nich panna może dwudziestoletnia.

— Krzychna!

Stanisław zerwał się z klubowca i pośpieszył

naprzeciw siostry. Panowie powstali szybko. Papa Dobromilski sam dokonywał prezentacji, obawiając się, że porywczy jednak wyrwie się znowu z niepewnym kuzynostwem pana Dawidowicza. Przewidywał słusznie, albowiem kiedy przedstawił córcie Karola, Stanisław nie omieszkał dodać:

— Nasz kuzynek, Krzysiu.

Gospodarz skrzywił się znowu: — Muszę jutro z chłopcem pogadać — mruknął cichuteńko. — Głupstwo o Krystynę, ale on mnie gotów wsypać przed kimś z sąsiedztwa. Ładna byłaby historia... Dawidowicz! Kuzyn Dawidowicz! Och, Boże... Tego mi jeszcze do szczęścia potrzeba!

Po zawarciu znajomości całe towarzystwo zasiadło przy butelce wina do dalszej pogawędki. Rozmowa toczyła się gładko, a Dawidowicz okazał się wnet mistrzem w konwersacji. Natomiast Andrzej odpowiadał monosylabami i patrzył w przybyłą jak w tęczę. Oto miał przed sobą tajemniczą amazonkę, która im wszystkim tej nocy życie ocaliła. Powtarzał sobie w duchu, że to absurd, niemożliwość. Przecież stary Dobromilski opowiadał przed chwilą, iż do samej

północy oczekiwali wraz z córką przyjazdu gości. A o północy widział Andrzej piękną amazonkę przy zerwanym moście na Sanie. Jakże więc jedna i ta sama osoba mogła się znajdować równocześnie w dwóch miejscach odległych od siebie o przeszło piętnaście kilometrów?

Absurd!... A jednak? Jednak Andrzej byłby gotów przysiąc, że widział tę samą twarz, tę samą osobę. Te oczy głębokie, wyraziste, klasyczny owal twarzy, brwi czarnych łuki niezrównane, wiśniową plamę ust, postać wysmukłą, królewską i włosy jak heban.

Włosy!... Tak... To była jedyna różnica...

Panna Krystyna miała włosy krótko ucięte. Długie kosy miał tamten sobowtór.

ROZDZIAŁ III

Przegany proces

Trzej przyjaciele, zmęczeni emocjonującą jazdą nocną, spali do samego południa. Po obiedzie całe towarzystwo przeniosło się do wspaniałego parku, który pałac z trzech stron okalał. Kiedy ochłodziło się nieco, panna Krystyna zaproponowała partię tenisa, podrażniona przechwałkami Dawidowicza, który opowiadał długo i szeroko o swych sukcesach we wszelakich gałęziach sportu. Panowie powrócili więc do gościnnych pokoi, aby się przebrać, a kiedy przyszedli na boisko, Krystyna oczekiwała ich już z rakieta w ręku.

Gra w czwórkę nie przyniosła żadnych emocji, toteż po kilku gemach zgodzono się jednogłośnie na urządzenie małego turnieju. Los dał Stanisławowi Dobromilskiemu za przeciwnika Karola. Dawidowicz uwiął się szybko z partnerem. W obu setach pozwolił mu wspaniałomyślnie zrobić po jednym gemie honorowym i jako zwycięzca zszedł z boiska,

— Sześć do jednego i sześć do jednego — ogłosił pan August z miną bardzo kwaśną, zstępując na dół po spadzistych schodkach wysokiego krzesła sędziowskiego. Fakt, że syn został sromotnie pokonany przez Dawidowicza, usposobił starszego pana jeszcze gorzej wobec uzurpatorskiego kuzyna.

— No, no. Nie przypuszczałem, że z ciebie taki mistrz. Jak ty ostro serwujesz — mówił Andrzej do Karola.

Dawidowicz uśmiechnął się lekko i protekcyjnie poklepał Stanisława po ramieniu:

— Staś ma dzisiaj swój kiepski dzień — odparł nie bez zarzucia — a ja jestem właśnie świetnie dysponowany, chociaż jeszcze nie osiągnąłem swej dawnej formy. Zresztą, on nie trenował tyle czasu, z powodu pojedynku.

— Krzysiu, na ciebie kolej. Wstępuj w szranki i pomścij moją klęskę.

— Zdaje się, że nie tylko nie pomszczę, ale przegram w jeszcze gorszym stosunku. Tyś uzyskał przy najmniej po jednym gemie...

— Honorowym..

— A właśnie. Pytanie, czy ja choć tyle osiągnę.

Andrzej Kaszowski wmieszał się do rozmowy rodzeństwa:

— Och, proszę pani, tak źle nie będzie. Mnie daleko do klasy Karola. Gram bardzo słabo.

— Nie wierzę.

— Nie prawcie sobie wzajemnie grzeczności, lecz zaczynajcie, inaczej trzeba będzie finałową rozgrywkę odłożyć do jutra... — wołał Stanisław, rozglądając się za ojcem, który honorowy „urząd” sędziego sprawował.

Ale pan August dość miał porażki jednego dziecka. Miłość rodzicielska nie pozwalała mu patrzeć na dalsze porażki, a dobiła go zupełnie poufałość „tego Dawidowicza”, który Stasia protekcyjnie klepał po ramieniu i pocieszał po klęsce.

Przemaszerował samym środkiem dziedzińca, rzucając krótkie lecz badawcze spojrzenia w kierunku nieczynnej obecnie gorzelni, w kierunku obory, stajen folwarcznych i stodół, lecz nigdzie nie znalazł kozła ofiarnego, nigdzie nie wykrył żadnego niedbalstwa, za które mógłby wylać zółć na karbowego czy rządę.

Przedefilował wreszcie koło podłużnej szopy, która chroniła wozy oraz maszyny gospodarcze przed deszczami i rozsychaniem się na słońcu i z całą satysfakcją stwierdził, że siewnik do sztucznych nawozów jest za płytko wciągnięty pod dach, że prawdopodobnie zaciekało doń w czasie ulewy, jaka się dopiero przedwczoraj skończyła.

Ten fakt zanotował sobie dobrze w pamięci i cieszył się już z góry, jaką z tego tytułu szpilkę wsunie administratorowi, który zwykł był mawiać chełpliwie: — Przy moich rządach ani dyszel nie śmie moknąć na deszczu. Cha, cha, cha, cha. A tu nie głupi dyszel, jaki sobie łatwo wyciosać można przy ogromnym bogactwie twardego drzewa, ale drogi siewnik moknął w czasie ulewy.

Tak rozmyślając, przeszedł pan August wzdłuż potężnego spichrza, wzdłuż chlewów i stanąwszy w szerokich wrotach obejścia gospodarskiego, mruknął z głębokim przekonaniem:

— Stara to jak świat prawda, że pańskie oko konia tuczy.

Nie przyszło mu tylko na myśl, że gdyby się

pofatygował hen, w pola swego majątku, znalazłby dużo więcej okazji do zastosowania mądrej maksymy. Inna natomiast myśl zaświtała w głowie starego Dobromilskiego. Spojrzał na zegarek osadzony w bransoletce i stwierdził głośno:

— Powinien tu być od półgodziny. Zasiedzi się zawsze łobuz w mieście, a potem zajeżdża mi konie.

To utyskiwanie odnosiło się do syna szofera, Franka, który jeździł codziennie konno do miasteczka po pocztę...

Przewidując, że chłopak zachce odrobić zasiedzenie w mieście i będzie gnał konia aż do zakrętu, który drogę zasłaniał, podążył pan August naprzeciw oczekiwanego jeźdźca. Jakoż słuszne były przewidywania, albowiem zaledwie stanął w tym miejscu, gdzie droga załamywała się pod kątem jakich czterdziestu pięciu stopni i tworzyła wydatne kolano, ujrzał w oddali tuman kurzu który zbliżał się z wielką szybkością. Wsunął się więc za najbliższy kasztan, sapiąc ze złości:

— Nie mówiłem! Poczekaj, łajdaku! Dam ja ci konia. Pieszko będziesz od dzisiaj na pocztę chodzić —

mruczał.

A Franek pędził rzeczywiście na złamanie karku, nie przewidując, jakie go czeka przywitanie. Do zakrętu czuł się zupełnie bezpieczny, gdyż przydrożne kasztany zasłaniały mu nie tylko widok na zabudowania folwarczne, ale także na pałac, wysoko, w tyle poza folwarkiem leżący.

— Nie widzę ja nikogo, to i mnie nikt nie widzi, a wedle krzyża zwolnię — rozumował i butami dawał „ostrogę” szkapie, nie uwzględniając w swej kalkulacji tego, że zniecierpliwiony dziedzic we własnej osobie wyjdzie mu naprzeciw.

— Teraz zwalniasz, trutniu?! — warknął pan August, wychylając się niespodzianie spoza pnia rosnącego kasztana.

— O rany boskie! — jęknął Franek, zsuwając się z siodła błyskawicznie. Przeciągnął szybko uzdę przez rękę aż do łokcia i mnąc w dłoniach kapelusz, zbliżył się z miną skazańca do nasrożonego chlebodawcy. A pan August milczał długą chwilę i baczny okiem lustrował wygląd zdyszanej szkapy roboczej, której w dniu dzisiejszym przypadł zaszczyt służenia Frankowi za

wierzchowca.

— Gdzieś był tyle czasu? .

— Jaśnie panie hrabio — jękał się Franek — musiałem objeżdżać przez Kadłubiec, bo...

— Przez Kadłubiec? A to po co?!...

— Bo... bo... nie śmiałem jechać skroś dębny.

— Gadaj no prawdę! Bez żadnych wykrętów.

Franek wyrznął się kulakiem w piersi, aż zadudniło, na znak, że mówi szczerą prawdę.

— Sumiennie mówię, że nie śmiałem, jaśnie panie hrabio. Od dębiny tak blisko do ruin, a tam znów... straszy.

Stary Dobromilski syknął tak, jak gdyby zapalone cygaro wsunął w usta żarzącym się końcem.

— Już ja powiem twemu ojcu, żeby cię jeszcze dzisiaj namacalnie harapem postraszył.

— Właśnie ojciec o tym mówił, jaśnie panie hrabio. Ojciec byłby panicza utopił w nocy, bo most spłynął na Sanie, ino... ona się pokazała jednemu z młodych panów i przez to nie wpadli wszyscy do rzeki.

— Jaka ona? — zapytał Dobromilski głosem bardzo niepewnym.

— No, ona... jaśnie panie hrabio... Czarna... Pani...

— Dawaj pocztę, bałwanie. Konia odprowadź do stajni.

Franek rad, że groźna burza przeszła tak lekko i nieszkodliwie, podał skwapliwie torbę z pocztą i ruszył w stronę niedalekich wrót zabudowań, prowadząc konia za sobą. Ale nie uszedł ani dwudziestu kroków, kiedy pan August kazał mu się zatrzymać.

— Rety!... Przypomniiał sobie, że mnie nie zbeszał — pomyślał syn szofera, lecz omylił się w swych przewidywaniach, bo Dobromilski spytał dość łagodnym tonem:

— Cóż tam twój ojciec naopowiadał o... tej... historii?

Dumny z tego, że przypadł mu zaszczyt prowadzenia dłuższej rozmowy z samym „jaśnie hrabią”, zreferował Franek nocne wydarzenie, o którym słyszał z ust ojca tego ranka. Nie szczędził przy tym ani słów, ani barw mocnych. Na własną odpowiedzialność dołożył do jednego przesła mostowego trzy dalsze, opisał Czarną Panią z wszystkimi szczegółami, chociaż

ani on sam, ani jego ojciec, nigdy jej na oczy nie widzieli. Przy tej sposobności dorobił piekielnemu rumakowi płomienie z pyska buchające, dla efektu rzucił kilka błyskawic i piorunów. Całość wypadła imponująco, przynajmniej w opinii Franka... Ale pan August był innego snadź zdania, bo zmarszczył się gniewnie i odsyłając chłopca, rzucił mu na pożegnanie:

— Powiesz ojcu, żeby jutro rano przyszedł do mnie. Ja was oduczę zajmowania się bredniami. Roboty macie za mało, stąd jest czas na bajki.

Długi czas drapał się Franek prawą ręką za lewym uchem i medytował przez drogę żałośnie:

— Tom sobie narobił!... Ze złego wlażem w jeszcze gorsze. Wylgałem się z gnania szkapy, a teraz odpokutuję za tę Czarną... Na psa urok, żeby mi się jeszcze we śnie nie pokazała... O rany boskie, jakże ja to staremu powiem? Zerznie mnie jak drut. Jak na złość, musiał se nowy pasek sprawić. Tamten już słabo ciągnął, ale ten? Nic mu najlepiej nie powiem, może on se zapomni do jutra. Iiii! Miałby o czym pamiętać ... taki pan! Jeszcze teraz, kiedy ma gości! Nic nie powiem i już. Mogłem se przecież też zapomnieć.

Tak więc szybko minał nastrój melancholijny u Franka, ale znacznie gorzej czuł się pan August. Nie wracał już do pałacu przez dziedziniec folwarczny, lecz skręcił na lewo, na przelaj. Szedł bardzo powoli, rozmyślając, dlaczego ani syn, ani żaden z gości, nic nie wspomniał o niezwykłym, bądź co bądź, zdarzeniu.

— Coś tam prawdy na rzeczy być musi, tylko Jan, ten stary fujara nakoloryzował całą historię... Albo Franek... hum. Czemuż mi oni jednak nic nie mówili? Hum. Chyba, że im Staszek powiedział, że ja... nie... lubię bajek... o... Ech... najlepiej o tym w ogóle nie myśleć...

Powziąwszy taki zamiar, poszukał pan August w kieszeni kluczyka od torby (drugi kluczyk znajdował się w urzędzie pocztowym miasteczka N.) i wy dobył obfitą pocztę ze środka. Nie zatrzymując się w pochodzie, przeglądał przesyłkę po przesyłce i monologował przy tym półgłosem:

— Raz, dwa, trzy, cztery czasopisma. Cztery, a więc zgadza się... Włożymy to z powrotem do torby... Będzie co do czytania w łóżku. Pismo ze starostwa... ech... to na jutro. Kartka od Stasia z Wiednia... Cha,

cha, cha! On ją wyprzedził osobiście... List do Krzysi... z Krakowa. Pismo kobiece. Założyłbym się, że od Jadzi... Tak... Niechże już raz przyjeżdża na wakacje... Krzyśka się rozerwie trochę w towarzystwie... A to co?... O Boże!... Znowu jakiś podatek... Nie!... Dzisiaj sobie psuć humoru nie myślę... Na jutro, na jutro! Tak... to z pewnością podatek, bo się potknąłem w tej chwili.. Czego oni chcą od nas? Niech chłopci także płacą, nie tylko ziemianie. Boże, co za czasy nastały!... Przycichło trochę z tą ich „reformą” agrarną, więc używają sobie na podatkach. Precz z tym do torby! Tak... Ulżyło mi od razu. Cóż tam jeszcze?... Z Towarzystwa Rolniczego... Pewnie nic ciekawego... Na jutro! Dość się dzisiaj napracowałem.. A to co? J. Wielmożny Pan Karol Dawidowicz. Oto demokracja... Jaśnie Wielmożny Dawidowicz.. Da...wi...do...wicz. Cha, cha, cha! Wielmożny też by takiemu było aż zanadto. No widzicie?... Napisane czarno na białym: J. Wielmożny Pan Karol Dawidowicz... a tu pod spodem per adr. J. Wielmożny Pan Hrabia August Dobromilski. Ano, zrównali w Polsce Dobromilskich z Dawidowiczami.. Ale skądże do niego poczta tak

szybko?... W nocy przyjechał, a dzisiaj już list... Musiał rozesłać okólnik, że do mnie przyjeżdża... Ha!... Autoreklama to grunt dla takich Dawidowiczów. Afiszuje się stosunkami... Nie mam nic przeciwko temu, byle sobie fikcyjne kuzynostwo z głowy wybił. Od kogóż to dostał? Kopertę przecież czytać można: Kancelaria adwokacka Dra Tadeusza Kwiatkowskiego i Jana Przyłuskiego we Lwowie ul... no, mniejsza o ulicę. Więc ze Lwowa... Znów się potknąłem...

Pan August przerwał długi monolog i rozejrzył się w położeniu. Idąc całkiem mechanicznie, zaszedł w pobliże placu tenisowego. Grające towarzystwo ujrzało go natychmiast, a syn pośpieszył naprzeciw ze sprawozdaniem:

— Papo, Krzysia pomściła moją klęskę na Andrzeju.

— O! Wygrała?

— Wspaniale wygrała. Pierwszy set sześć do trzech, a drugi suchy...

— Suchy? Co to znaczy suchy?

— To znaczy, że Andrzej: ani jednego gema nie zdobył. Sześć na zero. Co? Wspaniale!... Teraz

Andrzej sędziuje, a Krzysia gra z...

— Panem Dawidowiczem? — Papa Dobromilski wołał nie usłyszeć znowu określenia: kuzyn.

— Tak, z Karolem.

— I jakże?

— Właśnie zaczęli czwarty gem. Dotychczasowy wynik: dwa na jeden.

— Na czyją korzyść?

— No, oczywiście, że Karola.

— Dlaczego: oczywiście?

— Bo gra znacznie lepiej... Niech papa patrzy...

Jaka piłka!...

— Krzysia także odbiła...

— A teraz... bęc!...

— Splasował jej...

— Game — ogłosił w tej chwili sędziujący Andrzej.

Przerwano grę. Na blade zazwyczaj policzki panny Krystyny wystąpiły żywe rumieńce. Czarne, aż granatowe prawie włosy, nastroszyły się cokolwiek. Biała, gęsto plisowana spódniczka odsłaniała bardzo zgrabne nóżki aż do kolan, a pomarańczowy jumper

uwydlatniał dość wyraźnie rysunek stromych piersi...

— Krzysia! Tak mi się coś zdaje, żeś jeszcze bardziej wypiękniała przez te pół roku, od czasu jak cię ostatni raz widziałem — szepnął jej Stanisław w przelocie. Panna Krystyna uśmiechnęła się ze zrozumiałym zadowoleniem, ale odparła skromnie:

— Przesada. Miłość braterska cię zaślepia. Przystajesz być obiektywnym krytykiem, dlatego też nie mogę na twojej opinii polegać...

— A na czyjej mogłabyś polegać?

— Co? Co? O czym wy mówicie?

— Ech, nic, papo. Staszek mi gratuluje uzyskanego gema. Zrobiłam swoje, skoro zdobyłam punkt honorowy.

— O, jeszcze daleko do końca. Mamy dopiero trzy na jeden — rzekł Karol, poprawiając sobie zawinięty rękaw koszuli sportowej.

Głos zabrał papa Dobromilski:

— Teraz musicie trochę odpocząć. Maleńka pauza. Pan Dawidowicz miał czas odpocząć po rozgrywkach ze Stasiem, ale ty, Krzysiu, grasz jednym ciągiem. Tak, tak. Maleńka przerwa, którą wam

urozmaicę... pocztą...

— Jest poczta?... Dla mnie co przyszło?

— Jest do ciebie, Krzysiu, list z Krakowa.

— Dziękuję... To Jadzi pismo...

— Zaraz tak myślałem.. Panie Dawidowicz.. do pana także coś przyszło.

Karol rzucił okiem na otrzymaną kopertę i wsunął ją do kieszeni. Palila go ciekawość, jakie wiadomości zawiera list przyjaciela, który prowadził po znajomości jego sprawy, lecz jakoś nie wypadało zabierać się do lektury. Tymczasem najniespodziewaniej przyszła mu z pomocą Krysia.

— Panowie darują — rzekła z czarującym uśmiechem: — ale to list od kuzynki, która ma w tych dniach do nas zawitać celem spędzenia wakacji. Chcę zobaczyć, kiedy przyjeżdża... Reszty nie będę czytała...

Krystyna zajęła się więc pośpiesznym czytaniem listu kuzynki, dwaj Dobromilscy wraz z Andrzejem ucieli rozmówkę, a Karol, korzystając z tego, odsunął się trochę na bok i szybko rozdarł kopertę rękami drżącymi od niecierpliwości i zdenerwowania. Domyślał się, że list będzie zawierał wiadomość o wyniku

długotrwałego procesu. Adwokat Kwiatkowski pisał mu jeszcze do Paryża, że wyrok zapadnie w drugiej połowie czerwca i w tym celu podał Karol adres Dobromilskiego, do którego się zrećźnie na letnie wakacje zaprosił..

Treść listu brzmiała następująco:

Kochany Karolu!

Donoszę Ci z prawdziwą przykrością, że w Sądzie Apelacyjnym przegraliśmy, jak to zresztą z góry przewidywałem. Argumenty zebrane przez Ciebie były dużo za słabe, aby obalić testament, tak formalnie sporządzony. Robiłem więcej, niż mogłem, wiedząc, że chodzi tu o twój byt, ale trudno. Głową muru nie przebijesz. Można by jeszcze popróbować szczęścia w Najwyższym Sądzie w Warszawie, lecz na to potrzeba pieniędzy, a gdybyś je nawet miał, nie radzę się angażować. Sprawa jest przesądzona.

W załączeniu przesyłam ci rachunek naszej kancelarii. Zalikwidowałem Ci mniej,

niżby nawet sąd przyznał, bo okrągłą kwotę 800 złotych. Ze względu na to, że nie jestem wyłącznym właścicielem kancelarii, lecz mam współnika, jestem zmuszony Cię prosić, abyś tę drobnostkę przesłał mi odwrotnie, tym więcej, że potrzebuję pieniędzy na wyjazd. (Trzeba zdrowie ratować, a Marienbad mi doskonale robi.) A więc bądź tak łaskaw, kochany Karolu, i nie zapomnij natychmiast wysłać owej bagatelki.

Dawidowicz uśmiechnął się gorzko:

— Tylko skąd ja ci wytrzasnę osiemset złotych, kiedy sam jestem goły — mruknął przez zęby.

— Skończył pan?... Bo ja już — zawołała Krystyna, widząc, że partner nie czyta, ale spogląda tępo przed siebie.

— Nie skończyłem wprawdzie, ale nic pilnego... ani ciekawego.

— No, to możemy grać dalej...

— Możemy.

Całe towarzystwo ruszyło w stronę pobliskiego

boiska, na którym tymczasem zabawiali się piłką dwaj młodszy synowie szofera.

— Pietrek na tamtą stronę placu — wołał Stanisław pod adresem bliźniaków. — Pawełek tu zostanie i nie rzucaj chłopcze piłek górą, bo przeszkadzasz.

Andrzej Kaszowski wdrapał się na wysokie krzesło sędziowskie, pan August usiadł obok na wypłatanym fotelu trzciniowym, a Stanisław umieścił się po drugiej stronie boiska, dla lepszego kontrolowania autów.

— Ready — zawołała panna Krystyna, stając w pozycji wyczekującej.

Karol wziął trzy piłki z rąk małego Pietrka, potem poszedł wolno w stronę miejsca, skąd należało wykonać rzut. Czynił to wszystko mechanicznie, jakby we śnie, nie zdając sobie sprawy, co robi właściwie.

Przecież taki wyrok oznaczał kompletną ruinę. Wprawdzie miał ukończone studium ekonomii i od biedy można się było wystarać o jakąś posadę, ale Karol nie kwapił się bynajmniej do jakiejś posady, nie chciał nawet o tym myśleć.

Od lat niemowlęcych otaczał go dobrobyt i zbytek. W tej atmosferze wyrósł, wychował się, doszedł aż do uniwersytetu. Potem wyjechał za granicę. Studiował częściowo w Szwajcarii, częściowo w Paryżu, a dyplom otrzymał głównie dzięki wybitnym zdolnościom, bo o pilności nie mogło być mowy, gdyż Franciszek Dawidowicz bogaty kupiec-dorobkiewicz gotówki synowi nie żałował. Nie żałował też listów sążnistych, w których moralizował synalka, zachęcał do solidnego życia, a w końcu nawet straszył, że ograniczy wydatnie „apanażę”, że wydziedziczy, a cały majątek zapisze drugiemu synowi, przyrodniemu bratu Karola. Stary Dawidowicz był człowiekiem prostym, a zaczął karierę jako zwykły robotnik, toteż treść i styl jego listów raczej śmieszyły Karola, niż go przekonywały.

Drobne początkowe nieporozumienia pomiędzy ojcem a synem zaczęły przybierać formę coraz to ostrzejszą, aż doprowadziły do „zerwania stosunków dyplomatycznych”, jak Karol mawiał w gronie najbliższych przyjaciół. Krótco potem zmarł stary Dawidowicz. Wprawdzie nie wydziedziczył niepoprawnego synalka, ale znacznie większą część

majątku zapisał drugiemu dziecku.

Karol zaciągnął cichcem pożyczkę na swoją część i uwiął się z gotówką w bardzo krótkim czasie, a idąc za radą jakiegoś pokątnego doradcy, zaczął ważność testamentu i prowadzenie sprawy powierzył swemu szkolnemu koledze, adwokatowi Kwiatkowskiemu. Ten ostrzegał go od razu, że nie ma widoków wygranej, lecz ustąpił wobec nalegań upartego klienta.

Młodszy brat byłby może pozwolił coś wytargować dla świętej zgody, ale wtedy zjawiała się jego matka, a macocha Karola, piękna (niegdyś, oczywiście) Lili, de domo Zabłocka, która żyła z mężem w separacji.

I tu leżało jądro zagadki, dlaczego Karol tak usilnie starał się o zaproszenie na letnie wakacje do Dobromiłówka. Tędy zamierzał trafić do macochy i przyrodniego brata, dowiedziawszy się, że Liliana z Zabłockich Dawidowiczowa jest przez Goślickich Krewną Dobromińskiego. Właściwie nie krewną, ale powinowatą, co akcentował papa Dobromiński. Chłodne zachowanie się pana Augusta nie zniechęciło Karola bynajmniej i spodziewał się że celu dopnie.

Wobec listu adwokata Kwiatkowskiego należało

wszystko uważać za stracone. Było przecież zupełnie nieprawdopodobne, by macocha, uzyskawszy jednak pomyślny wyrok w dwóch instancjach, szła dzisiaj na jakiegokolwiek ugody. Tak naiwna chyba nie była. Znając dobrze przeszłość pięknej Lili, mógł ją raczej posądzić o wyrachowanie, niż o naiwność. A więc proces był definitywnie przegrany. Położenie zatem beznadziejne. Całego majątku posiadał Karol Dawidowicz dwieście dolarów i sto kilkanaście złotych. Kwotę tę uzyskał przez sprzedaż swych ruchomości kawalerskich w Paryżu. To było wszystko, jeżeli chodzi o aktywa, bo o pasywach nie lubił myśleć. Ot, tylko Kwiatkowskiemu był winien za stemple i prowadzenie procesu osiemset złotych. A inni wierzyciele?...

Te wszystkie myśli kotłowały Dawidowiczowi w głowie i kotłowały nieznośnie, brzęczały jak osy, pszczoły, trzmiele, kiedy zabrzmiał głos Andrzeja Kaszowskiego:

— Karol.. Zaczynajże nareszcie!...

— Och, przepraszam, — bąknął sprowadzony z obłoków na ziemię i spytał uprzejmie w stronę panny Krystyny:

— Czy można?

— Powiadam powtórnie: Ready.

Dawidowicz podrzucił piłkę wysoko w górę, zamachnął się rakieta silnie i piłka poszła w siatkę. Druga tak samo.

— Piętnaście, — ogłosił sędzia, a pan August potwierdził radośnie:

— Fifteen.

Oboje grający zmienili rogi boiska. Dwie następne piłki Dawidowicza powędrowały na boczny aut.

— Trzydzieści.

— Thirty.

Dawidowicz serwował tym razem ostrożnie. Piłka upadła w odpowiedni kwadrat, ale upadła tak „pocziwie”, tak lekko, że panna Krystyna z łatwością ją splasowała w drugi koniec boiska i zdumiony Andrzej ogłosił:

— Czterdzieści.

Pan August zapomniał nawet dodać ze swej strony sakramentalnego: Forty.

Czwartym razem piłka pobiegła kilkakrotnie na obie strony siatki, lecz ostatecznie Dawidowicz zrobił

aut.

— Game — zakrzyknęli wszyscy.

— Piłki do mnie!... Pietrek, chodź tutaj... Ja serwuję — wołała panna Krystyna, starając się przybrać minę najobojętniejszą w świecie. Kaszowski nie taił swego zadowolenia:

— Pogrzebana twoja sława, Karolu... Cha, cha, cha. Suchego gema oberwać!

— A tyś z panią nie przegrał?

— Owszem, ale zawsze dociągnąłem przynajmniej do trzydziestu.

— Ileż jest właściwie? — dopytywał się pan August.

— Trzy na dwa.

— Well. Three to two. Krzysiu, staraj się dorobić te cztery brakujące gemy.

— Cha, cha, cha! Papa jest doskonały... Jestem zadowolona, że dwa zdobyłam...

— No, no, nie bądź za skromna.

— Ready — zawołał Karol z pewnym zniecierpliwieniem.

Gra zaczęła się od nowa, ale widocznie szczęście

opuściło Dawidowicza, gdyż przegrał znowu gema, potem jednego wygrał i trzy ostatnie przegrał. Panna Krystyna zwyciężyła zupełnie zasłużenie. Stanisław sądził początkowo, że Karol chce Krzysi zrobić przyjemność i umyślnie daje się pobić, lecz wnet zdanie zmienił. Dawidowicz chciał zwyciężyć za wszelką cenę, a nie mógł. Prześladował go pech najwidoczniejszy. Wszystkie zdradziecko splasowane piłki szły poza boczne linie, wszystkie ostre strzały grzęzły w siatce. Natomiast Krzysia grała ogromnie ambitnie i pracowicie. Uganiała się za każdą piłką, jak gdyby to nie chodziło o zwykłą rozgrywkę towarzyską, ale co najmniej o mistrzostwo Polski.

Było już zbyt mroczno na dalsze zawody. Rosłe lipy które otaczały boisko z trzech stron, pograżyły zamkniętą przestrzeń w głębokim cieniu. Białe linie, wapnem pomalowane, zacierały się do tego stopnia, że Andrzej siedzący na wysokim krześle sędziowskim nie był w stanie dostrzec, czy piłki padały we właściwe kwadraty, czy poza granicę. Wobec tego odłożono rewanżowe spotkanie Krzysi i Dawidowicza do jutra.

Całe towarzystwo ruszyło w głąb parku.

Stary Dobromilski wraz z córką oraz Andrzejem Kaszowskim szli przodem, Stanisław dotrzymywał towarzystwa pokonanemu mistrzowi. Idąc bardzo powoli, pozostali dość znacznie w tyle za tamtą trójką. Rozmowa nie kleiła się zupełnie, gdyż Dawidowicz odpowiadał monosylabami, jakby z niechęcią. Młodszy Dobromilski przyglądał mu się jakiś czas uważnie spod oka, wreszcie poklepał go przyjaźnie po ramieniu.

— Widzę, kochany Karolu — rzekł — że przypadkowa porażka bardzo cię zmartwiła... Nie, nie przecz... i nie bierz sobie tego do serca. To zrozumiałe. Nie znałeś zupełnie boiska. Jutro się oswoisz. Również nasze tutejsze piłki to nie slazengersballs... Nie przerywaj mi i nie tłumacz się... Dogoń teraz towarzystwo, a ja wrócę do pałacu. Mam coś do załatwienia. Każę także przygotować dla nas konie na wieczór. Pojedziemy wierzchem do ruin przy księżycu. Zobaczysz, jak to w nocy romantycznie wygląda. Zobaczysz i zapomnisz o dzisiejszej klęsce.

Stanisław Dobromilski zawrócił na pięcie i skierował się w stronę domu. Po jego odejściu sięgnął Dawidowicz do kieszeni po list, którego lektury

przedtem nie ukończył. Nie zatrzymując się w pochodzie, czytał:

...i nie zapomnij natychmiast wysłać owej bagatelki. Wiem, iż twoje położenie obecne jest przykre. Takiego stanowiska, na jakie byś się zdecydował, nikt ci w dzisiejszych czasach kryzysu gospodarczego nie da. Takiego, jakie by ci ktoś ofiarował, ty znów nie przyjmiesz. Jedną widzę radę: ożeń się, Karolu, ale ożeń się rozsądnie. Jesteś młody, przystojny, zdrowy, elegancki... słowem, masz wszystkie warunki po temu, aby się ożenić bogato. I uczyn to jak najrychlej, bo skoro wpadniesz w długi i dojdzie to do szerszej wiadomości, pójdzie ci znacznie trudniej... Za tę ostatnią poradę, oczywiście nic mi nie jesteś winien.

Serdeczny uścisk dłoni śle ci

Twój Tadeusz Kw.

ROZDZIAŁ IV

Ruiny starego zamczyska

Noc była jasna, księżycowa.

Rosłe kasztany przydrożne rzucały wielkie plamy cienia na szeroki trakt, na przykopy trawą porośnięte, na skraj łąnów dorodnego żyta, które się ciągnęły po obu stronach drogi. Jak srebrne wyglądały proste źdźbła zboża w mleczej miesiąca poświacie. W mleczej poświacie posiwiały zielone listki drzew i krzewów otaczających krzyż na zakręcie stojący, a szary, zakurzony gościniec zdawał się być biały jak śnieg.

Miliony złotych gwiazdeczek skrzyły się na granatowym tle nieba, a środkiem niebieskiej półkuli wędrował puciołowaty księżyc ponad ziemią w śnie pograżoną.

Ale nie wszystko spało jeszcze na ziemi, boć pora nie była zbyt późna.

Opodal i powyżej zabudowań folwarcznych widać było potężną, jasną masę gmachu, którego kilka okien

rzucalo snopy bialego swiatla. Snadz czuwano jeszcze w palacu Dobromilskich.

Hen, w oddali po lewej ruce od szosy ku krzyzowi biegnacej, migotaly drobniuteńkie, zolte swiatełka, niby rój swiętojańskich robaczków. Lekkie podmuchy wiatru przynosily stamtad od czasu do czasu dzwięki ręcznej harmonii i skrzypiec. Snadz nie wszyscy jeszcze spali w wiosce, widać jakis ognistszy kawaler szedł do panny w zaloty z muzyką.

A potem gdzieś blisko stodół folwarcznych zaszczekał pies jeden, drugi, trzeci, czwarty. Nie bylo to jednak zawzięte ujadanie na obcego, kiedy wierne kundle dworskie szarpia się na łańcuchach i zachryplymi od wzburzenia głosy usilują przerazić intruza.

Radośnie i przyjaźnie skowyczały pieski tym razem, jakby poznały swojego i przymilały się o pieszczotę oraz słowa uznania za swą czujność wzorową. Potem od strony budynków folwarcznych rozległ się tętent kilku koni idących kłusa. Tętent rósł, zbliżał się szybko i wnet spoza zakrętu koło krzyża wysunęły się najpierw cztery cienie, a tuż za nimi czwórka wierzchowców. Konie szły obok siebie, w jednej równej linii, dzięki

czemu jeźdźcy mogli sobie drogę uprzyjemnić rozmową. Kiedy minęli zakręt, jeden z nich odezwał się właśnie:

— Czy tym gościńcem dojedziemy do ruin?

— Nie, Karolu. Ta droga nie byłaby zbyt romantyczna. Półtora kilometra dalej skęcimy na prawo w dębinę.

— Och, nie! To za daleko. Raczej jedźmy na przelaj — rozległ się miły, mezzosopranowy głos kobiety.

— Chyba, że nas zaprowadzisz, Krzysiu, bo ja już nie pamiętam tych „bliższych dróg”.

— Owszem. Zaraz zjedziemy z traktu.

Jakiś czas jechano w milczeniu. Potem panna Krystyna zwolniła ostry kłus swego wierzchowca. Po prawej ręce ukazał się wąziuteńki mostek rzucony przez przykopę. Zadudniły kopyta rumaka pięknej przewodniczki na drewnianej kładce. Inne konie przeszły gęsiego i w takim porządku posuwały się ścieżką. Połna drożyna jęła się podnosić w górę powoli lecz stale. Miejsce łąnów żyta zajęło po prawej stronie pole owsa sianego razem z koniczyną, po lewej ręce

zaczął się obszar nieużytków.

Potem zagrodziła jeźdźcom drogę ściana lasu. Krzysia wypatrzyła wnet wylot leśnej drogi i zapuszczono się w głąb gęstwiny.

Dziwny to był las i dziki zarazem. Najprzód szły drzewa liściaste, wśród których nie brakło ani osiki o listkach drżących trwożliwie, ani olchy wodę lubiącej, ani leszczyny w dużych kępach rosnącej, do której chętnie ciągnęły rude wiewiórki. Zresztą prym wiodły poważne buki, których kora zdawała się być popielata, a dołem rosło gęste poszycie przeróżnych krzaków, od głogów oraz tarnin począwszy, a skończywszy na krzewach malin leśnych. Tu i ówdzie zajaśniała bielusieńka kora brzozy. Jej wiotkie, cienkie gałązki zwieszały się ku dołowi i ginęły wśród masy listowia sąsiednich drzew-olbrzymów.

Potem zaczęły się zjawiać małe świerki. Zrazu pojedynczo, samotnie, niby patrol przednich straży olbrzymiej armii szpilkowego lasu, później w coraz większych skupieniach, aż zupełnie wyparły drzewa liściaste i tylko z sosnami podzieliły się obszarem przez się zarośniętym.

Leśna drożyna niejednakowo była szeroka. Miejscami przecinała małe polanki i wówczas wszyscy czterej jeźdźcy jechali obok siebie w jednym rzędzie. Czasami znów zwężała się tak bardzo, że dwa konie szły z biedą obok siebie i wówczas noga Dawidowicza dotykała nogi Krzysi, jadącej po męsku tuż obok. Wtedy czuł Karol, że od tej zgrabnej nóżki promienieje jakieś ciepło przyjemne, drażniące.

A Krzysia zauważyła także, że stopy ich ocierają się o siebie, że konie trą się bokami. Zdziwiła się, dlaczego nieuważny sąsiad nie powstrzyma swego wierzchowca i nie jedzie za nią. Spojrzała więc w jego stronę i ujrzała oczy wlepione w nią badawczo.

— Niebawem staniemy na granicy — rzekła i, podciąwszy konia, wysunęła się na czoło jadących.

— Jaka granica? — spytał Karol. Stanisław Dobromilski pośpieszył z odpowiedzią:

— Granica majątku ojca.

— Jak to? Więc zamek nie znajduje się na waszym terytorium?

— Zamek należy do mego stryja Huberta.

— Aha — mruknął Dawidowicz, a potem zapytał

cicho:

— Stryj twój ma dzieci?

— Nie. Stryjaszek jest starym kawalerem.

— Więc jedziemy w twoje przyszłe dziedzictwo.

Co?

Stanisław Dobromilski nie odpowiedział nic. Może nie usłyszał, a może udawał, że nie słyszy

Jakoż niebawem dotarli do granicznego kamienia, którego północną stroną aż do szczytu porosły mchy. Droga rozwidlała się w tym miejscu na dwie odnogi. Właściwie rzecz by można, że dawna drożyna biegła dalej prosto, jak dotychczas, a z lewej strony uchodziła do niej wąska i bardzo zarośnięta ścieżka. W tę ścieżkę wparła Krzysia swego wierzchowca, a w jej ślady poszli trzej mężczyźni. Teren zaczął się od razu podnosić dość stromo, a droga skręcała równocześnie stale w prawą stronę.

Krzysia obróciła się na siodle i rzuciła swym towarzyszom wyjaśnienie.

— Pojedziemy teraz wciąż spiralnie, aż do samego szczytu kopicy górskiej.

— Ależ tu spadzisto!

— Wyżej będzie jeszcze gorzej, zwłaszcza przy czwartym okrażeniu.

— Czwartym? A dużo tych okrażeń będzie?

— Właśnie cztery. Teraz rozpoczęliśmy drugie.

O!... tamtędy wspinaliśmy się przed chwilą.

Tu panna Krystyna wskazała rączką w lewo, ku dołowi, ale gęsta ściana świerków nie pozwoliła Dawidowiczowi dojrzeć przebytej niedawno drogi. Koła ślimaka, im wyżej, tym bardziej były strome, ale z drugiej strony tym krótsze i wreszcie przerzedziły się drzewa, a przed oczyma jadących ukazały się jakieś mury poszarpane, lecz olbrzymie, z czarną czeluścią bramy w pośrodku.

Kopyta rumaków, które szły dotychczas po miękkiej darni, zaczęły dzwonić o kamień.

Wszyscy czterej jeźdźcy wstrzymali swe wierzchowce. Olśnieni niezwykłym widokiem, stali czas długi w milczeniu. Nikt nie był w stanie przemówić słowa, tak wielka dostojność i sędziwa powaga wionęła od tych spiętrzonych stert gruzu, od tych pamiątek czasów minionych, przesławnych. Spowijał je nimb tajemniczości i urok przedziwny, niewypowiedziany.

I cisza wielka trwała długo, długo bardzo.

Wreszcie Krzysia ruszyła z miejsca. Podjechała aż do fosy łagodnie pochyłej, która od zewnątrz otaczała ruiny starego zamczyska. Wskazała szpicrutą w stronę bramy.

— Dawniej był tutaj most zwodzony — rzekła. — Fosa nie tak jak dzisiaj wyglądała. Była podobno głęboka na pięć metrów i po brzegi prostopadłe napełniona wodą.

— Wodą? Na tej wysokości?

— Może się to wydawać mało prawdopodobne, niemniej jednak rowy pełne były wody. W samym środku dziedzińca zamkowego bije źródło, które niegdyś zasilало fosy i zaspakajało pragnienie obrońców.

— A gdzie dzisiaj woda odpływa? Przecież czterokrotnie objechaliśmy górę dokoła, a nigdzie nie zauważyłem żadnego strumyczka ani mostku.

— Ponieważ woda szuka zawsze dróg najkrótszych.

— Więc?

— Więc odnalazła stare przejście podziemne,

tamtędy odpływa. Kiedyś, za dnia, pokażę panom małą grootę koło dębiny, którą wydobywa się na światło dzienne strumyczek tu się rozpoczynający. Ale to dosyć daleko stąd.

Znów zapanowała chwila ciszy, którą tym razem przerwał Dawidowicz:

— Więc to jest ów zamek, który, jak słyszałem, czasy najazdów tatarskich pamięta?

— Tak — odparła Krzysia z dumą. — To jest nasze gniazdo rodowe. O, tam nad brama widnieją szczątki herbowej tarczy... A teraz proszę za mną do środka.

Zawróciła konia i podjechała do bramy, za którą ciągnęła się długa sień do tunelu podobna. Ale tunel ten był jasny, gdyż światło księżycy wdzierało się doń obydwoma końcami.

Przecudny widok roztoczył się przed oczyma przybyłych. Ujrzeni się na progu przestronnego, kolistego dziedzińca zewsząd ścianą murów otoczonego. A ściana to była nierówna, nie monotonicznie jednaka. Miejscami wznosiła się do wysokości drugiego piętra, gdzie indziej opadała w dół

gwałtownie, sięgając ledwie paru metrów. Tu i ówdzie znaczyły się jeszcze zęby i blanki murów obronnych... tu i ówdzie wystrzelały kontury dawnych baszt czy wieżyczek. Gdzeniegdzie leżały ogromne sterty kamieni, cegieł, rumowiska. To były zapewne resztki komnat panów zamku, resztki izb czeladnych, zbrojowni, prochowni czy stajni dworskiej. Wśród gruzów sterczały jakieś łuki, arkady. To sklepień szczątki.

Lecz całe piękno, urok cały starego zamczyska mogli przybyli ocenić dopiero wtedy, gdy znaleźli się w samym środku dziedzińca, u stóp trzech dębów odwiecznych.

Wszystko pławiło się i kapało w mlecznych promieniach księżyca. W powodzi tych delikatnych blasków posiwiały zęby murów i rzucały postrzępione koronki czarnego cienia na mchem oraz lichą trawą porośły dziedziniec. Nieliczne świerki samotne, które wyrosły z nasienia chyba przez wiatr przyniesionego, wyglądały z daleka jak srebrne stożki, jak wąskie a wyniosłe piramidy. Szare głazy i kamienie posępne wybielały, wyjaśniały, lśniły miejscami niby płaty śniegu,

które ocalały przed złotymi promieniami wiosennego słońca.

Lecz oczy patrzących przykuł przede wszystkim widok dawnej wieżycy. Jej wyniosła sylwetka wystrzelała najwyżej z tej wyspy kamiennej. Tylko dęby olbrzymie przeróść ją zdołały. Cień wieży padał na zewnątrz murów, więc widać było dokładnie jej szczyt zawalony, rozłupany. A tam, w górze, pojawiły się jakieś stwory skrzydlate, okrążały wierchy wyniosłej ruiny lub znikwały na przemian, aby znów się ukazać, powiększając tym tajemniczość i niesamowitość nastroju.

— To nietoperze — rzekła Krzysia, zeskakując lekko z wierzchowca. Odpięła potem rzemień uzdy po jednej stronie wędzidła i zaczęła wolny koniec przywiązywać do najbliższego świerku.

— A może by spętać koniom nogi i puścić je, niech się koło nas pasą? — zaproponował Dawidowicz.

— Nie — odparła — zaszyby aż do któregośkolwiek muru, a tam pełno dziur i wyłomów w ziemi. Łatwo by koń nogę złamał. Tu bezpieczniej.

Chwilę później cztery rumaki skubały grymaśnie

lichą trawę, u stóp świerków rosnącą. Jeźdźcy zaczęli się naradzać nad dalszym programem dzisiejszej wycieczki.

Andrzej Kaszowski odczekał, aż wszyscy wypowiedzą swe zdanie, a potem wystąpił z własnym projektem:

— Ja miałbym wielką prośbę do pani — rzekł swym miłym, ujmującym głosem, zwracając się do Krzysi. — Oto jesteśmy wśród ruin zamku, który czasy Jagiellonów pamięta i bodaj że jeszcze starsze. Ja wiem, że każdy gród ma swoje piękne podanie, swoją legendę. I ten także ma jakąś zapewne... Nawet Stach mi coś kiedyś o tym wspominał.. Nie tylko wspominał, ale wręcz mówił, że pani się bardzo interesuje przeszłością tych sławnych dziedzin Herburtów, że pani zna ich historię doskonale... Gdyby pani raczyła nam opowiedzieć...

— Tutaj? — wtrącił Dawidowicz, jakby ze zdziwieniem.

— A właśnie tutaj. Czy może być bardziej wymarzone tło dla opowieści o dziejach zamczyska jak jego ruiny? O, wolę po stokroć tutaj słuchać niż w

wygodnym fotelu klubowym w pałacu... Tu szczerzy romantyzm wieje z każdego zakątka. Tu głąz każdy ma swoją przeszłość... Uszy moje wchłaniać będą słowa zasłyszane, a wzrok szukać będzie miejsc, gdzie akcja się rozgrywała... Niech pani nie odmawia mej prośbie... Może moje żądanie jest niestosowne... może nie powinien się nikt obcy wdzierać w cmentarzysko waszych rodzinnych pamiątek... ale... ja od wczoraj miejsca sobie znaleźć nie mogę, taka mnie pali ciekawość... Więc dobrze? Wysłucha mnie pani?

Stanisław Dobromilski wstawił się do siostry za przyjacielem:

— Andrzej ma rację. Nie tylko tło romantyczne przemawia za jego projektem, ale także ta okoliczność, że w domu nie mogłabyś opowiadać ze względu na ojca. Wiesz, jak on tego... nie lubi. Więc Krzychna, nie daj się prosić i zaczynaj.

— Oczywiście, że opowiem, skoro tak ładnie prosicie, ale rada bym wiedzieć, dlaczego pańska ciekawość tak wzrosła właśnie od wczoraj?

Tu panna Krystyna zwróciła się w stronę Andrzeja, który z kolei rzucił przelotne, pytające spojrzenia na

Dobromilskiego. Stanisław zrozumiał nieme pytanie.

— Przy Krzysiu możesz o tym mówić swobodnie — rzekł szybko.

Zatem opowiedział młody Kaszowski przebieg nocnego zdarzenia, opowiedział w słowach krótkich, treściwych, niekoloryzujących, ani też nie pomijając żadnego ważniejszego szczegółu. Panna Krystyna słuchała z uwagą, z napięciem, a kiedy opowiadający skończył swą historię, rzekła półgłosem, jak gdyby do siebie:

— Więc słuszne były moje przeczucia i uzasadniona obawa. Wielkie niebezpieczeństwo zagrażało istotnie Stasiowi, ale ona czuwała, jak od wieków czuwa...

— Ona? Od wieków? — pytał zdumiony Andrzej.
— Pani słowa intrygują mnie niezmiernie...

Krzysia przerwała mówiącemu z uśmiechem:

— Zaraz zaspokoję pańską ciekawość. Obawiam się tylko, czy nie nastąpi duże rozczarowanie...

— Z pewnością nie nastąpi.

— Niech się pan tak z góry nie zastrzega. Chcąc was zapoznać z legendą tego zamku i z podaniem o

Czarnej Pani, muszę się cofnąć w czasy bardzo dawne, muszę cytować fakty historyczne, a tego ludzie doby współczesnej nie lubią... Nie kręć głowę, Stasiu, bo tak jest w istocie. W epoce wszechwładzy kina każdy szuka emocjonującej sensacji, tanich efektów... Każdy czyta wyłącznie powieści współczesne, których tłem musi być Biarritz lub Floryda, a których treścią jest zazwyczaj wulkaniczna miłość tuzina miliarderów do panny sklepowej, manekina czy modystki, i małżeństwo popełnione przez tę ostatnią z synem jakiegoś Forda czy Morgana. Każdy czytelnik omija skwapliwie rozdziały rozgrywające się w suterynach czy na poddaszu, a pożera opisy pałaców i życia high life'u... Natomiast sama wzmianka o historii wywołuje grymas nudy. A przecież historia powszechna to jeden olbrzymi romans, najbardziej fantastyczny, najpiękniejszy, najbogatszy w emocjonujące niespodzianki, to wielki romans o sieci intryg tak splecionej, że nie stworzyłoby go najgenialniejsze pióro.

Nie czujcie się panowie dotknięci moją tyradą, której wygłoszenie tym uzasadniam, że właśnie ludzie inteligentni, najbardziej przejściami wojennymi

zmęczeni, najbardziej przez wojnę poszkodowani, najchętniej stronią obecnie od poważnej lektury, błędnie upatrując wypoczynek w sensacjach na srebrnym ekranie, na scenie, w malarstwie, czy powieści...

Panna Krystyna umilkła na chwilę, z czego skorzystał Karol, i nie tyle z przekonania, ile z chęci nawiązania dyskusji, w prowadzeniu której uważał się za mistrza, rzekł przekornie:

— Aczkolwiek gentleman powinien zawsze i bez zastrzeżeń przyznać rację wywodom damy, to jednakże pozwolę sobie zauważyć wbrew tej zasadzie, że bynajmniej nie jest tak źle, jak pani mówi..

— A dzisiejszy upadek teatrów? A zanik poważnego repertuaru? — wołała Krzysia, rzucając pierwszy z brzegu atut do walki. Jednakże Stanisław Dobromilski nie dopuścił do rozmowy na ten temat.

— Odbiegamy, siostrzyczko — rzekł — od obranego programu dzisiejszej nocy. Dyskusję o kinach, teatrach, powieściach odłóżcie do jutra i nie pozbawiajcie w niej udziału papy... Teraz zaś rozpocznij, Krzysiu, swoje opowiadanie.

— Tak, tak... Niech pani usłucha Stasia
— wstawiał się Andrzej.

— A więc dobrze. Zajmijcie, panowie, miejsca. Ja tutaj sobie usiądę.

To mówiąc, podeszła panna Krystyna do wielkiego głazu, ułożyła na nim derkę wydobytą spod siodła i usiadła na tym podwyższeniu. Karol i Andrzej wyciągnęli się na ziemi wśród mchów, wśród trawy leśnej, a Stach, lękający się przeziębienia, oparł się o pień jednego z trzech dębów i postanowił słuchać znanego sobie zresztą opowiadania, w stojącej pozycji.

Panna Krystyna, na której twarzyczkę i wdzięczną sylwetkę padł snop srebrnych promieni księżycowych, podniosła oczy w górę, obrzuciła krótkim, przelotnym spojrzeniem zygzakowate linie murów zamczyska, spojrzała na szczątki dawnych blanków zębatych, na resztki dawnych baszt, strzelnic, dłużej zatrzymała wzrok na ciemnych konturach olbrzymiej wieży, a potem zaczęła mówić głosem dźwięcznym.

ROZDZIAŁ V

Najazd Mongołów

...Kiedy w sierpniu roku 1227 umarł wielki zdobywca mongolski Temudżyn zwany powszechnie Dżingis-chanem, olbrzymie jego państwo zajmowało swym obszarem prawie całą Azję i wschodnie skrawki Europy. Dżuczi, pierworodny syn Temudżyna, który w dziedzictwie dostał Kapczak, czyli kraje na północ od morza Kaspijskiego, zmarł także niebawem, a dziedziny jego otrzymał z kolei syn Batu, jeden z najstarszych wnuków wielkiego Temudżyna.

Wojowniczy lud, rozsmakowawszy w łatwych grabieżach, nie zaspokoił się dotychczasowymi zdobyczami. Pragnął mord i pożogę ponieść dalej, aż do zachodnich granic Europy. Mongołowie służyli zawsze ze świetnej znajomości geografii i wewnętrznych urządzeń państw, które mieli podbić, oraz nastrojów, jakie tam panowały. Wiedzieli więc dobrze, że nieciężka czeka ich robota. Ogromna Ruś i Polska były wówczas w okresie największego rozbitcia na

księżewka prowadzące ze sobą ustawiczne zwady orężne. Cesarz Fryderyk II siedział we Włoszech i załatwiał swe obrachunki z sędziwym papieżem, Grzegorzem IX, austriaccy Babenbergowie spojerali chciwie w stronę granicznych komitatów węgierskich.

O tym wszystkim Tatarzy wiedzieli doskonale i Batu z łatwością otrzymał pozwolenie od Oktaja, ówczesnego Wielkiego Chana, otrzymał garść doświadczonych wodzów jak Ordu, Sziban, Tangkut, Kadan, Buri, Baghatur i Pajdar, który się krwawo w historii Polski zapisał pod imieniem Pety.

Przeszło sześćsettyśięczna armia Azjatów runęła na Zachód z siłą druzgocącej wszystko na stokach górskich lawiny... Z końcem roku 1240 spłonął Kijów, ostatnia zaporę na drodze do Polski i Węgier. Jeszcze wieść o tej klęsce nie rozeszła się po całej Sarmacji, jeszcze nie stajały śniegi, kiedy na wschodnich rubieżach kraju pojawiły się pierwsze zagony Mongołów.

Celem łatwiejszego wyżywienia olbrzymiej armii, a głównie celem zdobycia odpowiedniej ilości paszy, podzielił Batu swe wojska na trzy części. Sam

przewodził centrum, którego zadaniem było wdrzeć się przez Karpaty na Węgry i ukarać króla Béłę Czwartego za udzielenie przytułku podbitym przez Azjatów Kumanom.

Baghatur, najzdolniejszy z wodzów, uderzył z trzema korpusami na Wołochów i Siedmiogrodzian.

Pajdar, czyli Peta, na czele prawego skrzydła runął na Polskę osłabioną walkami, jakie prowadził Bolesław Wstydlivy oraz Henryk Brodaty, a po nim Henryk II Pobożny, z zachłannym Konradem Mazowieckim.

W takich to przełomowych czasach rozpoczyna się akcja niniejszego opowiadania.

Olbrzymi szmat ziemi zamknięty w widłach rzecznych, jakie tworzy Strwiąż z Dniestrem, należał podówczas do Władysława z Sambora, brata wojewody sandomierskiego Przeclawa. Były to ziemie górzyste, słabo zaludnione i borami pokryte odwiecznymi. Jak lesista musiała to być okolica, świadczy najlepiej nazwa Sambora, ówczesnej stolicy owego klucza, owych włości rozległych.

Władysław z Sambora oddawał się z zapalem łowom na grubego zwierza, którego w bród było po

kniejach górskich, a na wyprawy zwykł był wyruszać z dużym orszakiem dworzan oraz ze swym dwunastoletnim jedynakiem Leszkiem, którego chciał mieć zawsze przy boku, a przynajmniej w pobliżu. Łowy takie trwały nieraz miesiącami, a jako zajęcie najbliższe rzemiosłu rycerskiemu, utrzymywały hart ciała, wzmagaly odwagę, przytomność umysłu, chytrość i ambicję.

Tu, gdzie teraz wznoszą się ruiny, stał w owych czasach niewielki zameczek myśliwski, z drzewa wybudowany. Zameczek ten zwano Niedźwiedzim Łbem, tak z powodu rodowego zawołania właściciela, jak i z przyczyny wielkiej mnogości niedźwiedzi siedzących w jarach, na zboczach i u stóp góry.

W Niedźwiedzim Łbie tedy pozostawił Władysław z Sambora syna-jedynaka pod strażą swej siostry oraz kilku dworzan, a sam wałęsał się z towarzyszami po chaszczach leśnych i rozłogach, tropiąc zwierzynę.

Dwunastoletni Leszek, który zamiłowania myśliwskie po rodzicu odziedziczył, uprawiał się w strzelaniu z łuku do ostrożnych jastrzębi, do kawek, kruków, do zwinnych wiewiórek i w ten sposób zabijał

nudy pobytu w leśnej puszczy.

Pewnej niedzieli, w pierwszych dniach lutego, przyjechał goniec z wieścią, że pan jego, Władysław z Sambora, stanie w Niedźwiedzim Łbie pod wieczór, że wiezie ze sobą ogromne ilości skór rysich, wilczych i niedźwiedzich.

Ucieszył się tą wiadomością Leszek, który, straciwszy matkę w zaraniu dzieciństwa, miłował swego rodzica ponad wszystko i niezmiernie był doń przywiązany, ucieszyła się jeszcze bardziej ciotka Leszkowa, lękliwa panna Jadwiga, która czuła się nieswojo w głuchej puszczy pod nieobecność rycerskiego pana brata, chociaż można było być pewnym, że żaden łotrzyk nie ośmieliłby się napadać na mienie i rodzinę Władysława z Sambora.

Zakrzętało się w zamczku celem przygotowania sutej wieczerzy dla tylu gości, rozpalono drwa w izbach, bo jakkolwiek mrozy zelżały już od tygodnia, ale przenikliwe zimno szło od śniegów, które dopiero tu i ówdzie tajać poczynają.

Leszek wałęsał się po mrocznych komnatach, plątał się tam i sam, aż wreszcie zniecierpliwiony nie

wytrzymał i wyszedł przez furtę z dębowych bierwion skleconą poza obręb zameczku. Nie przypuszczał ani on, ani nikt z nielicznej załogi, że trop gońca na śniegu innych, zupełnie niepożądanych gości naprowadzi, że straszliwy nieprzyjaciel już nadciągał i z ukrycia wypatruje skośnymi oczyma najodpowiedniejszego miejsca do napaści.

Słońce pochyliło się już ku zachodowi, pobiegło w stronę Krakowa, serca Polski, kiedy Leszek, wymknąwszy się cichaczem z zameczku, przebył połowę odkrytej przestrzeni i przystanął. Wydało mu się, że najbliższa kępa świerków chwieje się i chybotrze, że jakiś duży stwór się pośród drzew porusza. Bez lęku nałożył chłopiec strzałę na łuk, pochwycił palcami cięciwę i czekał...

Nagle ześlizgnęła się z drzewa ogromna okiść śniegu. Spadła na ziemię, wznosząc mały tuman białego pyłu i śnieżną chmurkę. Z kępy wysunęło się kilka ludzkich postaci.

Byli to mężczyźni średniego wzrostu, kępi lecz muskularni... odziani w burki baranie włosem na wierzch uszyte i w czapy futrzane. W zębach trzymali

krzywe, bardzo długie noże, w rękach łuki dzierżyli lub sznury w pęk kolisk zwinięte.

Lecz chociaż widok tych dzikich, barbarzyńskich postaci, tych żółtych twarzy ze spłaszczonymi nosami i skośnymi oczyma... był odrażający, chociaż ich nagłe ukazanie się mogłoby każdego przerazić, mały Leszek więcej się zdumiał niż przeląkł. Z całym spokojem podniósł łuk, szarpnął cięciwę, bzyknęła strzała i podchodzący ku chłopcu Tatar nakrył się nogami. Dokonawszy tak walecznego czynu, rzucił się Leszek do ucieczki. Szczęśliwie dotarł do rozwartej furty, którą za sobą zatrzasnął.

Tatarzy mogli go byli ustrzelić z największą łatwością, ale śmiałe wystąpienie małego wyrostka zdumiało ich i olśniło zarazem. Tatarzy byli okrutnikami, znęcali się nad jeńcami, ale jako lud wojenny wielbili męstwo, zwłaszcza u młodych chłopców, których też chętnie brali w niewolę, by ich na swoich wojowników wychować.

Toteż ani jedna strzała pierzasta nie pobiegła w tropy Leszka. Świsnął tylko za nim arkan w powietrzu, ale uciekający był już poza bezpieczną furtką i sznur

ześlizgnął się po drzewie.

Na ostrzegawczy krzyk Leszka zleciała się nieliczna załoga zamczku, lecz było za późno. Przez palisadę przelazło już z pięćdziesięciu napastników, stojących na barkach towarzyszy, inni rąbali główne wrota, łamali zawory, wyważali zatrzaśniętą furkę.

Kierując się instynktem samozachowawczym, uciekł Leszek na szczyt drewnianej wieżyczki, która się wznosiła pomiędzy trzema roslymi dębami i wciągnął za sobą drabinę...

Z tej wysokości patrzył oczami rozszerzonymi od zgrozy na rzeź krótką a straszliwą, na mord, gwałty, rabunek. Widział, jak w pień wycięto dworzan, jak za włosy wywleczono z izby okrwawionego trupa panny Jadwigi, jak rąbano ściany dworzyska, aby je później płomień łatwiej mógł strawić.

Cichy płacz wstrząsał zziębniętym chłopcem i łzy mu spływały po sinobladej twarzyczce, ale najłżejszym poruszeniem nie zdradził swojej kryjówki. Tatarzy byliby go niewątpliwie i tak znaleźli, lecz na razie inne, pilniejsze mieli zajęcie. Łupy zdołali już podzielić między siebie. Pozostało jeszcze uzyskanie dowodów, że

odnieśli zwycięstwo, że wymordowali chrześcijan. Ich zwyczaj wojenny wymagał w owej epoce, by zabitym nieprzyjaciółom poucinać uszy i jako trofea rzucić je przed namiot naczelnego wodza. Z ilości przyniesionych uszu wnioskowano o męstwie danego wojownika.

Takiego barbarzyństwa chłopiec ścierpieć nie mógł i kiedy olbrzymi Mongoł zbliżył się do martwego ciała panny Jadwigi, bzyknęła strzała. Tęgi Tatar wypuścił umazany we krwi jatagan i runął na wznak, trzepocąc rękoma jak człowiek śmiertelnie raniony. Strzała Leszka utkwiała mu w szyi.

Natychmiast odnaleziono kryjówkę bohaterskiego chłopca. Kilku Tatarów zmierzyło w stronę trzech dębów, ale przywódca poznał po rysim kołpaczku malca, który ustrzelił wojownika, wychodzącego z leśnej gęstwiny. Nakazał go brać żywcem.

— Wilcze szczenię — mówił tysięcznik tatarski, chwytając za belt strzały, utkwionej w szyi konającego wojownika.

— Wilcze szczenię — powtórzyli inni skośnoocy i głośno cmokali wargami na znak wielkiego uznania.

A „wilcze szczenię” ukąsiło na śmierć jeszcze

trzeciego nieprzyjaciela, zanim je siłą ściągnięto za kark na ziemię.

Tysięcznik wziął chłopca pod swoją osobistą opiekę, ciesząc się już naprzód, jaką radość sprawi starszemu dowódcy prezentem z walecznego wyrostka.

Tatarzy wydobyli potem kawałki baraniny spod siodeł i, rozrywając krwawe mięsiwo tłustymi łapami, rozpoczęli ucztę, a raczej krótki posiłek. Tysięcznik poczęstował malca kawałkiem tego przysmaku, ale Leszek odwrócił głowę ze wstrętem..

A kiedy słońce skryło się zupełnie i noc nastąpiła, oddział tysięczny ruszył w dalszą drogę. Pozostawił za sobą kilkanaście okrutnie okaleczonych trupów, ruinę, gruzy, pożogę. Podpalony ze wszystkich stron zameczek spłonął szybko ze szczerem. Huczące płomienie wystrzelały wysoko w górę i zapalały na granatowym niebie łunę krwawą, szkarłatną.

Oddział tysięcznika Sziramuna nie należał właściwie ani do armii Batu-chana, ani do korpusu Pety, lecz utrzymywał pomiędzy tymi wojskami służbę łącznikową, która u Tatarów stała bardzo wysoko. I właśnie Batu-chan, zbliżywszy się do przełęczy

Użockiej, do gór Halicz, o których powiada kronikarz angielski idący za źródłami chińskimi: the army crossed the mountains Ha-ts'a-li.. wysłał Sziramuna z nowymi rozkazami do swego brata stryjecznego, Pajdara, zwanego Peta. Ten to właśnie oddział tysięcznika Sziramuna zrównał z ziemią zameczek Niedźwiedzi Łeb i zagarnął w niewolę bohaterskiego Leszka, jedyne go syna Władysława z Sambora.

Pięć dni później znalazł się Leszek w głównej kwaterze tatarskiej. Wieść o jego nieprawdopodobnych czynach biegła z ust do ust, od setników do tysięczników i do takich, którzy przewodzili tylu tysiącom wojowników, ile jest palców u obu rąk razem. Sziramuna wraz z jego małym jeńcem sam Peta-chan polecił wezwać do swego namiotu.

Leszek stanął więc przed obliczem Pety. Szerniał, wychudł skutkiem męczących pochodów i skutkiem tego, że mimo głodu nie zdołał jeszcze całkowicie przezwyciężyć w sobie wstrętu do cuchnącej potem końskim baraniny lub koniny słodkawej. Apatycznym, ponurym spojrzeniem swych błyszczących oczu obrzucał starszyzną mongolską, która się zebrała w

dużym wodza namiocie.

A Peta-chan zdumiał się wielce. W głowie nie chciało mu się pomieścić, że to mizerne, szczupłe pacholę mogło słabą ręką zgładzić trzech mężnych wojowników, z których każdy zapewne dziesiątki nieprzyjaciół miał na sumieniu. A równocześnie w mózgu Tataru krystalizowało się niepokojące pytanie: czy zdoła ujarzmić ten kraj na pozór bezsilny, gdzie dzieci są bohaterami. Jeżeli to małe wilcze szczenię tak kąsać potrafi, jakimiż muszą być starzy wilkowie? — myślał Peta i troska wyorała mu liczne bruzdy na niskim czole.

Wreszcie ocknął się z zadumy i rzucił jakieś pytanie Dominikaninowi stojącemu tuż obok z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Wodzowie mongolscy wlekli z sobą na wyprawy duże zastępy tłumaczy, którzy rekrutowali się przeważnie z zakonników, misjonarzy lub kupców, jako że ci ludzie właśnie, acz z różnych pobudek, odbywali w owej epoce dalekie podróże i zapuszczali się aż hen, w głąb Azji. Takim tłumaczem, wziętym do niewoli, oszczędzonym z powodu znajomości wielu języków i dodanym do usług

Pecie-chanowi, był także braciszek Wojciech, zakonnik reguły świętego Dominika z Kastylii.

Krótkie, niechętne odpowiedzi chłopca, jego ponurość i dziwny upór, jakby niemy protest malujący się w stalowych źrenicach, złe błyski oczu, znalazły nadspodziewane uznanie u Pety. Poglądził się z zadowoleniem po brzuchu.

— Prawdziwie rzekłeś, Sziramunie, że wilcze to szczenię — rzekł do stojącego opodal tysięcznika. — Daję ci za niego pięć dziewic sarmackich.

Sziramun pochylił głowę nisko na znak zgody i uległości. Chan ciągnął dalej:

— To wilcze szczenię ma być zawsze przy moim boku. Ty — tu zwrócił się do braciszka Wojciecha — wyuczysz go naszej mowy. Tylko naszej mowy, o innych sprawach ci gadać wara! Inaczej przywiążę cię do ogona końskiego i tak cię wlec każę... A wy — dodał, zwracając się do starszyny — na koń! Chcę się przekonać jak najprędzej, czy wilki tak samo kęsają, jak to wilcze szczenię.

Tego jeszcze dnia wyruszyli Tatarzy na zachód. Wilcze Szczenię, jak go odtąd nazywano wśród

Mongołów, dostał małego kuca pod wierzch i cwałował w pobliżu naczelnego wodza otoczonego starszyzną. Dotychczas wieziono Leszka na kulbace któregoś z wojowników jak małe dziecko, jak sprzęt jakiś lub zdobycz, teraz miał własnego rumaka, którym sam kierował, którego sam dosiadał. Ta mała losów odmiana radowała chłopca, a jeszcze więcej cieszyło go sąsiedztwo zakonnika Wojciecha, z którym mógł rozmawiać w ojczystym języku i którego obecność dodawała mu otuchy. Dominikanin miał także wierzchowca, ale nienawykły do konnej jazdy wisiał na swym rumaku jak nietoperz na rynnie. W dodatku Tatarzy płoszyli nieborakowi konia, skutkiem czego braciszek często gęsto zlatywał ku ogólnej wesołości. Sam Peta aż rżał od prostackiego śmiechu i wskazywał Dominikaninowi jako przykład Wilcze Szczenię. A Leszek czuł się w siodle doskonale. Z dawien dawna ujeżdżał na ojcowskich pastwiskach źrebce, więc siodło nie było mu nowiną.

Tak to urozmaicono sobie forsowny pochód ku sercu Polski.

Szybko wracał Leszkowi humor, zwłaszcza od

chwili, kiedy braciszek Wojciech, rozdrażniony drwinami Tatarów, szepnął po polsku:

— Rychło wam chęć do śmiechu odejdzie, kiedy spotkacie mężnego Pakosława.

Pakosław był stryjem rodzonym Leszka. Chłopiec pamiętał dobrze jego twarz, jego rycerską postawę. Z dziecięcą naiwnością wyobrażał sobie, że Pakosław w pierwszym już spotkaniu rozbije w puch najeźdźców, a jego, Leszka, odstawi bezpiecznie do Sambora, gdzie rodzic czeka stroskany.

Lecz rychło miało się zasepić czoło dzielnego chłopca.

W środę popielcową, dnia trzynastego lutego, zdobyli Tatarzy Sandomierz. Wojewoda Pakosław cofnął się do Krakowa, a prawie bezbronne miasto padło łupem najeźdźców.

I ujrzał Leszek naocznie grozę wojny straszliwą, zbezczeszczone kościoły chrześcijańskie, ujrzał tysiące pomordowanych okrutnie mężów, niewiast leciwych, bo młodsze szły na wieczne pohańbienie. Do stóp rumaka Pety, znoszono głowy bardziej znacznych mieszkańców, rzucono całe stosy obciętych uszu, które

niektórzy wojownicy nawlekali na sznurek i zawieszali sobie na szyi jako trofea zwycięskie. Zwyczajem barbarzyńskich ludów wschodnich zniewalali Tatarzy swoje branki zupełnie jawnie, na oczach wszystkich. I kiedy Leszek odwracał głowę z przerażeniem, ze wstrętem, kiedy tłumił w sobie gwałtem szloch rozdzierający, braciszek Wojciech wznosił oczy do nieba i modlił się żarliwie.

Kilka dni później los nieszczęsnego Sandomierza przypadł w udziale wielkiemu klasztorowi Cystersów w Koprzywnicy, gdzie schroniło się mnóstwo okolicznej ludności.

Później przeprawili się Tatarzy przez Nidę. Szybkim marszem zbliżali się od północnego wschodu ku Krakowowi. Wyszedł im naprzeciw wojewoda krakowski wzmocniony zastępami Pakosława ze Sandomierza. Po zaciętej walce pod Turkiem, Polacy musieli się cofnąć, ale napastnicy ścigać nie śmieli. Peta przekonał się na własnej skórze, jak kasażą stare wilki. Nakazał odwrót w celu uzupełnienia nowymi posiłkami przeredzonych szeregów oraz w celu bezpiecznego odprowadzenia zabranych jeńców i łupów. Wojsko

najeźdźców cofnęło się aż do krain ruskich, pozostawiło tam niewolników, stada zdobyczne, wozy kosztowności, które były kulą u nogi w nagłych pochodach, a wzmocnione nowymi, olbrzymimi zastępami, pomaszerowało w trzech wielkich kolumnach na Polskę. Ordu z jednym korpusem wyruszył na północ, mając dojść aż do krain Prusaków, a potem zakręcić łukiem w lewo i na granicy Śląska połączyć się z główną armią; Kajdu rzucił się na ziemię Sieradzka, Łęczycka, na Kujawy; sam Peta poszedł prosto, jak sierpem rzucił, na Kraków. Leszek miał towarzyszyć naczelnemu wodzowi w wyprawie, z czego rad był bardzo, gdyż w razie pozostawienia go na Rusi, razem z innymi jeńcami, szanse spotkania ojca musiałyby zmaleć do minimum. Braciszek Wojciech, nieznający się na sprawach wojennych, był jak najlepszej myśli i dodawał chłopcu otuchy.

I wszystko zdawało się przemawiać za słuszością przewidywań Dominikanina. Oba wojska spotkały się pod Chmielnikiem, niedaleko Szydłowa. Polacy okazali wielkie męstwo, a jako lepsi szermierze, w walkach pojedynczych wychodzili zwycięsko. Peta, widząc, że

w uczciwej walce nie podoła, uciekł się do starego tatarskiego podstępu. Na dany znak rzucili się jego wojownicy do panicznej ucieczki, pozostawiając na placu wszystkich pobranych przedtem jeńców i łupy. Polacy, mając konie zmęczone, poniechali pogoni, a zadowolili się odbiciem brańców. Rycerze wypoczywali po znojach zwycięskiej walki, czeladź rozpoczęła zwykle spory o podział znalezionych łupów, wielu się popiło z uciechy. Wówczas Tatarzy powrócili nagle, jak piorun z jasnego nieba uderzyli na rozproszonych i nieprzygotowanych. Nie było już walki właściwej, ale rzeź straszliwa. Broniąc się do ostatka, legli: wojewoda sandomierski Pakosław, Władysław z Sambora, kasztelanowie Jakub i Klemens oraz wielu mężnych. Zapłakał Leszek rzewnymi łzami na widok uciętej głowy stryja, ale Peta nie pozwolił na długie rozczulanie się. Podniósł wojsko na nogi i ruszył dalej. Droga do stolicy Polski stała przecież otworem.

Od dwudziestego drugiego, do dwudziestego czwartego marca płądrowali zdobywcy Kraków. Czego nie zdołali zabrać ze sobą, to spalili razem z budynkami, kościołami, klasztorami. Ostał się tylko

klasztór świętego Andrzeja, w którym garść mieszczan i rycerstwa stawiała rozpaczliwy a skuteczny opór napastnikom.

Tatarzy zrezygnowali z regularnego oblężenia. Ruszyli dalej. Na granicy Śląska połączyły się hordy Pety z wojskami Kajdu i Ordu. Drugiego kwietnia spalono Wrocław, ale zamku bronili Polacy tak dzielnie, że poganie znowu ustąpić musieli.

Wreszcie wyruszył w pole sam Henryk Pobożny, a nie mogąc się doczekać pomocy od Czechów, którzy tylko o jeden dzień marszu byli odlegli, zastąpił drogę Mongołom o dziewięć kilometrów na południe od miasta Lignicy. Od wyników bitwy, zależał los państw zachodnich, los chrześcijaństwa. Cała Europa wstrzymała oddech, przyznając głośno po raz pierwszy, że Polska jest tego chrześcijaństwa przedmurzem.

Henryk Pobożny miał przy sobie kwiat rycerstwa polskiego, nieliczne posiłki niemieckie, jako też jedenastu templariuszy, którzy przywiedli ze sobą pięć setek zbrojnego ludu.

I znowu podstęp pomógł Tatarom do odniesienia zwycięstwa. W czasie najgorętszej walki zaczęli

wykrzykiwać wyuczone polskie słowo, oznaczające hasło do ucieczki: biegajcie! biegajcie!. Okrzyk ten rozbrzmiewał wszędzie: w pośrodku tłoku walczących, na tyłach polskich, na skrzydłach. Czeladź dała się najskorzej w błąd wprowadzić i wszczęła panikę wśród wojsk chrześcijańskich. Popłoch ogarnął z kolei mieszczan, którzy do tej pory dobrze stawali. Tylko rycerstwo polskie pozostało niewzruszone na placu boju i otoczone zewsząd grubym pierścieniem przeciwników, topniało szybko.

Poległ śmiercią bohaterską za wiarę Henryk II Pobożny i Sulisław, brat zabitego pod Chmielnikiem wojewody krakowskiego, i Klemens, wojewoda z Głogowej, i ostatni syn margrabiego Moraw, i trzydzieści tysięcy przedniejszego rycerstwa, ale śmiercią swoją okupili bezpieczeństwo Europy. Po tym Pyrrusowym zwycięstwie, nie ośmielił się Peta iść dalej na Zachód. Ruszył pośpiesznie w stronę Węgier, gdzie się znajdowały główne siły Mongołów, pustosząc po drodze część Śląska i Moraw. Dzień dziewiątego kwietnia roku 1241 zapisał się złotymi głoskami w dziejach chrześcijaństwa, które ocalało dzięki pieransom

polских żołnierzy.

Mały Leszek nie umiał ocenić politycznych następstw bitwy pod Lignicą. Widział naocznie zwycięstwo Tatarów, widział uciętą głowę Henryka II Pobożnego, którą Peta posłał matce poległego, błogosławionej Jadwidze, widział dziesiątki tysięcy trupów polskich i zwątpił zupełnie w możliwość odmiany na lepsze. Początkowo popadł w apatię, a potem rozchorował się tak ciężko, że musiano go wieźć wozem. Brat Wojciech pielęgnował chorego, a niepomny na surowy zakaz Pety-chana, opowiadał chłopcu o wszystkim, co się działo na Węgrzech, począwszy od pamiętnej bitwy nad rzeką Sajó, gdzie Batu-chan rozgromił Węgrów doszczętnie. Opowiadał o perfidnym postąpieniu ostatniego z Babenbergów austriackich, Fryderyka Wojowniczego, który zamiast wyruszyć, jako księżę chrześcijański przeciwko poganom, złamał święte prawa gościnności, uwięził nieszczęśliwego wygnańca, króla Béłę IV, wymógł na nim znaczny okup, a potem ogniem i mieczem ziemie węgierskie pustoszył.

Tymczasem Peta połączył się z Batu-chanem;

razem splądrowali całe Węgry, raz jeszcze zawadzili o Polskę i zanosilo się, że z kolei uderzą na półwysep bałkański, kiedy nadeszła wiadomość z Azji, że Wielki Chan, Oktaj, zmarł podczas wyprawy, że ma nastąpić wybór nowego księcia książąt,

Turakejna, chrześcijanka, wdowa po Oktaju, mająca przemożne wpływy wśród Mongołów, postanowiła osadzić na tronie swego syna Kajuka, który przy dzielnym Batu-chanie, zaprawiał się w sztuce wojennej. Udało jej się też dopiąć celu po wielu staraniach i na kurultaju w roku 1244, został Kajuk wybrany na Wielkiego Chana.

Przez te lata wyrósł Leszek, zahartował się i wyuczył języka tatarskiego doskonale. Pomimo że wiele miesięcy drogi dzieliło go od ojczyzny, nigdy o Polsce nie zapominał. Zmuszony był brać udział w przelicznych wyprawach mongolskich na południowe Chiny, na Indie. Wówczas to ocalił życie jednemu wojownikowi tatarskiemu, imieniem Mangu, a poznawszy później jego prawy charakter, zaprzyjaźnił się z nim szczerze pomimo różnicy wieku, rasy, wiary, kultury. I zdarzył los, że tenże Mangu, pierworodny syn

Tuli'ego, czwartego syna Dżingis-chana, został dzięki poparciu potężnego Batu-chana, wybrany na Wielkiego Chana, po śmierci Kajuka, na kurultaju odbytym w roku 1249. Z tą chwilą los Leszka był przesądzony. Mangu, zamiast wypuścić z niewoli tego, który mu życie ocalił, w ten sposób pojął swą wdzięczność, że postanowił nigdy się już z przyjacielem nie rozłączać. Więc zamieszkał Leszek najpierw w Pekinie zdobytym jeszcze w roku 1215 przez Dżingis-chana, a potem w stolicy Mongołów, mieście Karakorum.

Przymuszony po pozostaniu w obcych, dalekich stronach, opiekował się jeńcami polskimi, których aż tutaj przywleczono w dość znacznej liczbie. zatrudniał ich w swojej majątności, pojął za żonę pewną młodziutką branekę i miał z nią kilku synów, których w wierze chrześcijańskiej wychował przy pomocy serdecznego druha, braciszka Wojciecha. Mangu był bardzo tolerancyjny, a jeszcze bardziej jego brat oraz następca, Kubilaj. W owych to czasach powstało w Pekinie arcybiskupstwo i wiele kościołów chrześcijańskich.

W owych to czasach przybył w tamte strony słynny

podróżnik wenecki Marco Polo i przywiózł Kubilajowi list, oraz pozdrowienie od papieża Grzegorza X.

W roku 1256 ruszyła nowa na Polskę wyprawa. Leszek dopraszał się w niej udziału, ale Wielki Chan zażądał przysięgi na wierność. Leszek nie chciał się kalać złamaniem słowa danego choćby poganinowi, wobec czego pozostał, lecz nie zdołał wyprosić swego ulubionego towarzysza Wojciecha, którego jako tłumacza powleczono na Zachód.

I ów Dominikanin zjawił się dwa lata później na dworze władcy polskiego w poselstwie od Wielkiego Chana, gdzie jął się rozpytywać o Władysława ze Sambora. Bolesław Wstydlawy, wzruszony opowiadaniem zakonnika, odwlekał umyślnie termin odpowiedzi na pismo chańskie, a w międzyczasie wysłał gońców po rodzica Leszkowego.

Niechętnie posłuchał Władysław z Sambora wezwania książęcego, aby zjawić się czym prędzej na dworze w Krakowie. Oplakał już dawno śmierć siostry oraz syna jedyne, odbudował spalony przez Tatarów Niedźwiedzi Łeb i zamieszkał wśród tych gęstych borów. Zdziwaczał na odludziu, odwykł od ludzi,

jednym słowem: zdziczał. Pomimo że lat miał dopiero pięćdziesiąt kilka, pomimo, iż trzymał się krzepko lecz zniedołężniał na duchu, a włos miał siwy jak mleko.

W Krakowie czekała Władysława z Sambora wieść niespodziewana. Oto dowiedział się, że Leszek, którego uważał za umarłego, żyje, ale żyje daleko stąd i że zapewne nigdy już ukochanego dziecka nie ujrzy. Długie wieczory spędził na rozmowach z braciszkiem Wojciechem, dopytywał się o każdy szczegół dotyczący życia jedynaka, potem udał się na posłuchanie do króla z mocno powziętym zamiarem. Postanowił mianowicie uczynić pielgrzymkę dziękczynną do Rzymu, tam wstąpić do zakonu świętego Franciszka z Asyżu, a potem iść jako misjonarz w dalekie kraje Wschodu, szerzyć wiarę chrześcijańską wśród pogan.

— Da Bóg, że ujrzę jeszcze moje dziecko jedyne.

— A jeśli zginiesz? — rzucił monarcha.

— Tedy poniosę śmierć męczeńską za wiarę — odparł z zapalem przysły Franciszkanin.

Bolesław dość niechętnie dał przyzwolenie, gdyż, udzieliwszy odmownej odpowiedzi Chanowi, był

przygotowany na nowy najazd Mongołów, co rzeczywiście w roku 1259 nastąpiło. W przededniu ciężkich walk z przebiegłym nieprzyjacielem, nie chciał się pozbawiać starego, doświadczonego wodza i pewnie by przyzwolenia odmówił, gdyby o inny cel niż o pielgrzymkę i służbę Bożą chodziło.

Władysław z Sambora po porwaniu Leszka i bohaterskiej śmierci Pakosława z Sandomierza nie miał żadnych krewnych, przeto pozostała do uregulowania sprawa dziedzictwa olbrzymich włości. Kanclerz krakowski spisał więc akt tej treści, że Władysław z Sambora pozostawia swoje majątności opiece księżęcej i gdyby kiedyś Leszek lub któryś z jego potomków z niewoli powrócił, mają być one prawowitemu właścicielowi wydane.

Opatrzony błogosławieństwem prymasa Polski oraz ciepłymi słowy Bolesława Wstydlivego, puścił się Władysław z Sambora w daleką drogę i odtąd słuch o nim zaginął.

Następcy Bolesława Wstydlivego, jak Leszek Czarny, Władysław Łokietek, Kazimierz Wielki uszanowali ostatnią wolę zaginionego Władysława z

Sambora. Jego majątności otrzymywali zasłużeni rycerze w zarząd, do wiernych rąk, a dochody wnosili do skarbcza królewskiego.

Kazimierz Wielki nie pozostawił prawego potomka męskiego, mówiąc językiem kronikarza, a tron po nim objął Ludwik Andegaweński. Ludwik, któremu Węgrzy przydomek Wielkiego nadali, był rzeczywiście wielkim królem, jeżeli chodziło o ojczyste Węgry, ale w Polsce powietrze mu nie służyło. Chcąc koronę Polską przekazać po śmierci jednej ze swych córek, pracował usilnie nad pozyskaniem sobie serc możnowładców polskich. W tym celu wydał ów sławny, a smutnej pamięci, przywilej koszycki, w tym celu rozdarował mnóstwo dóbr królewskich i w tym celu darował nawet rzecz cudzą, to jest majątności pozostawione ongiś, przed lat z górą setką, przez Władysława z Sambora. Darował je możnemu rodowi Herborthów, którzy się wywodzili ze ziemi śląskiej.

Herborthowie, Herburtami z polska zwani, przyjęli darowiznę w najlepszej wierze i rozpoczęli wzorową gospodarkę. Zbudowali miasto Felstein czyli Felsztyn nad Strwiążem, Dobromil nad Wyrwą, Laszki

Murowane oraz mnóstwo innych osad. Przetrzebili lasy w dolinach rosące, popierali rolnictwo, wznosili kościoły, klasztory.

Ród Herburtów do senatorskich doszedł godności, wydał wielu sławnych mężów, rozrósł się i podzielił na kilka linii, a wszyscy Herburtowie słynęli z głębokiej, jak na owe czasy, wiedzy, z nauk, z mądrości, tak że powstało przysłowie: Tyle Herburtowie w rozum zamożni, ile książęta Ostrogscy w bogactwa.

I tak minęło lat sto.

Od śmierci bohaterskiego Warneńczyka rozpoczęło się długie panowanie mądrego króla Kazimierza Jagiellończyka, wielkiego statysty, który nie zadowolił się ostatecznym poskromieniem Krzyżaków, nie tylko utrzymywał w poddaństwie wielkiego mistrza a na wschodnich rubieżach Mołdawię, ale dążył konsekwentnie do rozpostarcia potęgi narodowej na sąsiednie państwa, jak Czechy i Węgry. On to osadził na tronie czeskim swego syna Władysława, zaś koronę węgierską chciał wywalczyć dla Jana Alberta, Olbrachtem zwanego, kiedy niespodziewanie papież Sykstus IV ujął się za Maciejem Korwinem i kłatwą

Polsce zagroził. Celem przeciwdziałania intrygom Macieja trzeba było do Rzymu wysłać magnata, któryby nie tylko kiesami złota ciskał i hojnością chciwych Włochów olśniewał, ale trzeba było przede wszystkim tęgiej głowy, bystrego rozumu, wielkiego dowcipu... Nieodżałowany Zbigniew Oleśnicki nie żył już dawno, więc wybór królewski padł na innego męża znakomitego. Owym mężem był Krzysztof Herburt.

Zaledwie jednak Krzysztof wyruszył ku słonecznej Italii, pojawił się na dworze królewskim człowiek, którego nikt nie wyglądał, nie oczekiwał, a już chyba najmniej potężny ród Herburtów.

Był to młodzieniec dziewczęcej wprost urody, smagłej cery, słusznego wzrostu, lecz szczupły, nieledwie chudy na twarzy. Wabił się Leszek, ale nazwiska nie posiadał żadnego. Od jego strojnej służby zdołano się wywiedzieć, że urodził się i wychował w stolicy Mongołów, że pochodzi ze sławnego rodu sarmackiego, którego protoplasta dostał się w pogańską niewolę, ale dzięki przyjaźni z chanami doszedł do wielkich pośród Tatarów godności oraz znaczenia.

Tymczasem urodziwy Leszek uzyskał posłuchanie u Kazimierza Jagiellończyka. Audiencja przeciągnęła się bardzo długo, paź królewski biegał późnym wieczorem do pałacu kanclerza państwa z wezwaniem od władcy. Wyszperano w archiwum poźółkły dobrze pergamin, Leszek dowiódł prawdziwości słów swoich i nie mała konsternacja zapanowała na dworze.

Okazało się niezbitcie, że przybysz z dalekiej krainy jest rzeczywiście potomkiem w najprostszej linii pochodzącym od Władysława z Sambora, kasztelana z czasów Bolesława Wstydlwego, a skoro tak, to jest też prawym dziedzicem klucza starosamborskiego, który od stu lat dzierżyli Herburtowie.

Jagiellończyk zafrasował się poważnie. Nie trafiały mu do serca uczone wywody usłużnego kanclerza, który rzymskich prawników cytując, jał mówić o przedawnieniu wszelkich pretensji przybysza. Sprzeciwiała się temu zasada słuszności, ucierpiałoby znaczenie słowa królewskiego danego przez poprzednika, dawno zmarłego Bolesława. Sprawiedliwy monarcha stanął na tym stanowisku, że ostatnią wolę Władysława Sambora uszanować należy.

Ale z drugiej strony, co począć z Herburtami? Jakiż by krzyk podnieśli na „samowolę królewską”? Co by powiedziała wiecznie niespokojna szlachta? Jakże tu rugować stuletnich dziedziców z ziemi, którą otrzymali także z rąk królewskich, bo z rąk Ludwika Węgierskiego?

Kanclerz podsunął myśl, aby Leszka Samborskiego, jak go zwać zaczęto, odszkodować jakim tłustym starostwem lub sutą królewszczyzną. Król zapalił się do tego pomysłu, ale natrafił na niespodziewany opór młodego przybysza, który rozglądał się już w położeniu i do sejmu się chciał odwoływać. Nie pomogły żadne tłumaczenia, że obdarowany tylko zyskuje na takiej zamianie. W ciągu tych lat przeszło dwustu niemało obcej krwi musiało się dostać przez matki do rodu Władysława z Sambora, bo jego potomek był uparty jak Mongoł, a ostrożny, niedowierzający, jak prawdziwe dziecko Wschodu. Wszelkie namowy czy perswazje umacniały go tylko w przekonaniu, że chce się go wyzuć z dziedzictwa i byle czym wynagrodzić...

Wysłano więc gońców po Herburtów.

Najpierwej zjawił się na Wawelu Zebrzyd Herburt, pan na Felsztynie, rodzony brat nieobecnego Krzysztofa, który jako poseł w Rzymie przy głowie Kościoła przebywał.

Kilka dni później nadjechał ze wspaniałym orszakiem stryj obu poprzednich, ksiądz Maciej Herburt, upatrzony kandydat na pierwsze wakujące w Polsce biskupstwo, a z nim przybył Jan Herburt, kasztelan przemyski, sędziwy patriarcha rodu, zastępca wszystkich małoletnich Herburtów.

Pierwsze narady miały przebieg bardzo burzliwy. Tylko obecność majestatu przeszkodziła porwaniu się do szabel. Obsypano zarzutami i podejrzeniami gwałtem się wdzierającego intruza. Ale Leszek na wszystko miał odpowiedź. Więc chociaż akcent miał obcy, mówił po polsku płynnie. Żegnał się krzyżem świętym i pilnie do katedry na nabożeństwa uczęszczał. A wreszcie przyniósł pergamin z pieczęciami biskupów, których diecezje na dalekim Wschodzie leżały, pergamin poświadczający, że Leszek-Polonus jest gorliwym chrześcijaninem oraz wielkim dobrodziejem klasztorów franciszkańskich. Leszek miał nadto z sobą

polecające pisma trzech kardynałów rzymskich. Wobec tak ważkich argumentów umilkli jego przeciwnicy i jęli się pomiędzy sobą naradzać.

Niewyczerpany w pomysłach ksiądz kanclerz przedstawił swój ostatni projekt ugody: Herburtowie mieli oddać równą połowę swych majątności w samborskiem i przemyskiem, otrzymując w zamian znacznie większe rekompensaty w lubelskiem lub sandomierskiem, nadto w razie, gdyby Leszek zszedł bezpotomnie z tego świata, lub syn jego, lub wnuk, wszelkie majątności wróciłyby do Herburtów, którzy by znów nie potrzebowali oddawać królowi dzisiejszych darowizn.

Ku zdumieniu krewniaków oświadczył Zebrzyd Herburt, że zgadza się na takie załatwienie sporu, zastrzegł sobie jedynie, że podział gruntów i przeprowadzenie granicy do niego należeć będzie.

Uparty Leszek chciał jeszcze protestować, ale wówczas sam król się zniecierpliwił i oświadczył, że dzisiejsze obszary Herburtów są większe niż dawne włości Władysława z Sambora, że powiększyli swe dziedziny dzięki nabytkom, ożenkom, spadkom, oraz

łaskom królewskim, wobec czego Leszek pokrzywdzony nie jest.

Równocześnie zaś Zebrzyd zajął się przekonywaniem krewniaków. Wywiódł im jak na dłoni, że pszenna ziemia lubelska dużo więcej warta niż liche owsiska, nieużytki, krzaki czy skały, że zresztą on bardzo umiejętnie granicę przeprowadzi i swego rodzaju nie skrzywdzi.

I ugoda stanęła.

Zebrzyd wystrzygł zaś granicę tak misternie, że Tatarczukowi (tak bowiem Herburtowie z przekąsem Leszka nazywali) przypadły same nieużytki, bory odwieczne, skały, grzbiety górskie, aż w głąb Karpat się ciągnące. Niedźwiedzi Łeb pozostał przy Herburtach, ponieważ był własnością Krzysztofa, a Zebrzyd zasłaniał się tym, że nie może rozporządzać dowolnie majątnością nieobecnego brata, natomiast przyrzekł, że nakłoni brata po powrocie, aby zamek wydał Leszkowi, za co otrzyma rekompensatę od króla. Przypuszczając też, że Krzysztof na korzystną zmianę bez wahania przystanie, nakreślił Zebrzyd linię graniczną w ten sposób, że biegła ona u stóp kopicy

górskiej, na której stały mury Niedźwiedziego Łba.

* * *

Panna Krystyna umilkła zmęczona długim opowiadaniem i przez jakiś czas trwała cisza w uszach dzwoniąca. Tylko gdzieś koło szczytu wieży zaszeleściły błony skrzydeł nietoperza, tylko leciuteńki wietrzyk zaszemrał wśród traw, wśród listowia dębów olbrzymich. Tysiącletnie drzewa-kolosa zdawały się słuchać uważnie opowiadania pięknej dziedziczki sławnego rodu, zdawały się szumem liści potakiwać jej słowom... Tak!... tak!... Stare dęby widziały wszystko. Widziały bohaterskie czyny Wilczego szczenięcia, widziały dzikie postacie wojowników Pety, Batu-chana, policzyły łzy Władysława z Sambora, łzy gorzkie, wylane nad martwym ciałem jedynej siostry, nad zamkiem spalonym, nad synem w jasyr porwanym.

Patrzyły drzewa odwieczne na świetny orszak biskupa-kanclerza, na wspaniałe zbroje Herburtów, na Leszka Tatarczuka, kiedy po usypaniu kopców granicznych zakończono spór ucztą na zamku, kiedy

starym węgryzmem i miodu kufami oblano sąsiedzką zgodę.

A kiedy pajucy wynosili bezwładne ciała pijanych biesiadników do stancji, do izb gościnnych, jeden tylko młodzieniec wyszedł na własnych nogach. Podszedł ku trzem dębom i objął je rozmiłowanym spojrzeniem. To były one!... To były owe drzewa, o których pamięć nie zagięła w rodzie Leszka, Wilczego szczenięcia. Nie zagięła pamięć, choć dwa wieki minęły, choć znikła nadzieja powrotu do ojczyzny odległej o mil dwa tysiące.

I urodziwy Leszek-Tatarczuk, potomek tamtego Leszka, przyszedł powitać stare dęby, przyszedł im ślub złożyć, że zamek odzyska i ich żołądziami będzie pasł oswojone rogacze, że w cieniu ich liści będzie się kładł co wieczór i dumać będzie.

Tak, tak. Stare dęby przeżyły wszystko i wszystkich. Stare dęby wiedzą więcej niż piękna Krzysia w książkach, w pergaminach rodzinnych wyczytała. Wiedzą, ale milczą... nie zdradzą.

Nie z jednakowej gliny ludzie są ulepieni. Nie jednakie ich serca i myśli... Bo kiedy Stach Dobromilski

przymknął oczy i słuchał po raz dziesiąty zapewne opowiadania siostry, słuchał z przejęciem, z dumą radosną, kiedy Andrzej Kaszowski wchłaniał każde słowo pięknej panny, kiedy ślizgał się spojrzeniem po zębach blanków, po basztach, wieżycach, a w bujnej swej wyobraźni widział jak żywe postacie zasłyszanej opowieści, kiedy przeżywał każdą scenę, słysząc jakby na jawie szczęk oręza, krzyki, jęki, westchnienia, ...wówczas Karol Dawidowicz pożerał łakomym wzrokiem zgrabną sylwetkę Krzysi i szeptał w duchu:

— Jaka ładna szelma!... Co za temperament... Och, ty wypieszczone, rozegzaltowane dziewczątko. Jakżebym pragnął zdusić cię w uścisku mych ramion, całować twe dumne czoło i oczy królowej, a potem wgrzyźć się w te usteczka małeńkie i kąsać je, ssać, aż do utraty zmysłów... O jakże głupi jesteś, Tadziu, mój poczciwy adwokacie! Proces przegrywasz za procesem, tylko rachunki przysyłać potrafisz.. Ale w całym twym liście jest jedna genialna „porada prawna”, za którą się zrzekasz honorarium. I dlatego właśnie głupi jesteś, stary przyjacielu, bo ta rada więcej warta od wszystkich kiepskich dotychczasowych pomysłów,

Tak... tak... Tej właśnie rady posłucham i wygram. Wygram, bo sam proces poprowadzę... interesujący proces!... i słodki... Rzeczywiście, że szalenciec by się chyba wahał.. Dziewięć tysięcy morgów lasu, trzy tysiące ornego, pałac... i jaki pałac!... Stylowe meble, dywany obrazy, brązy. Kamienica w Krakowie, willa w Warszawie, jakieś rezerwy w bankach też będą, a poza tym sperandy po stryju-dziwaku... To oprawa... Złota oprawa. A sam obraz? O tak!... Gdybym nie przegrał procesu, zdecydowałbym się na sam obraz bez oprawy... Śliczna bestia!... Śliczna jest z tym chłodem wyniosłym, wielkopańskim, z tą maską, pod którą kipi temperament Mulatki. O, ja się znam na tym i dlatego w tych dniach zaczynam ofensywę...

Kończąc swój niemy monolog, przypomniał sobie dziwną niechęć starego Dobromilskiego. Zacisnął więc kulałk i dokończył w myśli z patosem, ale z głuchą zaciętością:

— A przeszkody w pył zetnę, czy to będzie ten smarkacz Jędrak, czy jej napuszony ojciec, czy... nawet Staszek. W pył zetnę!...

W tym samym momencie wzdrygnął się

Dawidowicz, przybladła Krzysia, drgnął silnie Staszek, a Andrzej zerwał się z ziemi na równe nogi.

Jęk rozległ się na szczycie wysokiej wieży. Jęk żaloszny, trudny do opisania. Był to jak gdyby głos mordowanego dziecka, niby skomlenie, zduszone brutalną łapą.

Krótki jęk rozdarł świętą ciszę nocy księżycowej, pogodnej. Krótko trwał ten głos przeraźliwie smutny, a zanim przebrzmiał, czarny cień przesunął się wzdłuż szczytów gruzu, na wysokości drugiego piętra. Cień przemknął szybko i znikł poza konturami ruin wyniosłej wieży.

Czujne wierzchowce stuliły uszy i jęły się kręcić nerwowo w miejscu. Niesamowity nastrój ogarnął czwórkę wycieczkowiczów. Mimo woli zbili się w zwartą gromadkę. Z zapartym oddechem, z wyteżonym wzrokiem, czekali dalszych dziwów. Czekali z lękiem... ale i z ciekawością ludzi żadnych silnych wrażeń.

Lecz wieża umilkła, ucichły wszelkie odgłosy wśród ruin starego zamczyska. Jeno nietoperze szeleściły po staremu, jeno owad jakiś psykał pośród mchów i trawy.

Żaden cień nie drgnął, nie przesunął się, jak przed chwilą. Spokojnie drzemały mury ogromne, oblane powodzią srebrnego światła miesiąca.

Nagle Dawidowicz wybuchnął głośnym śmiechem.

— Czy wiecie, co to było? — zawołał.

Nikt się nie kwapił z odpowiedzią, więc ciągnął dalej:

— Sowa wam strachu napędziła!

— Sowa?

— Tak, proszę pani. Kiedy pani podczas opowiadania dochodziła do miejsca, gdzie Leszek Wilczę szczenię został spostrzeżony przez Tatarów, ujrzałem tam, u szczytu wieży, przelatującego ptaka.

— Mógł być nietoperz.

— Nie, przyjacielu... To był ptak, a rozmiary jego przeniosły wielkość nietoperza...

— To możliwe — dorzuciła Krzysia: — W ruinach gnieźdzą się rzeczywiście sowy. Pamiętam, że Staszek, jak był jeszcze chłopcem, ustrzelił tutaj sowę z floweru.

Andrzej Kaszowski potrząsnął głową przecząco:

— Sowy mogą mieć tutaj rzeczywiście wymarzoną siedzibę, ale to nie był głos sowy — rzekł.

— Zupełnie słusznie — odparł Dawidowicz. — Nie był to głos sowy, lecz płacz mordowanego zajączka lub królika, którego stary samiec przyniósł zapewne do gniazda.

— A cień? Widzieliśmy przecież doskonale ogromy cień przelatujący w górze.

— Ech, Stasiu... Taki ogromny ten cień wcale nie był. Nasza rozgorączkowana fantazja go tylko wyolbrzymia. Ja sobie całe zajście wyobrażam nader prozaicznie, a w każdym razie realistycznie. Po prostu papa-puchacz wyprawiał się na łowy, przydybał gdzieś przy koniczynie młodego zajęcia i przyniósł go ogłuszonego do gniazda. Tu wydziobał mu oko, przez co biedna ofiara przyszła na chwilę do siebie i wydała rozpaczliwy krzyk przedśmiertny. Następny cios pozbawił ją życia, ale ten krzyk właśnie przywabił mamę-sowę, która wałęsała się gdzieś w pobliżu, lub zdradzała w owej chwili swego pana i małżonka. Puściła się więc szybko w stronę opuszczonego gniazda i jej cień widzieliśmy tam, u szczytów zwalisk ściany zamczyńska. Czy nie proste rozwiązanie?

— Rzeczywiście, że proste — przytwierdził Stach

Dobromilski z uśmiechem. Krysia milczała, chociaż pytania Dawidowicza oraz żartobliwie wygłoszona hipoteza do niej były skierowane wraz z garścią spojrzeń. Wyrezył Krysę w odpowiedzi Andrzej:

— Twoje rozwiązanie, Karolu — mówił poważnie, jakby w zamyśleniu — jest istotnie bardzo proste i przemawia mi do rozumu, ale... nie przemawia do serca, do... wyobraźni... Obierasz ten drobny incydent, jakiego byliśmy przed chwilą świadkami, ze złocistych łusek romantyzmu... Nie uśmiechaj się ironicznie, bo mówię szczerze, co czuję. Oto jesteśmy wśród ruin prastarego zamku, którego historię, a raczej jej część, słyszeliśmy dopiero co z ust panny Krystyny. Ten miesiąc złoty, który, być może, milion lat sobie liczy, którego mleczna jaśń oblewa przestrzeń całą, widział Mongołów uchodzących z podpalonego zameczku, widział smutek Władysława z Sambora i widział możnych Herburtów. Patrzyły na to wszystko te trzy dęby tysiącletnie, te mury dotkliwie poszczerbione zębem czasu. A ja, kiedy przymknąłem powieki i wchłaniałem w siebie słowa opowiadania, także wszystko widziałem jak żywe... Widziałem oczyma...

duszy, oczyma mej wyobraźni... I miałem powieki szczelnie zawarte, kiedy w ciszę nocną padł jęk przeraźliwy... Zdawało mi się wtedy, że słyszę jęk siostry Władysława z Sambora, nieszczęśliwej panny Jadwigi, którą wywleczono za włosy z izby, gdzie wieszadła dla wracającego brata przygotowała... Wolę wierzyć, lub jak wolisz, chcę się łudzić, że jej głos słyszałem... chociaż twoje przypuszczenie jest najsluszniejsze w świecie, jest rozsądne, prawdopodobne, łatwo zrozumiałe.

Tu urwał Andrzej dla nabrania tchu i odchrząknawszy, chciał mówić dalej, ale Dawidowicz uprzedził go.

— Innymi słowy, powiadasz: czucie i wiara silniej mówi do mnie, niż mistrza szkiełko i oko — rzekł z wcale wyraźną ironią. — Oj, niepoprawny i zapóźniony romantyku! Zaprawdę, zaprawdę powiadam ci: wielką karierę zrobiłbyś za czasów Mickiewicza, ale jeszcze większym anachronizmem dziś jesteś. Niestety dla ciebie, a dla nas na szczęście, jesteś osamotniony razem ze swymi powiewami nieaktualnego romantyzmu... Staszek stoi po mojej stronie i panna Krystyna także.

Nieprawda, proszę pani?

— A jeśli tak nie jest, jak pan przypuszcza? A jeśli słowa pana Andrzeja więcej mi trafiają do przekonania niż pańskie?

— Nie uwierzę, panno Krystyno.

— Więc niechaj pan uwierzy.

— Mówi pani serio?

— Całkiem serio — odpowiedziała poważnie.

Aha, tędy cię wiedli. Dobrze wiedzieć — pomyślał Dawidowicz i skłoniwszy głowę, rzekł żartobliwie:

— Ha, wobec tego składam broń i przystępuję do obozu romantyków.

— Którzy są niemodnym przeżytkiem, anachronizmem, jak się pan wyrazić raczył. Hm. Szybko pan zmienia przekonania i... upodobania.

Dawidowicz poczerwieniał trochę, lecz z rewanżu zrezygnował... Ba!... Gdyby to nie była Krysia... Gdyby to było choć dwie godziny temu, kiedy nie rozumiał jeszcze nieocenionej rady swego adwokata! Ty urocza smarkulo! Nie takim egzaltowanym pannicom jak ty się odcinałem — pomyślał — ale trudno, muszę ci to płazem puścić dzisiaj. Nie chcę cię zrażać w samych

początkach. — Potem skierował rozmowę na inne tory. Zaproponował także powrót do pałacu, lecz w tej kwestii napotkał silnego przeciwnika w Andrzeju, który zwrócił się z gorącą prośbą do Krysi:

— Niech pani odmówi — prosił. — Nie jest przecież wcale tak późno, a kto wie, kiedy się znów nadarzy okazja do nocnej wycieczki w ruiny... W pałacu nie będzie pani mogła opowiadać, ze względu na ojca, a zresztą tam brak tła... tła niezrównanego... Ja proszę!... Ja bardzo panią proszę. Nie słyszeliśmy przecież ani słowa o Czarnej Pani... Domyślam się, że ona jest bohaterką drugiej części opowiadania... Zaciekawiała mnie pani, doprowadziła swą historię do zadzierzgnięcia węzła akcji i teraz mielibyśmy wracać?... To ja w takim razie sam tutaj pozostanę.

— I uciekniesz przed sową lub zającem — wtrącił Karol, ale pomimo delikatnej opozycji został przegłosowany i skazany na słuchanie dalszego ciągu opowieści. Pomyślał więc tylko pod adresem Krysi: — Widzę, że się chcesz koniecznie dzisiaj wygadać, więc miejże tę przyjemność — i usiadł zrezygnowany na jakimś głązie.

Staszek poczęstował swych gości papierosem, a potem usadowił się obok Dawidowicza.

Andrzej Kaszowski położył się na dawnym swoim miejscu na mchu. Łokcie oparł na ziemi, twarz oparł na dłoniach, oczy przymrużył lekko i w skupieniu czekał na dalszą część historii o Niedźwiedzim Łbie, o możnych Herburtach, o Leszku-Tatarczuku, którego włości dochodziły aż do podnóża góry, na której stał zameczek.

A Krysia poprawiła swą rasową rączką lśniące, czarne włosy i odezwała się w te słowa:

ROZDZIAŁ VI

Zemsta Lorenza Deł Medici

— Chytrym zamachem stanu powalił dwudziestoletni wówczas Lorenzo Deł Medici potężne rody stronnictwa górnego (tak zwanego od dumnego pałacu Pittich), poskromił Pittich, Veronich, Acciaiuolich i w roku 1468 wprowadził ostatecznie swego ojca w posiadanie Florencji, a skoro znękany przejściami Piotr umarł już w grudniu roku następnego, Lorenzo wziął ciężar sprawowania władzy na swoje barki i żeby dodać świetności swemu bankierskiemu rodowi, przywłaszczył sobie tytuł oraz stanowisko księcia.

W swych pierwszych poczynaniach, a zwłaszcza w przygotowywaniu przewrotu politycznego za życia Piotra, miał Wawrzyniec Medyceusz wiernych stronników w potężnym i szeroko rozgałęzionym rodzie Pazzich, ale przyjaźń skończyła się z chwilą, kiedy Wawrzyniec sięgnął po berło. Jedni z nich, jak Franciszek, arcybiskup pizański, lękali się zbytniej

przewagi młodego Medyceusza, inni brali mu za złe zawarcie przymierza z Wenecją, Jakób Pazzi kierował się zawiścią, a szlachetny Marek Pazzi drżał o losy ojczyźnego miasta i jako republikanin z przekonania, nie mógł ścierpieć tyranii pod ładu formą.

Tak więc dawni przyjaciele stali się wrogami zawziętymi. a ta iście południowa zawziętość i nienawiść znalazła upust w knowaniach, przysiężeniach, spiskach.

A lata biegly...

W owym czasie, pośród wielu przesławnych malarzy florenckich, bardzo wielkim powodzeniem cieszył się syn garbarza, Aleksandro di Mariano di Vanni Filipepi, znany powszechnie pod mianem Sandra Botticellego. Szczególny miał zwłaszcza dar do malowania kobiecych portretów.

Bolticelli ujrzał pewnego dnia na ulicy dziewczynkę cudnej urody, idącą w towarzystwie kilku starszych niewiast. Wrażliwy na piękno, jak prawdziwy artysta, poszedł w tropy spotkanej dziewczyny i po dłuższej wędrówce znalazł się przed pałacem Marka Pazzi, gdzie urocze zjawisko z przed oczu mu zniknęło.

Minęły dwa pełne miesiące, zanim udało się wielkiemu artyście z pomocą możnych przyjaciół nakłonić Marka, aby pozwolił malować portret swej jedynaczki. Zaważył na szali dopiero ten argument, że kiedy córka wyjdzie za mąż i jej przyszły małżonek ją do swego domu uprowadzi, pustym wyda się opuszczonemu rodzicowi pałac olbrzymi, a wielka podobizna jedynaczki będzie mu przypominać rysy ukochanego dziecka, będzie mu samotność umilać. Te względy przełamały początkowy upór Marka, lecz że artysta upierał się malować portret w swej pracowni, a nie w pałacu, przykazał magnat florencki, aby córce towarzyszyły zawsze dwie stateczne niewiasty (żona jego bowiem zmarła już dawno). Ostrożność ta miała swoje słuszne powody: piętnastoletnia jedynaczka odznaczała się wspaniałą urodą, malarz miał zaledwie trzydziesty pierwszy rok życia i opromieniała go błyskotliwa aureola sławy rozgłośniej, co, jak wiadomo, łatwo serca niewieście zniewala. A poza tym znał Marek dobrze gorącość krwi swego rodu... Z tych wszystkich przyczyn miał dziewczynie towarzyszyć orszak służby aż do domu malarza, a przy

posiedzeniach w pracowni miały ją strzec dwa stare, zaufane cerbery.

I wielki Botticelli rozpoczął portret pięknej Beatrycze Pazzi.

Olśniła go cudna uroda dziewczęcia, ale nie zdołała wyprzeć z jego serca potężnej rywalki, którą była sztuka.

Botticelli, Grek odrodzony, piewca wiosny odrodzenia, kochał sztukę tylko dla sztuki samej. Rozumiał dobrze, że piękne kobiety są, były i będą zawsze najcudowniejszymi modelami sztuki malarskiej, dla których niebo lazurowe, szmaragdowe łąki i złocista słońca poświata jest tłem tylko i dekoracją. Że są, były i będą po wsze czasy źródłem jedynym natchnienia i bodźcem przepotężnym dla poety, malarza czy śpiewaka. Że są najwonnejszymi kwiatami barw tysiąca rozszianymi hojną dłonią Przyrody po wszystkich krajach, po wszystkich epokach, stuleciach, aby dać początek najwspanialszym dziełom ludzkiej ręki. Wiedział, że są nektarem oszalamiającym, który łatwo może się w truciznę najzjadliwszą przemienić.

Botticelli wierzył w Boga Jedynego i kochał, czcił,

wielbił Stwórcę w jego najpiękniejszych dziełach. Kochał więc wszystkie piękne kobiety i te które spotkał, i te które znał z historii czy mitologii, ale żadna nie była wyłączną serca jego panią, nie wyniósł żadnej ponad inne. Miłował je jedynie dlatego, że przez nie tworzył genialne dzieła rąk swoich, że przez nie mógł służyć swej pani i kochance, która jest wieczną, a której na imię... sztuka.

Tak więc płonne były obawy Marka Pazziego, jeżeli chodzi o wielkiego artystę, ale z innej strony groźne zaistniało niebezpieczeństwo.

W owym czasie rozpoczął Botticelli pracę nad swym wspaniałym obrazem, który nazwał Mars i Venus (a który się obecnie znajduje w Londynie). Rysy Venus malował artysta z pamięci, gdyż urocza modelka, la bella Simonetta, przezwana przez współczesnych epidemią miłości, nie żyła już od roku. Poniesiono ją do grobu przez ulice Florencji tonącej w kwiatach, z odsłoniętym obliczem, ażeby cały świat mógł się napatrzeć precudnym rysom piękności florenckiej sławionej w rzeźbie, pieśni i malarstwie.

Więc z pamięci malował Venus, mając w sercu i

wyobraźni wryty jej obraz.. Żył natomiast i zachodził do pracowni osierocony kochanek zmarłej pozujący artyście jako Mars, wytworny, rycerski i piękny Giuliano Deł Medici, rodzony młodszy brat tyrana miasta.

I u Botticellego ujrzał Giuliano młodziutką Beatrycze i na jej widok szybko o cudnej Simonetcie zapomniał.

Zaczęła się znajomość, flirt niewinny, pierwsze przyspieszone uderzenia młodych serc.

Botticelli zatopiony w tworzeniu, rozmodlony w sztuce, nie widział nic.

Stare dwa cerbery poznały hojność dłoni książęcej, poczuły wagę sakiewek złota i zaniewidziały jak na komendę.

Potem przyszła cudna jesień włoska. Ludność obchodziła uroczyscie święta obfitego winobrania. Pokryły się owocem lasy cytryn. Gięły się gałęzie w gajach pomarańczowych pod ciężarem wielkich kul złotych, pachnących. Minęła pora uciążliwych upałów, a niebo żadnym nieskalane obłokiem było jako jeden przeogromny turkus.

Spisek tymczasem dojrzewał. Dla większego bezpieczeństwa schodzili się sprzysiężeni za miastem. I pewnego wieczoru wracający konno do Florencji Marek Pazzi ujrzał w pobliżu drogi, na skraju zagajenia drzewek pomarańczowych, przytuloną do siebie parę młodych. Zagrała w nim krew gorąca; wspomniawszy swoją młodość i miłości. Z ciekawością powstrzymał konia, niezauważony przez zakochanych.

Nagle zadrżał. Przywidziało mu się, że dostrzegasz szafirowy. Całkiem podobny szal kupił dla córki od przejeźdnego kupca weneckiego. Było to oczywiście niemożliwością, aby tą dziewczyną włóczącą się z kochankiem poza murami miasta wieczorną porą miała być jego jedynaczka. Beatrycze powróciła już zapewne z posiedzenia od malarza i czekała w pałacu na powrót ojca.

Jakieś niewytłumaczone przeczucie kazało dostojnemu patrycjuszowi zejść z konia, by podpatrzeć czułych kochanków.

I, niestety, serce go nie zawiodło a przeczucie było trafne.

To była Beatrycze!

A on?...

Strojny młodzieniec siedział, odwrócony do skradającego się ojca plecami.

Odwrócił się, kiedy zachrząściła gałąź...

— Przekleństwo! — ryknął Marek, poznając brata swego, wroga śmiertelnego, przeciwko któremu spiskował.

Przeraźliwy krzyk Beatryczy zagłuszył jęk Giuliana, uderzonego w głowę ręką szpady.

Marek porwał córkę na ręce i umieścił ją na koniu przed sobą, na później ojcowskie kazania zostawiając. Za najbliższym zakrętem drogi ujrzął wspaniałą kolasę oraz pajuków książęcych. Owi zaś spostrzegli także dziewczynę, która przyjechała tutaj z ich panem, która nie pierwszą z nim wycieczkę odbywała, i poznali ojca jej, nieprzejednanego nieprzyjaciela Medyceuszów. Rzucili oczyma po sobie i zgodnie odgadli, że skoro Beatrycze powraca ze swym ojcem, a młodego księcia nie widać, to musiało go spotkać jakieś nieszczęście. Nie ośmielili się pacholkiwie zaczepić dostojnego rycerza, ale rozbiegli się jak stado gołębi, kiedy weń jastrząb z góry uderzył. Dwóch kopnęło się konno w

stronę miasta, inni pośpieszyli do gaju pomarańczowego szukać swego pana.

A Marek Pazzi zrozumiał bez trudu ich myśli i pojął ogrom niebezpieczeństwa. Wiedział, że il Magnifico, jak Wawrzyńca nazywano, straszliwie pomści ukochanego brata.

Nie było po co wracać do Florencji... Chyba po śmierć oczywistą dla siebie, po hańbę dla córki.

Więc zawrócił konia i pomknął jak wicher na południe, nie przypuszczając zapewne, że już nigdy ani on, ani Beatrycze, ojczystego miasta nie ujrzą. Pozostawił pałac wspaniały, zbiory rzadkie, które kolekcjonował, jak wszyscy możniejsi patrycjusze, za wzorem Medyceuszy. Pozostawił cały majątek, wszelkie skarby, zatrzymując tylko sakiewkę złota, jaką miał przy sobie w owym dniu pamiętnym.

Tylko głowę pozwoliły mu losy unieść i córkę, która rozchorowała się tak ciężko, że wątpił czy ujdzie z nią pogoni.

Ale przecież zdołał zmylić siepaczy idących w pościgu, zdołał dotrzeć do terytorium państwa papieży.

W Rzymie przyjął go gościnnie Sykstus IV i dodał

mu orszak, który go miał bezpiecznie odprowadzić do Neapolu, gdzie panował podówczas drugi nieprzyjaciół Medyceuszów, król Ferdynand II.

Cudna zatoka neapolitańska przywróciła zdrowie chorej Beatryczy i przywróciła miłość zagniewanego ojca, skoro złożyła w kościele przysięgę, że poza pocałunkami do żadnej bliższej poufałości pomiędzy nią a pięknym kochankiem nie doszło.

I pomimo tęsknoty byłaby się Beatrycze czuła zupełnie szczęśliwa (gdyż jeszcze w Rzymie dowiedzieli się od przybyszy z ojczyznanego miasta, że cios Marka li tylko ogłuszył kochliwego młodzieńca), gdyby nie obawa o życie ukochanego.

Albowiem pomimo ucieczki głowy sprzysiężonych, spisek nie upadł, ale szerzył się jak płomień pośród stepu spalanej słońcem trawy i obejmował coraz to nowych członków. Więc przystąpił doń ambitny arcybiskup florencki Salviatti i Girolamo Riario; popierał konspiratorów papież oraz król Ferdynand, a na czele najętych morderców stanął wprawny zbir Giovanni Battista da Montesecco.

Po długich debatach wyznaczono ostatecznie na

wykonanie zamachu niedzielę 26 kwietnia roku 1478, mianowicie czas nabożeństwa w katedrze, w którym mieli wziąć udział obaj bracia książęcy. I w zacierzowanej nienawiści posunięto się aż do strasznego świętokradztwa, wyznaczając jako hasło do skutecznego napadu, chwilę podniesienia Hostii.

Toteż zamiary spiskowców nie mogły się powieść, a winnych musiała spotkać kara boska w krótkim czasie.

Bo chociaż pod ciosami sztyletów padł u stóp skalanego ołtarza piękny Giuliano, bożyszcze ludu, chociaż Wawrzyniec ranny w plecy z trudem zdołał ująć przez zakrystię, ale arcybiskup Salviatti, udawszy się do Palazzo celem uwięzienia zwierzchności, zachował się tak tchórzliwie i niedołężnie, że natychmiast obudził podejrzenie w gonfalonierze i sam stał się jeńcem tych, których chciał uwięzić. Seniorzy pochwycili za broń, lud uzbroił się na oczekaniu w oręż, jaki był pod ręką i krwawo pomścił śmierć swego ulubieńca, księcia Juliana. Arcybiskupa Salviattiego powieszono na framudze okna; arcybiskupa pizańskiego Francesca Pazziego i krewniaka jego Jakuba powleczono ze

stryczkiem na szyjach przez Palazzo i tam zawisli poturbowani srodze przed śmiercią. Innych spiskowców wymordowano w okrutny sposób, a liczny ród Pazzich zmieciono z powierzchni ziemi, nie oszczędzając ani kobiet, ani niemowląt. Tylko trzy osoby ocalały z pogromu, a to Marek Pazzi, jego córka Beatrycze i Guglielmo Pazzi, który miał za małżonkę rodzoną siostrę Wawrzyńca Medyceusza i zabitego Juliana. Jego oszczędzono, ale straszliwe niebezpieczeństwo zawisło nad parą zbiegów znajdujących się w Neapolu.

Marek Pazzi wiedział dobrze, jak daleko sięga ramię, a raczej niewyczerpana kiesa, książąt-bankierów, znał dobrze wrodzoną mściwość Wawrzyńca i drżał nie o siebie, ale o życie ukochanej jedynaczki. Wawrzyniec posunął swą zuchwałość tak daleko, że kiedy wojska papieskie oraz zastępy Ferdynanda z Neapolu rozpoczęły kroki wojenne przeciw Florencji, przyjechał sam, bez orszaku, do króla neapolitańskiego, aby go prosić o zawarcie przyjaźni. Niesłychana odwaga Medyceusza, jego śmiały i patriotyczny krok, wywarł olbrzymie wrażenie

na Ferdynandzie, który z wroga stał się nagle wielkim przyjacielem Florencji. W dniu zawarcia przymierza uszedł z Neapolu późną nocą powiadomiony na czas Marek Pazzi i wraz z córką przybył do Rzymu.

Przestronne Włochy zaczęły być ciasne dla pary nieszczęsnych zbiegów. Marek czuł, że nawet tu, przy boku głowy Kościoła, nie jest bezpieczny, że chodzą za nim krok w krok jakieś tajemnicze, podejrzane postacie, że prędzej czy później czeka go cios sztyletu lub dawka trucizny w potrawie.

I omalże tak się nie stało...

Pewnego wieczoru wracał Marek Pazzi z posiedzenia patriotów florenckich do domku, który odnajmował. Dla skrócenia sobie drogi szedł w pobliżu ruin Colosseum, spiesząc do córki, którą nierad opuszczał. Kiedy mijał mury prastare... nagle... obkoczyło go kilku zbirów odzianych w czarne płaszcze, uzbrojonych w szpady, w sztylety. Pazzi odepchnął najbliższego napastnika, przebił się aż do potężnych filarów Colosseum i oparł się plecami o zrąb muru, aby nie dać sobie zająć tyłów. Zaczął walczyć, zaczął się bronić, jak broni się rozżarty odyniec przed

sforą zajadłych kundli.

Walka nierówna przeciągnęła się, siły napadniętego topniały, krew mu uchodziła z ran kilku, ale zbyt był dumny, aby krzykiem pomocy wzywać. Za to jeden ze zbirów, któremu cios oręża Markowego uciął pół dłoni, wydał ryk nie ludzki i jęcząc głośno, jął się wycofywać z pola walki.

Wrzask okaleczonego napastnika przywabił wówczas pomoc niespodziewaną. Oto wśród ruin posepnych błdził rycerz z dalekiej północnej krainy, rycerz chrześcijański, który zachodził często wieczorami do Collosseum i modlił się żarliwie na szarych kamińkach areny, gdzie ongiś strugi krwi męczenników spływały pod łkami lwów, pod ciosami mieczów gladiatorских, pod szponami panter, tygrysów.

Tym rycerzem był poseł króla Polaków...
Krzysztof Herbut.

Oslupieli siepacze Wawrzyńca Medyceusza, kiedy obok słaniającego się Marka Pazzięgo wyłoniła się spoza filaru postać rosła, rzec można olbrzymia, dziarska a rycerska, kiedy zamigotały błyskawice

ciosów ciężkiego miecza. Pozostawiwszy dwóch zabitych na placu, zbiegli w zabobonnym przerażeniu, upatrując w nowym przybyszu jakąś zjawę nadprzyrodzoną.

Z trudem dowlókł Krzysztof ocalonego przez siebie człowieka do jego domku.

Takim to sposobem poznał Krzysztof Herbut cudną Beatrycę Pazzi, a poznawszy, nie mógł jej już zapomnieć.

I pół roku później wyruszył z Rzymu świetny orszak polskiego magnata. W poślacanej kolasce jechała Beatrycze wraz z ojcem swoim. Orszak wyruszył na północ, w stronę Alp wyniosłych, omijając skwapliwie dziedziny Florencji. Para niedobitków nieszczęsnej rodziny Pazzich skorzystała chętnie z zaproszenia możnego pana i użyczonych gościny, która miała trwać tak długo, póki nie przeminie mściwy gniew Wawrzyńca Medyceusza, póki czas, lekarz najlepszy, nie zagoi w sercu księcia florenckiego rany i bólu po stracie ukochanego brata Juliana... Tak mówiono na wyjeźdźnym, ale Marek Pazzi, widząc szczerą troskliwość swego zbawcy dla Beatryczy, myślał w

duchu, że zapewne gościna ta przeciągnie się znacznie dłużej i zakończy się węzłem małżeńskim, czemu wcale przeciwny nie był, poznawszy szlachetny charakter Polaka i z obejścia, form wyrobionych, jako też bogactw, domyślając się krwi dobrej oraz rodu dostojnego.

A Krzysztof nie mógł oderwać oczu od cudnych rysów dziewczęcia, od lśniących splotów hebanowych, od smukłej, królewskiej postaci i roił podobne nadzieje jak Marek.

Długa i mozolna naówczas podróż odbyła się szczęśliwie. Nie było takiego śmiałka, który by się powążył zaczepić orszak posła potężnego króla polskiego, zresztą niebawem wjechało w dziedziny rozległe Władysława Jagiellończyka, króla Czech i Węgier, a najstarszego syna władcy Polski, Kazimierza.

Wczesną wiosną roku 1482 stanął Herburt w Krakowie, a krótko potem w swych włościach.

Wspaniałe przyjęcia, łowy, igrzyska, turnieje trwały bardzo długo, ale skończyły się wreszcie i rozpoczęło się życie normalne, jednostajne... nudne i ciężkie do zniesienia dla dziecka wspaniałego odrodzenia

włoskiego, dla pięknej, dwudziestoletniej prawie Beatryczy. Miast cudnego lazuru nieba, widziała ponad sobą coraz częściej przewalające się kłęby chmur ołowianych, szarych lub czarnych. Miast przepięknych dni słonecznej Italii przeżywała dni dżdżyste, ponure, bezbarwne.

Nie było tu ani cyprysów, ani wyniosłych palm o liściach jak wachlarze lub strusie pióra olbrzymie, ani zwojów pnącego się wina, ani cytryn, fig, ani gai pomarańczowych, które w umyśle Beatryczy łączyły się z wspomnieniem cudnych chwil, spędzonych sam na sam z pięknym jak bożki pogańskie Giulianem. Miejsce wspaniałej pinii, która słup dymu Wezuwiusza przypominała, zajęła biedna polska sosna z gałęziami melancholijnie się zwieszającymi ku dołowi. Z okien zamkowych spoglądała Beatrycze co dnia na trzy poważne swą sędziwością i wzrostem dęby, które rosły pośrodku dziedzińca. Przez zamazane od deszczu szyby widziała nieprzebyte lasy świerków, nasiąkniętych obfitymi opadami tak, że wyglądały jak zmokłe kury, które przysiadają pod okapem i od czasu do czasu wstrząsają nastroszonymi piórami.

Smętek beznadziejny wiał od tej okolicy, monotonnej w porównaniu z boskim krajobrazem Neapolu lub Florencji. Smętek kamieniem na serce południowca padający czał się u stóp każdego drzewa, snuł się wraz z oparem sinych mgieł porannych, spadał z każdą dżdżu kroplą.

Tymczasem układy w sprawie wydania Leszkowi-Tataczukowi Niedźwiedziego Łba nie postąpiły ani o krok naprzód i stały na martwym punkcie, bez wszelkich widoków na przyszłość. Krzysztof uszanował wolę królewską, zatwierdził umowę, zawartą przez brata Zebrzyda w sprawie zamiany dóbr, ale ani słyszeć nie chciał o wydaniu przybranego gniazda rodzinnego. Ofiarował Leszkowi inne rekompensaty, lecz ów z uporem iście mongolskim obstawał przy swoim i za żadne skarby nie chciał się wyrzec zamku przyobiecane go przez króla i innych Herburtów.

Obustronna zaciętość doprowadziła do niezgody sąsiedzkiej, do niechęci, intryg, pogrózek.

Tak minęło lato...

Nagle przyszła wieść o ciężkiej chorobie króla Kazimierza. Ksiądz Maciej Herburt donosił poufnie

bratankowi, że wspaniały monarcha nie dźwignie się już zapewne z łoża boleści, że kwestia następstwa tronu nie jest bynajmniej ustalona, bo ze starszeństwa należy się korona Władysławowi, władcy Czech i Węgier, którego ojciec chce wydziedziczyć za niekorzystne układy w Ołomuńcu z Maciejem Korwinem. Drugim pretendentem jest syn Jan Albert, Olbrachtem zwan z polska, podczas gdy Litwa rada by widzieć na stolcu królewskim królewicza Aleksandra.

Tak poważna chwila w dziejach potężnego mocarstwa, z którym liczyła się cała Europa, wymagała obecności w stolicy najwyższych dostojników, najdzielniejszych polityków-statystów, a takim był między innymi Krzysztof Herbut.

Krzysztof zdecydował się szybko i w kilka dni z zamku wyruszył. Wyruszył cichaczem, aby nie zwrócić uwagi w sąsiedztwie siedzącego Tatarczuka. Chciał bowiem na Wawelu załatwić definitywnie sprawę posiadania Niedźwiedziego Łba, a dla uzyskania korzystnego dla siebie rozstrzygnięcia wołał ubiec przeciwnika, który mógłby przecież również pośpieszyć do króla, by bronić swoich interesów.

Tak więc życie na zamku przycichło jeszcze bardziej po wyjeździe Herburta i Beatrycze była bliska melancholii, kiedy nagle gość czarownicy, przez Włochów nieoczekiwany w tym kraju, nadbieżał.

A gościem tym była cudna, ciepła jesień polska.

Gięły się gałęzie drzew ogrodowych pod ciężkim brzemieniem dojrzałych owoców. Opadały zwolna na ziemię liście powiędłe, pożółkłe, brązowe, czerwone. Sypnęły dęby-olbrzymy garściami żrałych żołądździ ku uciesze płochliwych saren, rogaczy, dumnych jeleni, mrukliwych dzików. W pogodne, ciepłe południa snuły się w drgającym powietrzu srebrne nici babiego lata, płatały się dokoła długich szpilek sinozielonej sosny, motały przędzę jedwabistą wokół szyszek świerkowych.

Jesień...

Ranki były chłodne. Słońce spoglądało wtedy jak gdyby przez kwef z białej gazy utkany a w jego blaskach skrzyły się szczodrobliwie rozsiane miliardy brylantów rosy i mieniły się tęczą barw tysiąca. Krowy, oczekujące rychło potomstwa, szły dostojnie, poważnie, ścieżkami leśnymi w dół ku łąkom,

pastwiskom i spoglądały dobrotliwie, wyrozumiale na figle pastuszków. Rolnik zjeżdżał ku polom ornym, oglądał lśniące skiby, wczoraj przewrócone, po których skakały pociesznie stada kawek aksamitnych.

Jesień!...

Po obiedzie słońce grzało aż miło. Gromadziło w starej ziemi ciepło na zapas, na długie zimy miesiące, wywabiało na wierzch zieloniutki źdźbła ozimin z ziarna dopiero co posianego. Rozgrzewało powietrze, nasycając je życiodajną ciepłotą na zapas, na chłodne noce jesienne. Przenikało mroczne chaszczce boru stuletniego i gęstwę świerków, szerokich w nasadzie.

Jesień!...

U schyłku dnia zapalało słońce szkarłatne łuny w zachodniej nieba stronie, Po turkusowym firmamencie pasły się wełniste, białe baranki-obłoczki, sunęły za powiewem słabego wiatru złote chmurki-motyle. Szkarłatne łuny padały na rzekę i od tych refleksów kręta rzeczka górską, wijąca się u stóp gór w oddali, lśniła jako wstęga szczerozłota. Lśniła, błyszcziała, perlila się skrami oślepiającymi aż do końca zorzy wieczornej...

Jesień!...

Cóż dziwnego, że w takie cudne dni wymykała się Beatrycze z zamku i w głębokiej zadumie szła przed siebie pośród pięknej przyrody najpiękniejsza, szła jak urocza księżniczka z zamku zaklętego, jak z bajki wysniona królowna. Cóż dziwnego, że pogrążona w swych myślach, że wspominając ową boską jesień, kiedy za murami Florencji patrzyła w czarne oczy Giuliana, że ogarnięta szaloną tęsknotą, przeoczyła i minęła kopce graniczne i nieświadomie weszła w posiadłość Leszkową? Cóż wreszcie dziwnego, że bliski sąsiad wałęsający się wzdłuż granicy swych włości spotkał wdzięczne zjawisko i przystanął jak wryty?

Beatrycze w ciągu swej znajomości z Krzysztofem Herburtem w Rzymie oraz w ciągu swego siedniesięczonego pobytu w Polsce poznała język polski na tyle, że mówić mogła swobodnie, tylko pisać jeszcze nie potrafiła. Lecz po cóż pismo, gdy słowa, gdy spojrzenia wystarczą?

Byli młodzi oboje, zdrowi, piękni, krwi gorącej i stęsknieni za miłością.

Po cóż się więc silić na nieudolne, banalne opisywanie tego uczucia godnego bogów, które można przeżyć, ale nie można zgodnie z prawdą opisać bez popadnięcia w nudną ckliwość lub bombastyczną przesadę i patos?

Po pierwszym, przypadkowym, spotkaniu nastąpiły dalsze, wcale nie przypadkowe, coraz częstsze, coraz dłuższe, coraz miłsze.

Leszek przypominał i przypominał dziewczynie zamordowanego przez krewniaków Giuliana Del Medici. Posiadał jego wzrost, jego smukłą, zgrabną sylwetkę. Tylko włosy miał nie tak aksamitne, tylko oczy nie tak błyszczące. Za to głos jego był niezrównany. Kiedy szeptał o swej miłości, głos jego szemrał, jak szemrze morze szafirowe w dzień bezwietrzny, pogodny, gdy tuli się do stóp skały-kochanki i zimne całuje głązy. Kiedy się zaklinał i przysięgał, głos jego huczał jak dzwon bez skazy ze spiżu odlany w pracowni mistrza znakomitego. A spojrzenia jego oczu, choć nie tak błyszczących jak u Giuliana, przenikały ognistą dziewczynę do głębi stęsknionego serca, przepalały ją, oszalały,

zwyciężały.

Pewnego popołudnia Beatrycze nie przyszła na schadzke.

Marek Pazzi zachorzał i córka musiała pozostać przy łozu. Przyczyny choroby Marka były trudne do odgadnięcia dla otoczenia. Nie zawinił przecie klimat, skoro jesień była szczerza jak złoto, a ciepła jak noc neapolitańska. Nie zawiniły umartwienia, bo stratę majątności dawno przeboleał, długiego ramienia i zemsty Wawrzyńca Medyceusza się nie obawiał pośród tych borów dalekiej północnej krainy. A jednak? A jednak Marek był ciężko chory i z dnia na dzień stan jego się pogarszał. Nadaremnie znachor okoliczny poił go wywarami ziół i swojskimi medykamentami w obfitości wielkiej nadziewał. Ani uroki nie pomogły, boć ciało Florentczyka było zdrowe, a tylko dusza chorwała. Dziś słabość taką zowie się nostalgią, dawniej nazwy nie znano, więc i nie znano choroby.

Przyszła zima...

Białe płateczki śniegu sypały się z chmur nad górskimi szczytami rozpostartych, opadały w dół, pokrywały ziemię całunem miękkich puchów. Ciepłym

kożuchem otuliły łąki, które przedtem szron siwy rankami ubierał, otuliły i zabezpieczyły przed mrozami rzadkie zresztą wówczas w tych stronach oziminy. Sosny i świerki pobieleły, a gałęzie ich przygięły się nisko ku ziemi pod ciężarem śniegu okiści.

Skoro tylko spadły pierwsze śniegi, pchnęła Beatrycze gońców do pana zamku, donosząc o ciężkiej niemocy ojca i prosząc o przywiezienie z sobą jakiegoś lekarza, tych bowiem nie brakowało w Krakowie na dworze królewskim.

W kilka dni po Bożym Narodzeniu powrócili dopiero gońcy i przynieśli przede wszystkim radosną wiadomość, że wspaniały monarcha Kazimierz Jagiellończyk wyzdrowiał i z wiosną ruszy na Turków. Krzysztof Herbut donosił natomiast, że wraca za dwie niedziele i przywiezie z sobą rodaka swoich gości, niejakiego Giovanniego Soderiniego z Pizy oraz jego dworzanina imieniem Baldassare, który jest biegłym medykiem i zna się na wszelkiego rodzaju słabościach i ranach.

Dwa tygodnie zbiegły szybko, a przez ten czas zdołała Beatrycze tylko dwa razy wyslizgnąć się z

zamku i wybiec na spotkanie ukochanego, który całymi dniami wyczekiwał na nią w pobliżu kopców granicznych.

Krzysztof Herburt dotrzymał słowa. Stawił się punktualnie, przywożąc dwóch Włochów do Niedźwiedziego Łba. Wnet gruchnęła wieść po okolicy, że spór o zamek został definitywnie przez króla rozstrzygnięty na korzyść Krzysztofa, a to głównie dzięki protekcji biskupa przemyskiego, księdza Macieja Herburta. Leszek-Tatańczuk otrzymał zresztą niebawem odnośne pismo kancelarii królewskiej i wpadł w gniew straszny, a potem popędził czym prędzej do Krakowa, aby dochodzić swoich praw.

Tymczasem ciche komnaty zamku ożywiły się niezwykle.

Gościnnie gospodarz przywiózł ze sobą komediantów, grajków i co wieczór kapela przygrywała do wieczerzy. Tylko wzgląd na świeżą żalobę po Stanisławie Herburcie, kuzynie Krzysztofa, wstrzymywał zebranych do puszczenia się w tany, ale za to wesołość stała się udziałem wszystkich. Giovanni Soderini swym humorem, żartami, wymową rozruszał

nawet Marka Pazziego, który też opuścił niebawem łóżce i czuł się na ogół dobrze, uzalając się jedynie niekiedy na dziwny ucisk koło serca oraz duszność nieokreśloną.

Pewnego wieczora Krzysztof zaprosił Marka do swoich komnat prywatnych, gdzie, zamknąwszy się, mieli długą ze sobą rozmowę. Wszystko już spało w zamku, kiedy dwaj mężczyźni ukończyli poważną konferencję. Marek Pazzi z rozjaśnionym od radości obliczem pospieszył natychmiast do sypialnej komnaty swej córki, a Krzysztof, poważny, surowy, jak zazwyczaj, uklęknął wpierw przed obrazem Bożej Rodzicielki, pomodlił się krótko, dziękczynnie, lecz gorąco, a potem siadł do pisania listów. Więc pisał do swego brata Zebrzyda, do bliższych i dalszych krewniaków, prosząc ich na swoje wesele. Więc wykaligrafował piękną epistołę do stryjca, księdza biskupa Macieja, aby przybył udzielić mu ślubu z piękną Beatrycze, nieszczęśliwą córą słonecznej Italii.

Od tego wieczoru minął miesiąc.

Po pierwszych przymrozkach nastąpiła krótkotrwała odwilż, a potem mrozy chwyciły

siarczyste. Gołedź i ślizgawice pokryły nowe całuny śnieżne, wichry szalały wśród górskich kniej i chaszczy leśnych, zamieć potworzyła miejscami zwały trudne do przebycia, aż wreszcie nastąpiła cisza jednostajna, głucha, straszliwa. Zgłodniałe wilki ruszały ze swych kryjówek, podchodziły aż pod chaty wieśniacze, aż pod mury zamkowe, a nocami wyły ponuro, złowieszczo. Pod noc nikt nie puszczał się w drogę, chyba z licznym poczem zbrojnych, chyba z pochodniami, z bronią w rękę, a i dniem niezbyt bywało bezpiecznie puszczać się samopas poza ludzkie siedziby.

W tych warunkach nie mogła się Beatrycze wymknąć z zamku, żeby biec do Leszka. Zresztą słuchy chodziły, że stroniący od ludzi Tatarczuk siedzi jeszcze wciąż w Krakowie i stara się nadaremnie obalić przesądzone rozstrzygnięcie w sprawie Niedźwiedziego Łba.

Beatrycze była w rozpacz. Wiedziała, że ojciec upatruje najwyższe szczęście w jej związku małżeńskim z Herbrutem i czuła, że nie odważy się rodzicowi wyznać prawdy... iż kocha innego, iż tym innym jest właśnie nieprzyjaciół Krzysztofa, który życie niegdyś

Markowi w Rzymie ocalał i bezdomnym zbiegom w swych majątnościach serdecznej gościny użyczył. Nie łudziła się wcale, że poprawa zdrowia ojcowskiego jest chwilowa, jakby sztuczna, że tylko wola przemaga upartą chorobę, ale lada cios, lada zawód, a Marek powali się znów w łóżko bóleści, by więcej nie wstać. A takim ciosem byłoby bezwątpienia zwiastowanie ojcu, iż niewdzięcznością chce nakarmić zacnego dobrodzieja Krzysztofa, iż odrzuca jego prośbę, pogardza jego dobrocią, jego osobą, imieniem i przedkłada ponad niego jakiegoś młokosa, niezbyt pewnego pochodzenia, nie wiadomo jakiej religii, włóczęge, intruza, w dodatku osobistego wroga Herburtów.

Beatrycze lubiła Krzysztofa, ceniła go, szanowała, poważała, czuła dlań wdzięczność głęboką, ale... od największej wdzięczności do miłości droga bardzo długa... i... często nie do przebycia. Więc porównywała dziewczyna obu rywali, a każde takie porównanie wypadało na korzyść tamtego. Krzysztof był wdowcem bezdzietnym, lat liczył pięćdziesiątkę niespełna, siwe miał włosy na skroniach, był poważny, surowy, mało mówny, pochłonięty w całości przez sprawy

publiczne lub gospodarke, co nie interesowało zupełnie młodej dziewczyny, wychowanej wśród pierwszych powiewów cudnego odrodzenia w boskiej Florencji, gdzie przedmiotem rozmów, tematem rzeźb, malowideł, sonetów były igraszki bożków helleńskich, faunów, nimf, satyrów, ich życie swobodne aż do rozpusty, ich miłości, przygody.

A Leszek?

Leszek miał lat dwadzieścia i kilka. Może ich miał nawet ze trzydzieści, lecz na to nie wyglądał. Leszek Poznał w czasie swej olbrzymiej podróży nie tylko wysnzione, czarodziejskie krainy Wschodu, ale także zwiedził przy końcu swej wędrówki wybrzeża Morza Śródziemnego i wenecką nawą do Italii zawinął, a stamtąd dopiero przybył do Polski. Leszek umiał opowiadać całymi godzinami o swych podróżach, o ziemiach czy miastach zwiedzonych, o ludach, których skóra miała wszelkie odcienie, od cytrynowego począwszy, a na czarnym skończywszy. I Leszek, który tyle zwiedził świata, zaznaczał w każdej rozmowie, że najpiękniejszą krainą są Włochy. Stąd wspólne ich sympatie do jeszcze większego zbliżenia prowadziły.

Leszek nie wygłaszał nudnych tyrad o suchych, bezbarwnych, nieciekawych sprawach publicznych, a co najważniejsze, Leszek był młody, piękny, wesoły, śmiały, spojrzenia jego oczu były dziecinnie szczere lecz krew burzące, jego usta całowały słodko ale oszałamiająco.

Tak więc cała sympatia, dusza i serce dziewczyny były po stronie nieobecnego Tatarczuka, a tymczasem do zamku jęli się zjeżdżać goście. Stanowcza chwila zbliżała się wielkimi krokami.

Zebrzyd Herburt, młodszy brat Krzysztofa, nie był rad z tego małżeństwa, licząc snadź na to, że po śmierci swej pierwszej małżonki nie wstąpi brat więcej w związki małżeńskie i dobra jego jemu, Zebrzydowi, przypadną. Toteż jadąc do Niedźwiedziego Łba wstąpił do Przemyśla i odpowiednio podjudził biskupa Macieja oraz Jana, sędziwego patriarchę rodu, a także młodszych Herburtów.

Ale po przybyciu do Niedźwiedziego Łba stało się wprost przeciwnie. Siwiutkiego kasztelana ujęła od razu za serce smutna a przepiękna twarzyczka Beatrycze, jej słodczy, skromne zachowanie, zaś biskup Maciej, który

spowiadając Włoszkę, poznał jej serce, polubił ją także i tylkoznaczając drobną pokutę, nakazał jej zapomnieć o Giulianie i o Leszku. Zbyt był wyrozumiały i doświadczony, aby brać za złe dziewczynie młodzieńcze porywy jej serca oraz pocałunki, które południowy spowodował temperament.

Zebrzyd, osamotniony, nie manifestował otwarcie swej niechęci ku przyszłej bratowej, tylko niekiedy zręcznymi póśłówkami natrącał o zepsuciu panującym we Włoszech, o zgniliznie moralnej nowej Sodomy – Florencji.

I w kaplicy zamkowej odbył się ślub.

Beatrycze zemdlala dwukrotnie, a idąc wśród orszaku do komnat, rzucała tęskne, zrezygnowane spojrzenia w stronę lasów zamek otaczających, jakby wypatrywała stamtąd wybawienia, pomocy od kogoś... jakby wspominała cudne chwile schadzek z urodziwym Leszkiem, jakby go żegnała na zawsze. A potem spotkała łagodny lecz strofujący wzrok biskupa i natychmiast opuściła oczy ku ziemi.

Kielichy stuletnim napełnione węgryzmem krążyły gęsto w czasie uczyty weselnej. Stół olbrzymi, wspaniałą

zastawą nakryty, zajmował prawie całą długość rozległej sali, a kapela na chóрку umieszczona przygrywała w przerwach pomiędzy toastami. Cudne pacholeta za paziów przebrane usługiwały pod okiem czujnego mistrza ceremonii, który skrzętnie baczył, aby w żadnym pucharze ani na chwilę dno nie zaczynało świecić, i natychmiast kierował pacholków ze srebrnymi konwiami, aby dolali ulubionego węgryzyna lub małmazji z dalekich stron sprowadzonej.

Więc niefrasobliwa wesołość panowała na sali, a niesione ku ustom kryształowe puchary, połączane kielichy, zwężone pośrodku szczerosrebrne roztruchany rzucały snopy iskier w świetle jarzących się świec tysiąca. Humory stawały się coraz lepsze, śmiechy rozbrzmiewały salwami. Rozochocił się nawet Zebrzyd z mariażu brata niezadowolony, blada twarz Marka Pazziego nabrała żywych kolorów i okrasily ją rumieńce. W końcu nawet Beatrycze, pod wpływem wypitego wina oraz żartobliwych opowiadań Soderiniego, poweselała nieco i kilka razy nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

A usta wesołego Włocha nie zamykały się ani na

chwilę.

Sypał uciesznymi anegdotami, historiami mało prawdopodobnymi, żartami, prawil komplementy księdzu biskupowi, dworne grzeczności kobietom, tryskał dowcipem, słowami śliskimi ale dla oka nader układnymi, wymyślał na poczekaniu facecje, dykteryjki, jednym słowem, bawił wszystkich i do łez śmieszył.

Giovanni mówił bardzo biegle po łacinie, ale znał już dość wiele polskich wyrazów, toteż nawet białogłowy rozumiały treść jego szybkiej paplaniny, a czego nie pojęły, to wytłumaczyła im jego wymowna gestykulacja, miny i grymasy.

Raptem przeszedł Włoch na temat poważniejszy. Jął wychwalać zwyczaje polskie, lechicką gościnność, sarmackie męstwo, słowiańską otwartość i szczerłość, ale największy kładł nacisk na święte prawa gościnności.

— Podobno u was — mówił — nawet wróg śmiertelny może się czuć bezpieczny, jeżeli wejdzie jako gość do domu swego przeciwnika.

— Tak — przytwardził biskup Maciej — jeżeli wejdzie jako gość, może się czuć bezpiecznym, gdyż

włos mu z głowy nie spadnie. Inna rzecz, gdyby się zakradł zbój z bronią w ręku.

— Ale jeśli go zaproszono?

— Wtedy chronią go święte prawa gościnności.

Tymczasem Zebrzyd Herburt podniósł się i wygłosił toast na cześć narodu włoskiego, którego przedstawiciele widzi tu na sali w osobie uroczej bratowej, jej dostojnego ojca, wymownego Giovaniego Soderiniego, oraz znakomitego eskulapa Baldassarego.

Marek Pazzi odwzajemnił się gładką mówką, a potem przemówił Giovanni. Zrobiła się cisza ogólna, gdyż wszyscy oczekiwali nowych dowcipów i żartów, lecz wesolek zrobił zawód tym razem. Zaczął od wysławiania przyjaźni, które to uczucie jest jednym z najpiękniejszych i jest źródłem powstawania dzieł najbardziej wiekopomnych, w przeciwstawieniu do niezgody, która burzy, rujnuje, niszczy i przyczynia się do wytopienia jednostek najszlachetniejszych. Tu podniósł głos mówca i tak prawił dalej:

— Niedaleko przykładów szukać. Weźmy tylko obecnego tutaj Marka Pazziego. Oto stary ród patrycjuszowski, którego on był głową, rozpoczął

rywalizację z książęcym domem Medyceuszów o władzę nad ojczystą Florencją. Szlachetna zrazu emulacja przeobraziła się potem w śmiertelną nienawiść, która straszne wydała owoce. Było to przed czterema laty. Od sztyletu Jakuba Pazziego zginął młody książę Giuliano, zginął w czasie świętej Ofiary, u stóp ołtarza katedralnego. Sam Wawrzyniec Del Medici wyszedł ranny z opresji, a potem mszcząc śmierć ukochanego brata wygubił prawie doszczętnie znakomitą rodzinę Pazzich... Oto zgubne owoce nienawiści. Dziś szlachetny Marek, którego tu widzimy, błąka się po obcych krajach, a i Wawrzyńcowi Medyceuszowi wytepienie tyłu nieprzyjaciół nie dało żadnego zadowolenia, ani nie wskrzesiło nieodżałowanego brata.

Wszyscy obecni słuchali ze wzrastającym zaciekawieniem, różnymi miotani uczuciami. Sędziwy kasztelan, patriarcha rodu Herburtów i biskup Maciej sposepnieli dziwnie, usłyszawszy o zamordowaniu Giuliana w kościele i do tego w czasie nabożeństwa. Takich świętokradztw, które gdzie indziej były na porządku dziennym, nie znała Polska poza jedynym

czynem króla Bolesława Śmiałego, ale i ów działał w gniewie niepohamowanym, a grzech swój długą pokutą okupił. Tam zaś, podczas zamachu na Medyceuszów, zbrodnię z góry uplanowano, na równi zaś z najętymi zbirami dobyli sztyletów duchowni, członkowie rodziny Pazzich. Wszakże Francesco Pazzi był arcybiskupem pizańskim. Więc zasepiły się oblicza Herburtów i obawa ścisnęła ich serca, aby gniew niebios za popełnioną zbrodnię nie zaciążył nad zacnym Krzychem, który w dniu dzisiejszym młodą Beatrycę Pazzi poślubił.

Marek Pazzi siedział podparty na łokciu, blade, znękany, starając się domyślić, do czego zmierza opowiadanie rodaka. Wprawdzie pochlebily mu pochwały wyrzeczone o jego rodzie, zwłaszcza zrównanie z książęcym domem De| Medicich, ale jakieś przeczucie mu mówiło, że nieszczęście wyniknie z całej oracji. Więc zawisł spojrzeniem swych rozumnych oczu na ustach mówcy, jakby chcąc odgadnąć, jakie jeszcze niespodzianki padną z tych warg ironicznie uśmiechniętych.

A Beatrycze pobladła silnie, usłyszawszy wzmiankę

o Giulianie i zastygła w bezruchu, w odrętwieniu, w niespokojnym oczekiwaniu...

Tymczasem Giovanni Soderini odpoczął nieco i ciągnął dalej:

— Tak tedy książę Lorenzo Deł Medici począł się głęboko zastanawiać nad zgubnymi skutkami nienawiści i zaniechać jej postanowił. Chociaż został panem Florencji, a Marek Pazzi jest zbiegiem dzisiaj, il Magnifico pierwszy rękę do zgody wyciąga. Przez usta moje prosi ciebie, Marku, o przyjaźń.

— Co?! Jak?! — zawołał ojciec Beatryczy, zrywając się z miejsca.

— Prosi cię o przyjaźń. Chociaż nie jestem jego dworzanimem ani przyjacielem, lecz bawiąc przypadkowo we Florencji i zasłyszawszy o trosce gnębiącej szlachetnego księcia, podjąłem się misji tym chętniej, że miałem niebawem wyruszyć w poselstwie do wspaniałego monarchy Polaków. W Krakowie dowiedziałem się, że ty, Marku, korzystasz z gościny tego tu dostojnego senatora — w tym miejscu uczynił Soderini foremny skłon głową w stronę poważnego Krzysztofa — i skorzystałem z jego zaproszenia, aby ci

przynieść wieść, jak mniemam, radosną.

— Nie wierzę słowu Medyceusza — wybuchnął Marek Pazzi.

— Księżę Lorenzo w dowód swych uczuć przyjaznych dar cenny ci posyła, który...

— Jego darów się lękam — wołał dalej zacietrzewiony Florentczyk, a ksiądz biskup Maciej mruknął pod nosem:

— Timeo Danaos et dona ferentes.

— Krzywdzisz go nieuzasadnionym podejrzeniem — zaczął znów Giovanni Soderini i w długim przemówieniu udowodnił jak na dłoni szczerść znakomitego księcia, któremu nie darmo za życia przydomek Wspaniałego dodano. Powiedział, że skoro Marek lęka się powracać do Florencji, to może pozostać poza jej granicami, jak długo zechce, lecz każdej chwili wolno mu przybyć do miasta ojczystego, gdzie nań czeka oddany przyjaciel Lorenzo, aby mu dłoń szczerze uściśnąć i wrócić pałac oraz skonfiskowane majątności.

Przemówienie Soderiniego uczyniło wielkie na zebranych wrażenie. Stary kasztelan zwrócił się w

gorących słowach do Marka, tłumacząc mu, że nie powinien odpychać ręki nieprzyjaciela zgody pragnącego, gdyż uporem swym może córkę błogosławieństwa bożego pozbawić. Uczony biskup Maciej sięgnął do autorów starożytnych i mowę swą okraszył stosownymi cytataми tak z dzieł pogańskich autorów klasycznych jako też z Pisma Świętego oraz ze słów ojców Kościoła.

Naciśnięty ze wszech stron rozczulił się Marek Pazzi. Uścisnął wyciągniętą rękę Soderiniego, przyrzekając głosem wzruszonym, że kiedy poczuje się lepiej, kiedy siły mu wrócą, ruszy w powrotną drogę do słonecznej Italii, do ojczystej Florencji, podziękować księciu za dobroć.

Przykry nastrój, jaki zapanował w początkach przemówienia Giovanniego, prysnął natychmiast, a nowo zawartą zgodę obłano uroczyście strugami malmazji. Wino szumiało już dobrze w głowach wszystkich zebranych, z czupryn kurzyło się niezgorzej. Rozochocony Marek pochwycił za kielich, wnosząc zdrowie księcia Wawrzyńca De Medici, swego wroga śmiertelnego do niedawna.

Toast spełniono duszkiem.

— Oprócz księcia, wielu jeszcze przyjaciół oczekuje twego powrotu — zaczął znów kawaler Soderini.

— Tak? Któż taki?

— Czy pomnisz, Marku, malarza nazwiskiem Botticelli?

— Jakżeby nie! Nachodził mnie czas dłuższy, abym pozwolił robić portret córki. No, ale myślałem, że kto zacniejszy się o mnie dopytywał.

— Nie pogardzaj Botticellim, bo chociaż z niskiego on rodu, ale stoi u szczytów sławy i książęta się o jego przyjaźń ubiegają.

— Książęta?... Co mówisz!

— Tak, Marku. Papież rad by go ściągnąć do Rzymu, Ludwik Sforza, który Leonarda da Vinci u siebie przyjął, wzywał także Botticellego, ale on nie chce miasta ojczystego opuszczać.

— Leonardo da Vinci?... Leonardo?... — przypominał sobie Marek, trąc czoło dłonią. — Przecież on był także w spisek przeciwko Medyceuszom wmieszany.

— Całkiem słusznie, ale wracając do portretu twojej córki...

— Botticelli nie dokończył go, gdyż wówczas właśnie wyjechaliśmy z Florencji.

— Wiem.. wiem.. Z powodu zajścia z księciem Giulianem. — Tu rzucił Soderini ukośne spojrzenie w kierunku Beatrycze, której twarzyczka spłonęła nagle szkarłatnym rumieńcem. Marek zmarszczył się także i przykre milczenie trwało jakąś chwilę, aż przerwał je Giovanni:

— A jednak mylisz się, Marku, sądząc, że obraz jest niewykończony. Z polecenia księcia Wawrzyńca mistrz zakasał rękawy, poniechał innych prac, a tamten obraz wykończył i dzieło jest gotowe.

— Jak to? Z pamięci?! — pytał zaintrygowany Krzysztof.

— Tak jest, dostojny senatorze. Rysy pięknej twojej małżonki utknęły tak wyraziście w pamięci artysty, że mógł tego cudu dokazać. Botticellemu nie pierwszyna. W ten sam sposób malował on swoje dzieło, które nazwał: Mars i Venus, a które jest jeszcze niewykończone. Zresztą, sami będziemy mogli osądzić,

czy trafnie podobieństwo uchwycił.

— Jakże to?

— Ponieważ obraz ten przywiozłem ze sobą. Zapytywałeś mnie, dostojny panie, w czasie naszej wspólnej podróży do twego zamku, co to za wielki rulon wiozę ze sobą. To był właśnie wykończony obraz Botticellego, wykończony na żądanie księcia, przez tegoż księcia zakupiony i przez niego w darze przesłany.

Łatwo zrozumiałe zainteresowanie ogarnęło wszystkich obecnych, skoro Giovanni wydał rozkaz eskulapowi Baldassaremu, aby dopilnował wniesienia portretu Beatrycze do sali.

Po krótkim oczekiwaniu rozwarły się drzwi szerokie. Wkroczyło czterech pajuków niosących olbrzymie płótno rozpięte na prowizorycznej ramie drewnianej, a osłonięte po wierzchniej stronie czarną płachtą.

Giovanni Soderini ze swoim milczącym pomocnikiem zajęli się sami ustawieniem obrazu. Oparli go o ścianę w połowie dłuższego boku sali, potem ustawili w odpowiednich miejscach wieloramienne

kandelabry, aby światło kilkudziesięciu świec mogło padać na dzieło mistrza włoskiego.

W tym czasie goście ruszyli od stołu i ustawili się w półkole przed zakrytym płótnem. W pośrodku wzięli miejsce sędziwy, ale krzepki, kasztelan, obok biskup Maciej, obok Zebrzyd, Beatrycze, Krzysztof i Marek Pazzi, a potem tłum gości weselnych. Mistrz ceremonii podsunął się milczkiem w stronę ramy, a przez plecy dostojnych widzów jęli zaglądać zaciekawieni paziowie oraz służba.

Giovanni ujął dłonią róg zasłony, ale jakby umyślnie chcąc spotęgować ciekawość patrzących, rzucił kilka słów objaśnienia. Zwracał się przy tym głównie do Krzysztofa i do biskupa.

— Dostojna małżonka Waszej Miłości jest oddana na tym obrazie w takiej pozycji, w jakiej ją mistrz widział. Natomiast ozdobne dekoracje komnaty są wykonane z pamięci, a raczej z bujnej imaginacji artysty, chociaż i książę miał w tym swój udział, jako mi sam mówił.

— Nie nadużywaj naszej cierpliwości — rzekł Marek z uśmiechem.

— Tak, tak... — potakiwali inni.

— Dobrze... a więc patrzcie!

Błyskawicznym szarpnięciem dłoni zerwał Soderini czarną zasłonę, która zakrywała obraz, i oczy patrzących ujrzały cudne dzieło pioniera Odrodzenia, mistrza Botticellego...

Plótno przedstawiało na tle wspaniałej komnaty nagą zupełnie niewiastę, stojącą z rękoma założonymi za głowę. Głowa lekko w tył odchyłona, piersi dziewicze uniesione w górę, ciało wyprężone w jakimś skurczu rozkosznym, włosy czarne jak heban rozpuszczone luźno opadały wzdłuż korpusu. U bosych stóp dziewczyny klęczał na kobiercu młody, urodziwy rycerz, a kształtną swą głowę przytulił do uda stojącej, w ten sposób, że twarz jego było widać tylko z boku. Śniady profil młodzieńca odrzynał się wyraziście od alabastrowego ciała dziewczyny, a ręce jego, którymi objął w pół kochankę, przysłaniały jej łono.

Śmiertelną ciszę, jaka zapanowała w sali, przerwał ironiczny głos Soderiniego:

— Oto jest piękna Beatrycze Pazzi.

Słowa te były zupełnie zbyteczne, gdyż ręka mistrza

uchwyciła podobieństwo nadzwyczajnie i przed trupio bladą Krzysztofową Herburtową, odzianą w strój ślubny, w wianek czystość i świętą niewinność symbolizujący, stała jakby żywa druga Beatrycze, równie piękna, jednako czarująca, ale naga bezwstydnie, prężąca się rozkosznie jak gdyby pod wpływem pieszczoty ust kochanka u stóp klęczącego.

— Oto ksiązę Giuliano Deł Medici, który swą nieszczęśliwą miłość ku przedstawionej tutaj kochance, musiał młodym życiem przyłacić i padł od sztyletów Pazzich, w czasie mszy, w czasie podniesienia! — rzekł bardzo głośno Soderini i uskoczył zaraz w bok, bo Marek, któremu cała krew zbiegła z serca do twarzy, runął na niego jak burza.

— Łzesz łotrze! — zdołał krzyknąć i nagle zwałił się na ziemię jak drzewo mozolną pracą drwała u korzeni podcięte. Z jękiem serce rozdierającym, przypadła Beatrycze do leżącego bezwładnie ojca. Kilka osób rzuciło się na ratunek, inni zaczęli między sobą szeptać, inni przysunęli się do Soderiniego oraz jego pomocnika i spoglądali groźnie po sobie, czekając hasła, aby złośliwego cudzoziemca pochwycić, lub

straży oddać. Ale Giovanni nie na próżno dopytywał się przedtem skwapliwie o święte prawa gościnności. Przypomniawszy natychmiast słowa wyrzeczone przez biskupa, że goście w łos nie śmie spaść z głowy i z dumnie podniesionym czołem, odszedł do pokojów gościnnych, które w zamku zajmował.

Wielka sala opustoszała niebawem.

Marka, nie dającego oznak życia, wyniesiono na złożonych płaszczach. Nie puszczać stygnącej dłoni ojca z ręki, szła piękna Beatrycze więcej do alabastrowego posągu niż do żywej podobna.

Goście wymykali się chyłkiem. Dążyli ku izmom gościnnym, aby pogwarzyć ze sobą o niezwykłym zdarzeniu i nie być świadkami spodziewanych scen gorszących.

Jakiś czas potem cztery tylko osoby pozostały w komnacie, gdzie niedawno temu było i gwarno, i rojno, i wesoło. Byli to czterej Herburtowie: osowiały zupełnie Krzysztof oraz trzej jego krewni najbliżsi, brat Zebrzyd, stryj Maciej i ojciec tego ostatniego, sędziwy kasztelan, Jan Herburt.

Biskup Maciej podał myśl zdrową:

— Odprowadźcie Krzycha do jego komnaty, potem powróćcie tutaj, abyśmy się naradzili, co uczynić wypada.

Krzysztof opierał się zrazu, chcąc być świadkiem rozmowy krewniaków, ale wytłumaczono mu, że powinien się przede wszystkim uspokoić i niczego pod pierwszym wrażeniem nie postanawiać. Przyrzekali mu wreszcie, że rano przyjdą do jego izby i oznajmią, co ze swej strony obmyślili. Więc stary lecz krzepki kasztelan ujął gospodarza zamku pod jedną pachę, Zebrzyd pod drugą, i skierowali się ku wyjściu, jednak raz jeszcze przystanęli na progu. Siwiuteńki patriarcha rodu podniósł zgrzybiałą rękę i pogroził nią w stronę obrazu.

— A to pogańskie malowidło każ spalić natychmiast! — zawołał.

Pozostawszy sam w przestronnej komnacie, podszedł biskup do niefortunego płótna, przyglądał mu się długo, uważnie, pokiwał głową, a potem szepnął:

— Nie!... Spalić tego nie pozwolę. Każę namalować draperię, aby okryła bezwstydną nagość, ale niszczyć całości? Nie! Nigdy! Niechaj trwa dzieło mistrza, który choć błądzi, szukając wzorów

pogańskich, ale jest wielki i nieśmiertelny...

ROZDZIAŁ VII

Tajemnicze spotkanie

Pozostawiwszy wierzchowca w karczmie przydrożnej, skierował się Dawidowicz w stronę lasu, przez który jechali kiedyś we czwórkę, pod wodzą Krysi, do ruin zamczyska. Nie szedł jednak miedzami wśród łąnów żyta dojrzewającego, ale obrał umyślnie drogę dłuższą, wzdłuż małego wąwozu, gdzie zagłębienie terenu i gęste posycie krzaków na krawędziach rosnących zasłaniało go zupełnie przed oczyma tych, którzy mogliby się w danej chwili znajdować na gościńcu wiodącym do zabudowań folwarcznych czy pałacu. W pewnym momencie zerknął ma zegarek osadzony w bransolecie.

— Kwadrans na szóstą — mruknął. — Powiniennem stanąć na czas, aby sobie jaką kryjówkę wyszukać, nim nadejdą... Tak... Ależ parne popołudnie. Uf!

Przyśpieszył kroku, ale duszność panująca w powietrzu i droga wiodąca stale pod górę zniewalały go

do krótkich lecz częstszych odpoczynków. Odsapnął też radośnie, skoro znalazł się w lesie, gdzie panował cień i chłód przyjemny. Tymczasem las przyczynił mu nowego kłopotu. Trudno było dostrzec drożynę prowadzącą do ruin, która uchodziła do głównej drogi leśnej. Wówczas przypomniał sobie, że kiedy jechali tędy wierzchem, nocą, Krysia czy też Staszek wskazał mu kamień graniczny. Pamiętał także, że skręcili wówczas w lewą stronę. Toteż zaczął iść raz jeszcze tą samą drogą i baczным spojrzeniem obrzucał wyłącznie lewą stronę drogi... Wreszcie znalazł.. Spozstrzegł kamień porośnięty mchami, tkwiący w małym kopczyku, który zapadł się i zakłęśł w ziemi prawie całkowicie. Ujście wąskiej ścieżki było tak doskonale zamaskowane dwoma świerkami, że gdyby nie wspomniany kamień, nigdy by jej nie był odnalazł.

Teraz szedł pewnie, szybko, chcąc odrobić czas niepotrzebnie Stracony

Zabłądzić już nie mógł, ponieważ na miękkiej darni znać było jeszcze tu i ówdzie ślady kopyt końskich, ślady nocnej wycieczki, a zresztą same drzewa rosły w ten sposób, że spiralnie biegnąca drożyna była

wystarczająco widoczna.

Było kilka minut po szóstej, kiedy stanął na szczycie góry. Szybko minął długą gardziel bramy zanikowej, wszedł na obszerny dziedziniec i od razu skierował się ku trzem dębom rosnącym w pośrodku.

— Więc tutaj!... Tutaj się mają spotkać. Muszę się teraz rozglądnać za jaką zasłonę dla siebie — monologował, obchodząc trzy tysiącletnie dęby dokoła. Kręcąc się tam i sam, spostrzegł w odległości jakich sześciu metrów od najgrubszego dębu dużą kępę pokrzyw, chwastów i krzaków, które przytykały do małej grupy świerków. Do tych świerków poleciała wówczas Krysią przywiązać wierzchowce.

Dawidowicz roześmiał się głośno:

— Nigdy co prawda w pokrzywach nie siedział, ale i do tego można się z czasem przyzwyczać... — pomyślał z humorem.

Tymczasem pokrzywy zasłaniały wspaniałą kryjówkę, którą był dół przeszło metr głęboki. Dawidowicz wskoczył weń szybko i z pomocą szpicruty zaczął sobie wśród zielonego muru pokrzyw rzeźbić „okno na świat”, jak mówił żartobliwie.

Urządziwszy jako tako swą przygodną siedzibę, rzekł półgłosem:

— Jeżeli rzeczywiście staną pod dębami, będą słyssał każde słowo rozmowy, bo chyba szeptać nie będą. Nie mają potrzeby krępować się wśród tego niesamowitego pustkowiea.

A olbrzymie ruiny zamczyska robiły istotnie niesamowite wrażenie nie tylko swym wyglądem lecz także ciszą grobową w uszach dzwoniącą, której nie mącił szmer najlżejszy, ani głos ludzki, ani świegot ptasi. Bardziej wprawne ucho mogłoby chyba pochwycić ledwie dosłyszalne bulgotanie źródelka, które sączyło się w pobliżu dębów, a którego woda spływała (jak mówiła Krzysia) do podziemnego ganku. Ale Karol nie słyssał tego szmeru i poczuł się wkrótce nieswojo. Dla dodania sobie odwagi wyrażał głośno swe myśli, chcąc wśród tego milczenia śmierci, swój własny głos zasłyssać przynajmniej. Więc po chwili mruknął znowu:

— Nie ma złego, które by na dobre nie wyszło. Irytowałem się, że zapomniałem dać aparat Staszкови lub pozostawić go u karczmarza, ale teraz widzę, że mi się przydać może. Słońce mam za plecami, cień dębów

pada w przeciwną stronę, tak że zrobię wspaniałe zdjęcie... Cha, cha, cha, cha. Doskonały kawał!.. To by stary minę zrobił!... Cha, cha, cha, cha...

Rozszerzył więc Karol swoje „okno”, wyjął aparat fotograficzny z torby skórzanej, ustawił go na przyniesionym kamieniu, który znów umieścił na krawędzi jamy i, aby skrócić sobie czas oczekiwania, zaczął myślał przebiegać wypadki ostatnich dni ośmiu, a w szczególności powody, dla których zakradł się tutaj w dniu dzisiejszym, aby śledzić uczestników tajemniczego spotkania.

Pierwsze trzy dni pobytu w pałacu Dobromińskich przeszły bez ważniejszych wydarzeń. Grano w tenisa ze zmiennym szczęściem, kąpano się w rzece górskiej, rwącej, zimnej, lecz przeczystej, której wody San, wciąż jeszcze wezbrany, pochłaniał, lub urządzano konne wycieczki po okolicy. Wieczorami, czterej panowie zasiadali do brydża, ponieważ dbała o swą cerę Krzysia, kładła się spać już koło dziewiątej.

Z chwilą przyjazdu Jadzi Goślickiej tryb życia w pałacu uległ zmianie o tyle, że zamiast tradycyjnego brydża, odbywały się wieczorami rodzinne dancingi, w

czasie których Stach Dobromilski był męczennikiem i grywał na fortepianie do tańca, a Kryisia, Jadzia, Karol i Andrzej tańczyli namiętnie charlestona, tango czy shimmy. Czasami wyręczał syna pan August, grał nieporównanie stare wiedeńskie walczyki, czasem rolę orkiestry spełniał rozgłośnik radia i czas schodził miło, niespostrzeżenie aż do północy.

Wesoła, ruchliwa jak żywe srebro Jadzia, tak wypełniała swym rozkosznym szczebiotem dzień cały, tak była niewyczerpana w pomysłach i projektach, że ani razu nie nadarzyła się okazja do nocnej wycieczki w stronę romantycznych ruin i do dokończenia opowieści o dziejach pięknej Beatrycze Pazzi, nad czym bolał szczególnie Andrzej.

A Karol był z siebie początkowo niezadowolony. Pierwsze dni, po których sobie wiele obiecywał, nie przyniosły żadnych sukcesów, nie posunęły sprawy ani o krok dalej. Co gorsza, wszelkie najbardziej udane komplementy, najwięcej donżuańsko-zabójcze spojrzenia, czyniły dumną pannę jeszcze bardziej chłodną i nieprzystępną. Wydało się nawet Dawidowiczowi, że w swych poczynaniach napotyka

na rywala w osobie Andrzeja i że ten rywal jest milej od niego widziany przez Krysę.

Więc uciekł się do metody „okrażania” i zabrał się do roboty z całą rutyną oraz znajomością rzeczy. Wiedział dobrze, że trudną do zdobycia kobietę należy otoczyć ludźmi sympatycznie dla siebie usposobionymi, aby w ten sposób stworzyć atmosferę przychylną i życzliwą dla zdobywcy i aby ofiarę odurzona wonią pochwalnych kadzideł wziąć potem wstępny szturmem.

I niebawem zaczęła się Jadzia zwierzać kuzynce, że ten Karol jest szalenie sympatycznym, młodym człowiekiem, że tańczy nieporównanie, jest przemiły, grzeczny, dowcipny, elegancki, słowem, gentleman w każdym już nie calu, ale milimetrze. Staszek nie miał dlań słów. Niejednokrotnie podkreślał wobec siostry, że nawet brat rodzony nie mógł być więcej o jego zdrowie troskliwy jak kochany Lolek, który na każdym kroku przestrzega go przed zaziębieniem, nie pozwala mu wieczorami siadać na ziemi nieokrytej pledem, nie chce palić papierosów w jego sypialni, gdzie do późnej nocy niekiedy gawędzą itd., itd., itd. Andrzej znów,

który podkochiwał się skrycie w siostrze przyjaciela, nie dostrzegł w swej naiwności rywala i nie szczędził również pochwał na cześć Karola, rozplýwał się nad jego szlachetnością, nad jego sukcesami w sportach i nie nazywał go inaczej jak: najlepszą polską propagandą w Paryżu.

Tak więc Krysia słyszała o Dawidowiczu ze wszech stron same tylko słowa pochlebne i pod wpływem tej atmosfery zaczęła innym wzrokiem spoglądać na lekceważonego początkowo pseudokuzyna.

A Dawidowicz szybko obliczył wartość uzyskanych już atutów i ruszył do ataku na bastion najcięższy do zdobycia, na pana Augusta. Poznawszy w lot słabostki starego Dobromilskiego, przestał wyjeżdżać ze swoim grubo niepewnym kuzynostwem, kadził staremu przy każdej sposobności, słuchał godzinami opowiadań o podróżach, jakich pan August w młodości niemało odbył, zachwycił się zbiorami wschodnich dywanów, brązów, obrazów i broni. Zwolna, zwolna, „mury najgroźniejszego bastionu” jeły się kruszyć, chwiać i rysować.

—Jeszcze kilka dni, a gruz się posypie z tej fortecy — myślał zdobywca zadowolony i ręce z zadowoleniem zacierał.

Tymczasem zaszła jakaś dziwna zmiana w usposobieniu pana Augusta.

Było to w poniedziałek...

Syn szofera przywiózł z miasteczka pocztę obfitą, jak zazwyczaj po niedzieli, kiedy się listów z dwóch dni nazbiera. Dawidowicz był przypadkowo obecny w chwili, kiedy pan August, wesóły, roześmiany, odmykał zameczek torby skórzanej i wyjmował grubą garść korespondencji, a potem zaczął ją rozdzielać wedle adresów... I nagle pobałdł bardzo silnie, zmieszał się w sposób aż nazbyt widoczny a potem szybko odszedł do swego gabinetu, aby się przez cały dzień gościom nie pokazać.

Zjawił się dopiero przy wieczornym obiedzie, ale nie jadł prawie nic i spartańskimi monosylabami odpowiadał, gdy go o co zagadnięto. Dawidowicz zachodził w głowę, jaka wiadomość mogła tak skutecznie zbić z nóg rozmownego gospodarza, a jego żywa imaginacja tworzyła na poczekaniu najbardziej

fantastyczne hipotezy, które mogłyby wyjaśnić przyczyny nagłej zmiany usposobienia starego Dobromilskiego.

Po obiedzie młodzi zasiedli w jednym ze salonów do mah-jonga. Pan Andrzej wymknął się czym prędzej, oświadczając, że ma jeszcze coś do pisania. Dawidowicz nie mógł usiedzieć w miejscu. Instykt mówił mu, że warto przeniknąć zagadkę, że wdarcie się w tajemnicę ojca Krysi może się bardzo przydać w niedalekiej przyszłości...

I po jednej partii wstał od stolika. Przeprosił towarzystwo, mówiąc, iż ma coś ważnego do powiedzenia panu Augustowi.

— Ale, graj dalej!... Później ojcu powiesz...

— Nie, Stasiu... Ja zaraz zresztą wrócę. Twój ojciec powiedział przed chwilą, że ma coś do pisania. Domyślam się, iż jutro rano pchnie chłopca do miasteczka na pocztę, kiedy my jeszcze będziemy spali snem sprawiedliwych, jak zawsze. Ja zaś mam pilny telegram do Lwowa. Parę minut potrwa. Zaraz wrócę...

Wobec tego nikt go nie zatrzymywał dłużej i Dawidowicz wyszedł z pokoju, gdzie grano w mah-

jonga, przebył szereg stylowych salonów, aż stanął na progu gabinetu gospodarza.

Ale pana Augusta tutaj już nie było. Uchylone drzwi szklane wskazywały, że wyszedł na długi balkon, który biegł wzdłuż całego szeregu pokoi.

Karol pośpieszył w tę stronę, a idąc musiał przejść tuż obok wspaniałego biurka. Na czarnej płycie biurka, w pośrodku, leżała odemknięta teczka, na jakiej się listy pisuje. Wśród białego tła czyścusięńskiej bibuły czerniały dwa rządki odbitego pisma. Było to pismo zupełnie snadź świeże, bo odbicie odwróconych liter miało odcień nie czarny lecz niebieskawy, jakby granatowy.

— Depesza — mruknął Dawidowicz i skojarzył w myśli fakt wysłania depeszy z poprzednim zdenerwowaniem Dobromilskiego. Ogarnęła go nieodparta pokusa odczytania treści telegramu.

Podszedł więc szybko do szklanych drzwi i wytknąwszy głowę ostrożnie zerknął w obie strony. Ujrzał pana Augusta w drugim końcu balkonu. Stary Dobromilski stał nieruchomo, z rękoma na piersiach założonymi, zadumany, zapatrzony w park pławiący się

w powodzi światła księżycowego.

No, ty mnie nie zaskoczysz — pomyślał Karol i szybko pobiegł po puszystych dywanach do drzwi, którymi wszedł przed chwilą do gabinetu. Ale stamtąd także nie groziło żadne niebezpieczeństwo, więc pośpieszył z powrotem w stronę biurka. Przyłożył ukośnie kieszonkowe lustro do bibuły. W małym zwierciadelku odbiły się litery tak, jak były napisane, i Karol przeczytał ku swemu niemałemu zdumieniu:

Dobrze... Będę w czwartek o siódmej
koło trzech dębów.

D.

— Cóż u diabła? — mruknął półgłosem. — Stary Dobromilski boi się podobno ruin jak ognia, a naznacza sobie schadzkę z kimś w zamczysku i do tego pod wieczór!?!... A może o siódmej rano? W każdym razie to nie depesza ale list... O, tu dalej, słabe odbicie koperty.

Ale snadź koperta obeschła prędzej lub przed listem była napisana, bo Dawidowicz zdołał z trudem

odcyfrować jedno tylko słowo:

Kraków

A pan August nie pokazał się już wcale tego wieczora. Przez Staszka (który zaglądnął do sypialni ojca) kazał przeprosić miłych gości, że z powodu silnej migreny przyjść nie może.

Wszystkie te fakty zaintrygowały Dawidowicza niezmiernie, utrwały go w przekonaniu, że sprawa musi być wielkiej wagi. Postanowił tedy, że za wszelką cenę postara się być świadkiem tajemniczego spotkania w tak romantycznym miejscu. Chodziło tylko o ustalenie, czy chodzi w danym wypadku o siódmą rano, czy o siódmą wieczór.

— Dziś mamy poniedziałek — obliczał — a więc jutro rano list będzie nadany, a w środę go adresat otrzyma... To się zgadza.

W środę upewnił się, że spotkanie nastąpi nie rano lecz wieczorem, gdyż przy obiedzie zaczął pan August dopytywać się skwapliwie, jakie plany ma młodzież na popołudnie czwartkowe.

— To zależy od pogody — odparła Krysia.

— Więc dajmy na to, że będzie lało,

— Wcale się na deszcz nie zanosz.

— Spójrzę na barometr — porwał się usłuźnie

Dawidowicz,

— Nie trzeba... Dziękuję panu. Cóż zatem będziecie robić, jeżeli będzie padało?

Jadzia wyprzedziła wszystkich w odpowiedzi:

— Ha, cóż robić wujaszku, jak nie tańczyć lub grać w mah-jonga. Chyba, że zabawimy się w chowanek...

— Cha, cha, cha, cha, cha... Cóż za pomysł?

— Nie śmieć się, Stasiu, bo mnie nie znajdziesz, jak się schowam.

— Znajdę, znajdę... Znam wszystkie zakamarki na wylot. Pamiętasz, jak dawniej uganiał się po całym gmachu? Tyś była wówczas taka mała i miałaś wielką wstążkę wpiętą we włosy.

— A tyś miał ubranko marynarskie...

Pan August skrzywił się niecierpliwie i przerwał nie wspomnieć Stacha i Jadzi.

— Jeżeli zaś będzie pogoda, na co się zanosz, to

jakie macie plany?

— Przejedziemy się gdzieś konno,

— Do rzeki. Woda dziś była bajecznie ciepła.

— Albo do ruin... Jeszcze nie byłam tam w tym roku — zaproponowała Jadzia.

Pan August aż podskoczył na krześle:

— Także pomysł, moja Jadziu — odparł więcej skwapliwie, niż było trzeba... Raczej przejedźcie się konno do księdza Mazurowicza. Ucieszy się staruszek a i wy będziecie zadowoleni, bo to najpiękniejsza okolica... Będziecie mi wdzięczni, że was namówiłem...

— Trochę daleko, papo... Spóźnimy się na obiad.

— Nic nie szkodzi, Krzysiu... Właśnie jest mi bardzo na rękę, bo i ja się zapewne trochę spóźnię. Na ósmą nie zdążę z powrotem do domu.

— Jeśli tak, to co innego.

— Wujcio wyjeżdża? — spytała Jadzia.

— Tak... to jest właściwie... mam interes w... w... jakże się nazywa... No, a kto wygrał ostatniego seta?

— Oczywiście, że panna Krystyna znowu mnie pobiła — odparł Dawidowicz, śmiejąc się równocześnie w duszy do rozpuku z niezręczności pana

Augusta, który nie obmyśliwszy sobie poprzednio jakiegoś wykrętu, zmieszał się pod wpływem zapytania Jadzi i nie wiedząc, jak wybrnąć, przeskoczył, ni stąd, ni zowąd, z pierwotnego tematu rozmowy na... tenisa.

Stary Dobromilski upewnił się raz jeszcze, że młodzi w południe wyruszą z zamku i wrócą dopiero wieczorem, a upewniwszy się, odzyskał nieco humoru, stał się dużo rozmowniejszy, wieczorem zaś opowiadał, jak za tamtych dni, całe tomy przeżyć ze swoich egzotycznych podróży.

I tak przyszedł pamiętny czwartek...

O wpół do drugiej wyruszyło z pałacu pięciu jeźdźców w kierunku południowym, dążąc do Lipin, wioski podkarpackiej, gdzie znajdował się kościół parafialny całej tej górskiej okolicy i gdzie proboszczem był sędziwy ksiądz Mazurowicz, niegdyś korepetytor młodych hrabiów Dobromilskich, Huberta oraz Augusta.

Dawidowicz manipulował w ten sposób, że w pewnej chwili znalazł się ze Stachem na samym końcu pochodu, Andrzej Kaszowski wraz z obiema paniami znikł właśnie na zakręcie, kiedy Karol zaczął się żalić,

że od upału rozboleła go głowa tak silnie, że pragnie zniknąć po angielsku, powrócić do pałacu, aby się położyć do łóżka. Stach Dobromilski zmartwił się tą wiadomością, gdyż szczerze lubił obu swych przyjaciół, a zmartwił się tym więcej, że Karol był nieocenionym towarzyszem wycieczek i jak nikt inny zabawiał całe towarzystwo, ale... wobec nalegań musiał przystać, pożegnał przyjaciela serdecznym uściskiem dłoni i podpędził konia, aby zawiadomić panie o niespodziewanym ubytku miłego kompana.

Dawidowicz zatarł ręce z zadowolenia, kiedy smukła sylwetka Stacha znikła na zakręcie i tylko odgłos klusa dobiegał, cichnąc zwolna i rozplywając się w powietrzu...

I podczas gdy tamci czworo posuwali się dalej na południe, Karol wykręcił na wschód, okrążył dużym łukiem pałac, park oraz zabudowania folwarczne, dotarł do jakiejś karczmy, gdzie pozostawił wierzchowca, i pieszo puścił się do ruin, aby być świadkiem schadzki pana Augusta z... kimś, kto miał z Krakowa przyjechać.

...Te wszystkie zdarzenia przebiegł Dawidowicz w

pamięci, a potem stwierdził na zegarku, że tylko dziesięć minut brakuje do siódmej i zaczął się niecierpliwie w swej mało wygodnej kryjówce.

Nagle posłyszał odgłos męskich kroków...

ROZDZIAŁ VIII

Podwójny szantaż

Przez bramę starego zamczyska wszedł krepły mężczyzna w sportowym ubraniu, wspierając się na ciężkiej lasce zakopiańskiej. Okuty szpic laski dzwonił przez chwilę na kamiennych płytach, jakimi była brama, a właściwie sień, wyłożona, dopóki nieznajomy nie stanął na dziedzińcu, gdzie mchy, trawa, oraz zielsko, głużyły zarówno odgłos kroków jak stukot laski.

Przybysz obrzucił badawczym spojrzeniem przestrzeń dokoła, potem szybko podszedł do trzech dębów i tu rzucił się zaraz na ziemię, ciężko sapiąc ze zmęczenia. Zdjął też z głowy dżokejkę i czerwona, spotniała łusina zabłysła przed oczyma Dawidowicza.

Ukryty w jamie Karol nie mógł się na razie przyjrzeć obcemu, ponieważ ten ostatni położył się tyłem do kępy pokrzyw, ale po chwili zaczął się rozglądać na wszystkie strony i wówczas dojrzał Dawidowicz niskie czoło, wulgarne, kanciaste rysy twarzy, małe, przenikliwie patrzące oczy oraz nos

wybitnie zakrzywiony.

Przybyły czuł się widocznie całkiem swobodnie, bo rzekł półgłosem:

— Znowu ja pierwszy przybyłem.. Pan hrabia nie lubi być punktualny... Tym gorzej dla niego... Ja swój czas cenię i za każdą minutę będzie musiał stary sknera wypluć o sto złotych więcej.

Dawidowicz przemienił się w słuch. Posłyszawszy słowa leżącego mężczyzny uśmiechnął się mimo woli i pomyślał: Fiu!... To zaczyna być dużo bardziej zajmujące, niż początkowo sądziłem.. No. no!... Sto złotych za minutę!... Chciałbym mieć takie dochody.

A krępy mężczyzna monologował dalej wcale głośno:

— Uf!... Diabelski upał.. W piekle chyba cieplej nie będzie. I pomyśleć, że na taką pogodę człek się fatyguje z Krakowa... Ano, czego się nie robi dla chleba... Che, che, che, che, che... Trzeba jednak przede wszystkim opatrzyć spluwę... Wciąż mam jakieś przecucie, że stary dziadyga wynajmie kiedy zbirów, aby mnie sprzątnęli..

I zdumiony Dawidowicz posłyszał szcęk

bezpiecznika przy pistolecie, a potem charakterystyczny odgłos, jaki wydaje każdy browning przy próbnym repetowaniu, kiedy naboje wyskakują przez boczny otwór lufy.

Coraz lepiej!... Stary Dobromilski i wynajmowanie morderców! O! wcale nie żałuję, że przyszedłem!... Dowiem się tutaj ciekawych rzeczy — cieszył się w duchu.

Tak przeszło pełne siedem minut oczekiwania, co Karol stwierdził na zegarku. Mężczyzna w sportowym ubraniu przestał się już irytować i podłożywszy sobie ręce pod głowę, odpoczywał, czekając cierpliwie na kogoś.

Cisza bezwzględna zapanowała wśród starych ruin. Upał czerwcowy pograżył wszystko w jakiejś beznadziejnej martwocie, w bezruchu, lenistwie. Żaden wietrzyk nie igrał z listkami odwiecznych trzech dębów, nie wstrząsnął gałęziami świerków, nie muskał chłodnym powietrzem traw rosy wieczornej spragnionych. Szare mury, rozgrzane całodniowym upałem, spoglądały ospale, bez zainteresowania na tych dwóch intruzów, z których jeden ukrył się w jamie

osłoniętej pokrzywami, a drugi broni próbował morderczej. Szare mury domyślały się może z tych przygotowań, że niezwykle nastąpią wypadki, ale czas nauczył je już dawno patrzeć na wszystko z pobłażliwością.

A dęby sędziwe, które niejedno widziały w ciągu swych lat matuzalowych, patrzyły na owych dwóch mężczyzn ze smutną rezygnacją, ale i wzorową dyskrecją. Choć żyły, jak wszystko, nawet kamień żyje w przyrodzie, jednak przykute łańcuchami potężnych korzeni do ziemi, nie mogły w niczym odmienić tego co się ma stać, nie mogły niczemu przeszkodzić, nie mogły słowa powiedzieć o tym, co widziały. Bo choć żyją, ale są nieme.

Cisza była tak wielka, że gdyby ucho ludzkie było bardziej zaprawione do słuchania delikatnych szmerów przyrody, podchwyciłoby niezawodnie cieniuteńki, dzwinkowy szelest ziarenek piasku, usuwających się pod stopami zwinnych szmaragdowych lub popielatych jaszczurek, które wygrzewały się w złotym słońcu, a także słabiuśki chrzęst źdźbeł trawy, odginanych przez pełzającą bezszelestnie żmiję. Ale słuch Dawidowicza

oraz krępego mężczyzny stepił się w mieście od dawna i dlatego wydało im się, że cisza panuje bezwzględna, że żaden szmer jej nie mąci.

Aż głuche milczenie przerwał dźwięk...

Jeden, drugi, trzeci, czwarty, i znów: jeden, drugi, trzeci, czwarty.

Coraz głośniejszy, coraz wyraźniejszy, coraz bliżej...

To koń!... Odgłos żelaznych podków na kamieniach, wciśniętych w ziemię, po zewnętrznej stronie murów zamczyska.

W wylocie długiej sieni ukazała się kształtna głowa rumaka, potem skulona, zgarbiona sylwetka pana Augusta. Dobromilski senior wyglądał w tej chwili na zgrzybiałego starca, który o własnych siłach nie potrafiłby się chyba na grzbiet koński wgramolić.

Jeździec przywiązał wierzchowca w pobliżu bramy i wolnym krokiem zbliżał się do dębów. Wówczas krępy mężczyzna zerwał się z ziemi.

— No, przecież! — zawołał. — Przecież raczył się pan hrabia pofatygować ten kawałeczek, podczas gdy ja taki szmat drogi zrobiłem. Ale witam, witam unieżenie. Sługa i podnózek pana hrabiego.

Nie ruszając się z miejsca, wyczytniał niskie, przesadnie niskie ukłony i swą sportową czapeczką zamiatał trawę, jakby pył strzepując z miejsca, na którym miał stanąć przybyły. To ironiczne, wyzywające zachowanie się nie uszło oka Dawidowicza i podnieciło jego ciekawość.

Stary Dobromilski nie podał ręki kłaniającemu się przybyszowi, skinął tylko leciuteńko głową i spytał dość szorstko:

— Przybyłem tutaj na pańską prośbę, panie Dachsberger. Czego pan sobie znowu życzy ode mnie?

— Och, czemu tak zaraz urzędowo, panie hrabio?
— kpił tamten.

— Czas mój jest bardzo ograniczony.

— Wierzę, wierzę zupełnie. Mój Boże, żniwa na karku, a ileż to roboty poza tym.. Chociaż już prawie dwadzieścia lat dobiega, jak się przeniósłem ze wsi do miasta, ale nie zapomniałem jeszcze, kiedy się sieje, a kiedy się zbiera. Che, che, che... Przecież moja pierwsza posada była u pana hrabiego... che, che, che, che. Pani hrabina dobrodziejka żyła wówczas i...

— Do rzeczy, panie Dachsberger!... Do rzeczy! —

zawołał Dobromilski bardzo głośno, starając się nadaremnie opanować nagle wzburzenie.

— Niech i tak będzie... A więc powiem krótko: potrzebuję pieniędzy.

— Posłałem panu ratę kwartalną na piętnastego maja. Następna płatna jest dopiero piętnastego sierpnia.

— Ech, rata kwartalna!... Głupie dwieście dolarów... Ja potrzebuję teraz na rączkę równe tysiąc dwieście.

— Co? Teraz znowu tysiąc dwieście złotych?

— Któż mówi o złotych. Ja oświadczam wyraźnie, że chcę od pana dzisiaj tysiąc dwieście dolarów i w tym celu właśnie przyjechałem.

Stary Dobromilski począł się silić na śmiech wzgardliwy i ironiczny, ale niezbyt mu się to udawało. Tamten znów udawał, że śmiech ten pojmuje jako zgodę i szydził w dalszym ciągu:

— Boże kochany, jak to źle uczciwemu człowiekowi. Gdybym był przypuszczał, że pan hrabia tak sobie lekko przejdzie do porządku dziennego nad sumą przeze mnie wymienioną, byłbym zażądał trzy razy

tyle.

— Dość tych kpin! — wrzasnął teraz pan August! Niech pan nie sądzi, że jestem cytryną, którą można wyciskać aż do ostatecznych granic. Nic się panu nie należy!... Nic!... Ani grosz złamany!... Za to, że był pan przypadkowym świadkiem rodzinnego nieszczęścia, kiedy pana przygarnąłem z litości, za to, żeby pan milczał i nie wywlekał brudów rodzinnych na światło dzienne, zobowiązałem się płacić panu kwotę przez nas wspólnie ustaloną, i dotychczas ją płacę, choć nieraz muszę się przez to zadłużać...

— Jej, bo umrę ze śmiechu!... Pan hrabia Dobromilski, ordynat, pan na dwunastu tysiącach morgów musi się zadłużać aby zapłacić głupie dwieście dolarów kwartalnie. Niechże pan nie będzie śmieszny, panie hrabio. Wiem dobrze, że same procenty od kapitałów złożonych w Credit Lyonnais, przynoszą panu więcej niż dwieście dolarów miesięcznie, a pan mi te kwotę płacił dotychczas kwartalnie... Dotychczas to znaczy, że w przyszłości rzecz musi ulec zmianie...

— Jakie kapitały? Nie wiem nic o tym.

— Zapomniał pan o tym depozycie? Boże, jakie

ten człowiek musi mieć pieniądze, skoro zapomina o swoich depozytach... Ha, skoro pan nic nie wie, to ja panu z Krakowa wyciąg z rachunku prześlę... Przestraszył się pan? Ależ tak!.. Widzę to doskonale... Tak, panie hrabio... My, dziennikarze, wiemy wszystko i obecnie zajmujemy się (myślę o moim organie) wykryciem kapitałów przemyconych zagranicę przez naszych magnatów, kapitałów, które uchylili się, a raczej, które uchylono od odnośnego podatku w kraju, aby pasły obcych. Już to o brak patriotyzmu pomawiać mnie nie można. Co?

— Po raz ostatni zapytuję pana, w jakim celu wezwał mnie pan na dzisiejszą schadzkę. Kpin słuchać nie myślę.

Dachsberger uśmiechnął się ironicznie:

— W każdym razie konstatuje poprawę sytuacji — rzekł — gdyż przedtem miałem pana rzekomo orosić o dzisiejszą schadzkę, a teraz sam pan przyznał, że go wezwałem.. wezwałem!... To różnica! A co do mego żądania, to obstaję przy tym, co się rzekło lekkomyślnie i bez zastanowienia, to jest tysiąc dwieście dolarów. Po to przyjechałem.

— Ale bez tego pan odjedzie... Uważam naszą rozmowę za skończoną i żegnam.

— Czy to ostatnie pańskie słowo?

— A jeśli ostatnie?

— To wracam wprost do Krakowa i w najbliższym artykule mego tygodnika opiszę dokładnie zajścia, jakich byłem świadkiem przed laty dwudziestu.

— A ja zrobię dziś jeszcze doniesienie do prokuratury że mnie pan ponownie usiłuje szantażować.

— Strachy na Lachy. Przy każdej rozmowie wyjeżdża pan z tym samym dowcipem. To samo było, kiedy w czasie wprowadzenia franka waloryzacyjnego ustaliliśmy w tym miejscu wysokość mojej pretensji.

— I pan ma czelność nazywać to pretensją?

— Jak pan widzi, tupetu mi nie brak.

— Widzę to właśnie, ale sądzę, że w więzieniu panu mina zrzędnie.

— Być może, lecz pocieszam się, że dobry humor powróci mi natychmiast, skoro w murach więziennych dostrzegę także pana hrabiego.

— Panie Dachsberger, uważałem pana zawsze za szantażystę, za szuję, łajdaka, za indywiduum spod

ciemnej gwiazdy, za... za...

— Niech sobie pan hrabia nie żałuje... Ja zwyczajny. Mnie tak zawsze ludzie zeklną, czasem nawet obiją... ale w końcu zapłacą.

— Uważałem pana za zdolnego do każdego łotrstwa, ale poza tym miałem pana za człowieka o zdrowym umyśle.

— Jaki zaszczyt!

— Tymczasem widzę, że pańskie miejsce jest jedynie w zakładzie obłąkanych. W Kulparkowie... lub...

— W Kulparkowie jest przepelnienie i nie przyjmują, ale abstrahując od tego, zapytuję uprzejmie czemu mam przypisać tę korzystną o mnie opinię.

— Temu, że mnie pan śmie grozić więzieniem. Cóż mi kto może zarzucić karygodnego? Chyba to, że wdaję się w rozmowy z takim wyrzutkiem społeczeństwa, jak pan.

— Pan hrabia dzisiaj niezwykle dla mnie hojny... w epitety. Ha, będziemy musieli za to podnieść wysokość sumy pierwotnie wymienionej. Odpowiadając zaś na pytanie, pozwolę sobie zauważyć, że takie znów czyste

pańskie sumienie nie jest... Przecież wiadomo panu i mnie bardzo dobrze, że pan Stanisław nie jest pańskim synem. Mamy na to dowody w listach nieboszczki pani hrabiny. A skoro pan tę okoliczność ukrywa, dopuszcza się pan oszustwa, gdyż dobra majorackie mają pozostawać tylko w linii męskich potomków Dobromilskich, w razie zaś wymarcia tychże, przechodzą do państwa... Zdaje mi się, że jeszcze przed wybuchem wielkiej wojny zwróciłem panu na to uwagę. No, ale wówczas była Austria. Dziś jesteśmy u siebie i mój patriotyzm nie pozwala mi tolerować tego rodzaju sprawek, chyba... chyba... pan hrabia rozumie.

Tu szantażysta wykonał znaczący ruch trzema palcami prawej ręki, ruch oznaczający liczenie pieniędzy lub dawanie łapówki.

Dawidowicz omal nie wykrzyknął głośno ze zdumienia, posłyszawszy nowinę o Stasiu. Już po pierwszych zdaniach zamienionych pomiędzy tymi dwoma ludźmi zrozumiał, że jest świadkiem ordynarnego szantażu i początkowo ogarnęło go głębokie współczucie dla pana Augusta, a oburzenie na to bezczelne indywiduum, które wyzyskiwało niecnie

swą ofiarę. Jednakże z wolna zaczął sobie uświadamiać, że to co słyszy, posiada dlań wagę niesłychaną, że stanowić będzie najsilniejsze atuty w zdobyciu Krystyny. Nie rozumiał tego, lub nie chciał rozumieć, że wykorzystując podsłuchane wiadomości, stanie się również szantażystą nie gorszym od tego indywiduum, które potępiał w myśli przed chwilą.

Ta naga prawda nie skryształizowała się na razie w umyśle Dawidowicza, a zresztą nie była pora teraz na refleksje, skoro arcyciekawa scena rozgrywała się przed jego oczyma. Więc widział ze swej kryjówki, jak wielkie wrażenie wywarły ostatnie słowa Dachsbergera na panu Augustcie. Dobromilski oparł się całym ciężarem o szeroki pień jednego z dębów, wlepił tępe spojrzenie swych oczu w łotra, który jak pajak otoczył go siecią straszną i ssał swą ofiarę bezkarnie, do woli.

Milczenie przerwał wreszcie Dachsberger. Nie chcąc widocznie przeciągać struny, poniechał kpin i docinków, a mówił poważnie, z udaną serdecznością:

— Drogie panie hrabio! Wiem, że pan myśli o mnie najgorsze rzeczy, ale, dalibóg, krzywdzi mnie pan bardzo. Przecież gdybym nie potrzebował tych

pieniędzy, nie nachodziłbym go i poprzestałbym na tym, co mi pan sam wyznaczył i co mi pan regularnie posyła. Ale przyznam się, że ta zależność zaczęła mi ciążyć potężnie. Chwilami robiłem sobie wyrzuty, że pana wyzyskuję. Chwilami zastanawiałem się nad tym, że moje kwartalne apanaże urwą się z chwilą pańskiej śmierci. Postanowiłem się usamodzielnić i w tym celu wystąpiłem z tygodnika, w którym dotychczas pracowałem w Krakowie, i założyłem tam własne pismo tygodniowe, o tendencjach radykalno-narodowych, o tendencjach moralnego odrodzenia naszej ojczyzny. Na łamach mego czasopisma chłoszczę bez litości korupcję urzędników, kołtuństwo miejskich dorobkiewiczów, nadużycia podatkowe kupców czy przemysłowców, a niekiedy także dziwny brak patriotyzmu naszych ziemian... O chłopach i meneralach socjalizmu nie zapominam również, jak nie przebaczam Żydom, choć sam jestem przechrztą, jak panu najlepiej wiadomo. I co się dzieje? Oto wszystkie dzienniki rzuciły się na mnie z dziwną zajadłością. Prokuratura konfiskuje mi co drugi numer pisma, wyzywają mnie od szantażystów, walą mnie po papie,

bo i to się przytrafia w naszym zawodzie, lecz ja trwam na posterunku, jak żołnierz na warcie, i walczę w imię mych ideałów. Ale bez pieniędzy walczyć nie można... Najgorszy jest zawsze początek. Tygodnik, z którego wystąpiłem, rozgłasza potajemnie, że zdefraudowałem u nich olbrzymie kwoty, że poinkasowałem należności za inseraty itd. itd. Podcięli mi kredyt we wszystkich drukarniach krakowskich. Muszę należytość za wybicie każdego numeru uiszczać z góry gotóweczką... Pomyśl pan, gotóweczką!... W tej ciężkiej sytuacji przypomniałem sobie pana, panie hrabio, mego dobrodzieja łaskawego. Pomyślałem sobie: Ten mi nie da zginąć i wesprze mnie... Zresztą, aby pan nie sądził, że chcę się dopuścić jakiegoś wymuszenia, proponuję panu cichą spółkę. Dam panu trzydzieści procent... niech będzie czterdzieści procent... przystaję nawet na połowę... Cóż? Co pan sądzi o tym?...

Pan August ocknął się wreszcie z zadumy i wpił zimne spojrzenie swych oczu w żółte źrenice Dachsbergera. Przechrzta nie wytrzymał tego wzroku i szybko głowę odwrócił. A Dobromilski zaczął mówić wolno, łagodnie i z przystankami, jakby odpoczywając

po każdym zdaniu. Snadź wiele go kosztowały te słowa:

— Po co ta nędzna komedia, panie Dachsberger? Nic, tylko błaga i błaga. Błaga stała się pańską drugą naturą, ale mniejsza z tym.. Przedtem groził mi pan artykułami, więzieniem, zdemaskowaniem.. teraz znów, dla odmiany, łąsi się pan i przemawia do mego dobrego serca... Więc najpierw chciałbym panu wybić z głowy te mrzonki, iż opublikowanie listów mej żony, może Dobromińskich pozbawić dóbr majorackich... Pomijam na razie tę okoliczność, że listy, w których posiadanie wszedł pan jakimś nieuczciwym sposobem, mogą być niewystarczające dla sądu.

— O to może pan być spokojny. Mam je ze sobą i o ile mi pan da słowo honoru oraz odpowiednią kaucję do rąk, pokażę je panu.

— Nie jestem ich.. wcale ciekawy. — To kłamstwo wykrztusił pan August z wielkim trudem. — Ale choćby nawet treść wspomnianych listów przekonała sędziów, to dobra majorackie przypadną memu bratu Hubertowi.

— Który jest kawalerem i liczy prawie

pięćdziesiątkę.

— Tak stary, co prawda, nie jest i dzieci jeszcze mieć może.

— Chyba takie jak ty — mruknął Dachsberger cichuteńko, tak że Dawidowicz domyślił się ich raczej, niż dosłyszał, A pan August zajęty swą troską, podchwycił tylko pierwsze słowo i spytał szybko:

— Co pan powiedział?

— Mówiłem, że chyba problematyczne, aby pan Hubert się w tym wieku ożenił i miał syna.

— Powiedzmy jednak, że tak będzie, to co?

— To majątki majorackie przejdą w ręce młodszej linii Dobromińskich, a pańskie dzieci zostaną w biedzie i będą przeklinać ojca, który poświęcił ich przyszłość dla głupich tysięcy dwustu dolarów...

— Może jeszcze w tej biedzie nie zostaną, ale panu się urwą raz na zawsze dochody z mej kieszeni i nic pana nie zasłoni przed kilkuletnim pobytem w Wiśniczu czy innym ciężkim więzieniu.

— Mówiłem już, że w miłym towarzystwie pana hrabiego gotów jestem na spędzenie kilku lat w takim spokojnym miejscu. Jakie by to było zbawienne dla

naszych nerwów.

— Moim towarzystwem nie zaszczyciłbym pana, panie Dachsberger, bo gdyby już, quod Deus avertat, przyszły na mnie takie terminy, to wolałbym sobie w łeb strzelić, niż siedzieć za kratami. Tak postąpiłby zresztą każdy porządny szlachcic... Więzienia są przeznaczone tylko dla Dachsbergerów i im podobnych łotrzyków... Tak... O tym już nie mówmy... ale... ale... ja... byłbym skłonny dać panu dzisiaj jakąś sumę... dla świętego spokoju, pod... jednym atoli warunkiem.

— Ależ z góry przystaję na każdy — zawołał szantażysta z niezwykłą skwapliwością. Nie przewidywał tak łatwego i szybkiego zakończenia rozmowy.

— Wyplacę panu dzisiaj... pięćset dolarów.

— Mówiliśmy tysiąc dwieście, ale jako człowiek zgodny, opuszczam na równy tysiąc...

— Wyplacę panu zatem sześćset dolarów.

— Niechby już było dziewięćset.

— O ile mi pan powie... i nie tylko powie, ale swe twierdzenie poprze niezbitym dowodem... i... i... dowiem się, kto jest właściwie... ojcem Stasia...

Tego pytania nie spodziewał się Dachsberger zupełnie. Nigdy o tym nie było mowy pomiędzy nimi. Zarówno pan August, który wówczas bawił w Indiach angielskich, ani Dachsberger, który był kasjerem w dobrach majorackich, nie wiedzieli, kto był kochankiem hrabiny. Kiedy pani Dobromilska urodziła bliźnięta, a mianowicie dwie córeczki i wkrótce potem umarła, ślepy traf sprawił, że podczas ogólnego zamieszania wpadł w ręce kasjera list hrabiny, napisany do owego tajemniczego przyjaciela, list bez koperty, niewysłany, niezaadresowany, w którym znajdowała się wzmianka, że siedmioletni wówczas Staś nie jest dzieckiem pana Augusta, ale jego... tego tajemniczego... jego. W liście tym była atoli druga fatalna wzmianka, w której hrabina dziękuje za zwrócenie wszystkich swych poprzednich listów i powiada, że je ukryła w pewnym antycznym zegarze, skąd je niekiedy wyjmuje i odczytuje z wielkim rozrzewnieniem. Sprytny Dachsberger zakrzętnął się żwawo, tak że nim wezwany telegraficznie pan August powrócił z podróży, wszystkie kompromitujące listy miłosne były w rękach kasjera, który później umiał z nich korzyści wyciągnąć i do tej pory szantażował z

powodzeniem swą ofiarę.

Ale kochankowie byli snadź niezwykle ostrożni, gdyż w żadnym ze swych listów nie wymieniała hrabina przyjaciela po imieniu, nazywając go tylko pieszczotliwie jasnym promykiem słońca, jedyna osłoda wśród szarego życia itp.

Listy te wykupił pan August częściowo z rąk szantażysty, ale ani jeden ani drugi, nie byli z nich mądrzy... Ostatni, a zarazem najważniejszy, list znajdował się w oryginale w rękach Dachsbergera. Dobromilski wykupił tylko fotograficzną kopię oryginału, sporządzoną przez pomysłowego reportera, który się redaktorem tytułował, a obecnie (jak przed chwilą opowiadał) własne pismo założył.

Od lat dwudziestu męczył się pan August nad odgadnięciem osoby rywala, lecz duma nie pozwalała mu pytać tej kanalii o to. Tym razem nie utrzymał swych nerwów na wodzy i zniżył się do rzucenia pytania, które w tak wielki kłopot wprawilo szantażystę.

Podsluchujący Dawidowicz wysunął się do połowy ciała ze swej jamy, aby posłyszeć decydującą odpowiedź, i cicho rozcierał sobie ręce poparzone

przez pokrzywy.

Ale Dachsberger milczał jak skała, szukając jakiegoś wykrętu, który by mógł zadowolić Dobromilskiego, nie zdradzić własnej ignorancji i nie popsuć interesu z tymi sześcioma czy dziesięcioma setkami dolarów, które czuł już prawie w kieszeni wiecznie dziurawej.

Pan August powtórzył swe pytanie:

— Więc kto jest ojcem Stasia?

— Hm... Tego mi powiedzieć nie wolno — bąknął Dachsberger.

— Nie wolno?... Albo też pan sam nie wie...

— Ja, nie wiem?... Cha, cha, cha, cha, cha. To dobre!

— Więc kto?

Dachsberger otarł sobie chustką pot z czoła. Myśli kotłowały mu w czerepie czaszki, szukając nadaremnie w pamięci, nazwiska jakiego bądź sąsiada, który w onym czasie mógł być przyjacielem pięknej hrabiny. Ale pamięć zawiodła. Nie mógł sobie przypomnieć takiego człowieka, dość młodego, dość wytwornego, eleganckiego, który mógłby być odpowiednim

kandydatem na takiego przyjaciela domu... Aż!... nagle błysła mu myśl pewna. Znalazł odpowiednią ofiarę, na którą można by było rzucić oszczerstwo... Tak!... Ten miał wszystkie warunki po temu, aby stać się jasnym promykiem słońca dla uroczej, młodej, a przez własnego męża zanedbywanej kobiety...

A pan August uświadomił sobie już od chwili, że Dachsberger nie zna nazwiska rywala, że pierwszym lepszym kłamstwem będzie się usiłował wyplątać z sytuacji. Spostrzegłszy zaś żywy błysk żółtych oczu przechrzty, wycedził z ironią:

— No i cóż? „Przypomniał” pan sobie wreszcie nazwisko tego człowieka? To dziwne, że pamiętając o wszystkim, o tym właśnie pan zapomniał.

— Nie zapomniałem wcale, ale namyślałem się jeszcze, czy mam powiedzieć, czy też nie... Mam pewne skrupuły...

— Ja myślę, że perspektywa otrzymania sześciuset dolarów zagłuszy u pana wszelkie skrupuły...

— A jednak, nie... Są wiadomości, których kupić za pieniądze nie można.

— Ale nie od pana... Pan by rodzoną matkę

sprzedał i duszę własną, za dobrą cenę, oczywiście...

— Teraz pan hrabia trafił w sedno... Za dobrą cenę. Na marmurze ryć te słowa... A więc dostanę tysiąc dwieście dolarów?

— Żądał pan przecież tylko dziewięciuset.

— Nie za tę ważną wiadomość, lecz niechby już było tysiąc. Więc zgadza się pan?

— Zgoda... Dostanie pan tysiąc dolarów, ale jak powiedziałem, gołosłowne twierdzenie mi nie wystarczy... Muszę mieć niezbite dowody.

— Dowody... dowody... Dowodów nie można tak na poczekaniu zebrać. Muszę mieć czas na to... Zresztą, w tym wypadku dowody niepotrzebne zupełnie. To się rzuca w oczy... Dziwię się, iż się pan hrabia sam do tego czasu nie domyślił osoby szczęśliwego rywała... Cha, cha, cha, cha!... To się zdarza, że mąż nie wie o tym, o czym wszystkie wróble dawno na dachach śpiewają.

— Bez konceptów!... Proszę mi powiedzieć, kto jest ojcem Stasia.

Zaintrygowany do najwyższego stopnia Dawidowicz ujrzał, że Dobromilski podszedł do

Dachsbergera i pochwycił go oburącz za piersi. Stary, przygarbiony pan August wydał się podsłuchującemu jakimś atletycznym mężczyzną w tym momencie. Twarz miał tak czerwoną, jak gdyby przechodził atak apoplektyczny. Chude, starcze palce wpiły się w marynarkę łotra niby szpony sępa. Siwe, zazwyczaj spokojne oczy rzuciły złe błyski i przewiercały na wylot żółte źrenice dręczyciela, usiłując wydrzeć tajemnicę i poznać prawdę.

Niezwykłe wzburzenie Dobromilskiego zaskoczyło, a nawet przstraszyło Dachsbergera. Chciał się cofnąć, lecz zaledwie krok w tył zrobił, plecy jego dotknęły pnia jednego z dębów. Wiec odrywał palce wczepione w marynarkę i szamocąc się, bełkotał niewyraźnie:

— Co pan robi?... Proszę mnie puścić!...

— Kto?... Mów!... Gadaj!... bo!...

— Dobrze, powiem, ale puść pan, do diabła!...

— Gadaj — warknął Dobromilski, potrząsając coraz silniej przechrztą.

Dawidowicz, nie panując nad sobą, nie bacząc, że któryś z tych mężczyzn może go spostrzec, bez trudu wychylił się z jamy jeszcze bardziej i pochwycił w ręce

aparatu fotograficznego. Teraz zrobię zdjęcie — myślał.

Ale tamci dwaj nie widzieli nic, nic nie słyszeli, borykając się z sobą, szarpiąc się i szamocąc. Wreszcie naciśnięty dobrze i przerażony obłąkanym wyrazem twarzy Dobromilskiego, zakrzyknął Dachsberger na całe gardło:

— Słuchaj pan więc!... Powiem.. powiem.. kochankiem hrabiny, był.. brat pański, Hubert!

Jak gromem rażony cofnął się pan August wstecz. Ręce podniósł wysoko nad głowę i tak zastygł, znieruchomiał niby posąg. Twarz jego stała się jak opłatek biała, oczy w głąb czaszki uciekły.

Dachsberger rad z wrażenia, jakie jego słowa wywołały, uśmiechał się głupkowato a zarazem złośliwie i poprawiał sobie fałdy na marynarce, ślady kurczowego chwytu palców nieszczęśliwej ofiary.

Ale ofiara nie była jeszcze ogłuszona ciosem.

W porażonych niespodziewaną wiadomością splotach mózgowych zajaśniała na kształt błyskawicy myśl... Jedna, jedyna myśl: — Oto ten łotr nikczemny zełgał, aby wyłudzić żadaną kwotę, aby posiew śmiertelnej nienawiści rzucić pomiędzy dwóch braci, z

dawna ku sobie niechęć żywiących, aby z tej intrygi najpodlejszej do wymyślenia wyciągnąć nowe dla siebie korzyści. Oto ta pijawka przekłeta ssie krew swej ofiary i ssać będzie wciąż, coraz więcej, coraz więcej... dopóki... nie... szczeźnie!..

I błędne, oszalałe spojrzenie biednych oczu pana Augusta spoczęło na wyłysiałej czaszce przechrztu, przeniosło się na ciężką laskę zakopiańską wbitą w ziemię i szybko powróciło w stronę czaszki.

Bij! — szepnął głos jakiś. — Bij... Uwolnisz się raz na zawsze od tego łotra. Jedno uderzenie... Spróbuj, jak łatwo pójdzie.

Dobromilski postąpił krok naprzód...

Stój — ostrzegł głos inny, cichy, miękki, łagodny. — To zbrodnia. Chcesz ręce krwią skalać?

Dobromilski przystanął.

Uderz!... Taka okazja nie trafi się drugim razem. Będziesz miał spokój.

I zanim dobry duch zdołał z kolei swoje ostrzeżenie wypowiedzieć, dłoń pana Augusta pochwyciła laskę w połowie jej długości i z całej siły palnęła w łysy łeb znieawidzonego wroga. Dachsberger błyskawicznie

wyciągnął rękę przed siebie, aby się zasłonić, ale ciężki obuch zakopiańskiej laski-siekierki wyminął zapórę i trzasnął w odchyloną głowę, trafiając w pobliżu prawego ucha.

Urwany jęk ugodzonego, suchy trzask aparatu fotograficznego oraz łaskot laski, która wyslizgnęła się z ręki zabójcy i padła na jakiś kamień, złąły się w jedno. Najwprawniejsze ucho nie pochwyciłoby, ani by nie rozróżniło tych trzech równoczesnych odgłosów.

Dachsberger zwałił się na wznak.

Dobromilski stał jak w słup zamieniony, patrząc nieprzytomnymi, szklanymi oczami na powalonego przeciwnika. Tylko wargi zsiniałe poruszały się nieustannie, jakby coś przeżuwały. Tylko usta mamlały, seplenily słowa niewyraźne... oderwane:

— Oszczyca!... Kanalia!... Szantażysta!...

Szuja!...

Nagle koń uwiązany w pobliżu bramy zarżał raz i drugi.

Pan August ocknął się z zadumy. Zawrócił na pięcie i z rześkością, zadziwiającą w jego wieku, pospieszył do swego wierzchowca, odwiązał go,

wskoczył na siodło ze zręcznością młodzieńca i wypadł z bramy.

Dźwięk podków stukających o kamienne płyty sieni ścichł szybko i rozpląnął się w powietrzu.

Teraz dopiero wygramolił się Dawidowicz ze swojej jamy. Postanowił jak najszybciej ulotnić się z fatalnego miejsca, na później odkładając obmyślenie swej akcji... swojego szantazu. Ale rozsądek nakazywał jednak zobaczyć wpierw, czy tamten żyje i... obszukać go z grubsza. Wszakże mówił wyraźnie, że kompromitujące listy ma ze sobą. Mógł wprowadzić kłamać, ale... mógł też mieć je przy sobie naprawdę.

Nie bez pewnego lęku pochylił się Karol nad nieruchomo leżącym ciałem. Nie bez obawy rozpiął marynarkę na piersiach i zagłębił dłoń w pierwszej wewnętrznej kieszeni. Była próżna, druga tak samo, ale szukająca ręka wymacała jakiś podłużny przedmiot przez kamizelkę... Tam był portfel. W wewnętrznej kieszeni kamizelki... Dygocącymi palcami rozpiął Dawidowicz pierwsze cztery guziki i z trudem wyciągnął tkwiący w głębi portfel.

Dalsza rewizja nie dała żadnych rezultatów, poza

chusteczką i rewolwerem, których Karol nie tknął.

— A teraz w nogi! — pomyślał i pospieszył do swej nory w pokrzywach, aby zabrać aparat fotograficzny.

W tej samej chwili posłyszał jakiś oddalony krzyk, a zaraz potem tętent konia. W mgnieniu oka wskoczył do swej kryjówki. Nadsluchiwał. Tętent zbliżał się szybko, zadzwoniły podkowsy na płytach i na dziedzińcu wpadł pan August, bez czapki, z rozwianym włosom.

— Oszalał? Czy furie go ścigają? — mruknął Karol, oszołomiony szybkością następujących po sobie wypadków.

Tymczasem Dobromilski zawrócił konia na miejscu, wlepił oczy w wylot sieni i patrzył.. Patrzył długo... długo... niezmiernie długo. Potem jedną ręką pogładził sobie głowę i powoli zaczął zsiadać z wierzchowca. Nie wiązał go jednak na dawnym miejscu, lecz prowadził za uzdę w kierunku trzech dębów.

Dawidowicz zrozumiał szybko:

— Boi się sam podejść do trupa, więc taszczy

konia z sobą — powiedział sobie w duchu i nie pomylił się rzeczywiście. To, co się stało, było to dużo więcej, niż nerwy pana Augusta mogły wytrzymać. A jednak trzymał je jeszcze resztkami sił na wodzy i powrócił, aby zatrzeć ślady zbrodni. Przekonawszy się, że Dachsberger nie żyje, podszedł do miejsca niezbyt odległego, gdzie leżał na ziemi duży, płaski głaz. Z olbrzymim wysiłkiem dźwignął ową pokrywę i oparł ją grzbietem o jakiś pobliski kamień. Potem wrócił do trupa i pochwycając go za nogi, począł ciągnąć po ziemi. W pracy tej przeszkadzał mu wierzchowiec wydatnie, przysiadając na zadzie i płosząc się co krok.

Z całym spokojem zrobił Dawidowicz drugie zdjęcie, po czym włożył aparat do torby, wyszedł ze swej kryjówki i składając przesadny ukłon kapeluszem, rzekł głośno:

— Pan hrabia pozwoli, że mu pomogę.

Ale słowa te nie wywołały pożądanego efektu. Pan August spojrział na intruza mętnym wzrokiem i w milczeniu skinął głową. We dwójkę zaciągnęli ciężkie brzemie aż do płaskiej pokrywy. Tam ujrzał Dawidowicz dół głęboki na dwa metry, idący ukośnie

pod ziemię. Były to jakieś szczątki potrzaskanych, oraz przysypanych błotem schodków. Po stopniach sączyła się woda.

— Aha... Górny wylot tajemnego przejścia zamczyska — rzekł Dawidowicz półgłosem i pomógł zepchnąć bezwładne ciało do jamy. I płaski głaz zawałił otwór grobu, w którym spoczął pan Dachsberger, pseudoredaktor, szantażysta, defraudant, oszczerca, jedno z tych niebezpiecznych indywiduów, których zbyt wiele płacze się jeszcze bezkarnie po świecie.

Nie mówiąc do siebie słowa, podeszli obaj mężczyźni aż do bramy zamkowej. Tu dopiero, idący dotychczas jak w transie, pan August począł zdradzać niepokój. Uścisnął silnie ramię Dawidowicza i szepnął bezdźwięcznie:

— Boję się!... Ona tam jest!... Mój koń ją poczuł i zarżał.. Widziałem ją... Przystanęła, podcięła swego rumaka, a potem popędziła w dół.

— Spokojnie, drogi hrabio... Przywidzenie, nic więcej — uspakajał Karol. Pomógł Dobromilskiemu dostać się na siodło, pochwycił za uzdę i przeprowadził konia przez długą sień-bramę. Sam odetchnął z ulgą,

kiedy znaleźli się poza obrębem niesamowitych ruin, które były świadkami tylu dawniejszych wydarzeń oraz dzisiejszego zabójstwa. Były niemymi świadkami.

Kiedy wjechali pomiędzy pierwsze drzewa lasu, pan August osadził wierzchowca na miejscu a wskazując na najbliższy zakręt ślimakowatej drogi wyjąkał, dzwoniąc zębami z przerażenia:

— Tam!... Tam przystanęła... i potem zawróciła...
Boże! Boże!

Dawidowicz jął go uspakajać powtórnie, przeprowadził konia aż poza miejsce, gdzie rzekomo miała się nieszczęsnemu zabójcy ukazać ona i pochylił się ku ziemi, badając ślady uważnie. Swoim zwyczajem objawiał swe spostrzeżenia półgłosem:

— To dziwne... Są świeże ślady konia... Ale odciski jakieś zupełnie inne. Takich podków jeszcze nie widziałem.. A to co?! — wykrzyknął prawie głośno. — Koronkowa chusteczka!... Pachnie... chypre'em.. No, no. Czarna pani, nieboszczka Beatrycze, używa widocznie chypre'u. Coraz lepiej. O, dzisiejszy dzień będzie dla mnie pamiętny! A tę chusteczkę schowajmy.

Potem pośpieszył za Dobromilskim, który w tym

czasie ujechał kilkanaście kroków.

Pan August siedział w siodle zgarbiony. Patrzył przed siebie z jakimś niespokojnym natężeniem, ale źrenice jego nie widziały nic, żadnych nie odbierały wrażeń. Były jak martwe. I myśli były sparaliżowane. Tylko na serce padł jakiś ciężar przeogromny i cisnął, gniótł potężnie.

Na skraju lasu pożegnał Dawidowicz swego towarzysza, oświadczając, że musi iść po konia, pozostawionego w karczmie. Pan August nie rzekł ani jednego słowa. Ani okiem nie mrugnął, ani głową nie skinął w odpowiedzi na pożegnalny ukłon. Powoli, krokiem, zaczął zjeżdżać po pochyłości w stronę poprzecznie biegnącego po dolinie gościńca.

A Dawidowicz patrzył za nim długo. Dopiero kiedy sylwetka jeźdźca jęła się zacierać w szarych półcieniach zapadającego zmierzchu, wybuchnął głośnym, nienaturalnym śmiechem:

— Teraz cię w rękę urobię jak wosk. Sam mi córkę oddasz... — rzekł.

Wyprostował się dumnie, objął władcym spojrzeniem las, łąny żyta dojrzewającego, łąki oraz

pastwiska w oddali, na których kładły się już mgły wieczorne, i dodał, robiąc wymowny ruch ręką:

— A to wszystko moje będzie, wraz z nią.

— Che, che, che, che, che, che, che! — zabrzmiał gdzieś w pobliżu śmiech idiotyczny, przejmujący do szpiku kości.

— Cóż znowu, u diabła?! — mruknął Karol gniewnie i odwrócił głowę, starając się zapanować nad mimowolnym dreszczem nieokreślonego lęku. Po krótkiej chwili oczekiwania ujrzał wesołka, który wynurzył się z krzaków. I wówczas wzdrygnął się powtórnie, bo jeśli postać nowego intruza nie mogła powodować przestachu u rosnącego i silnego mężczyzny, jakim był Dawidowicz, to w każdym razie musiała wyrzeć na każdym niesamowite wrażenie.

Był to dziad z długą, niechlujnie skudloną brodą, obrośnięty i brudny straszliwie. Przez dziury łachmanów, które niegdyś miano płaszcza wojskowego nosiły, przeświecało nagie ciało, opalone i wychudzone straszliwie. Dziwny przybysz miał nos podrapany, a zarazem czerwony podejrzenie, policzki zapadnięte, zaś pod oczyma zwiślały mu fałdy brunatnej skóry na kształt

torby.

— Żebrak — pomyślał Karol, lecz spojrzawszy z bliska na nadchodzącego, zmienił natychmiast pierwotną opinię:

— Nie. To przede wszystkim wariat.

I trudno byłoby przypuścić co innego, widząc te oczy, rzucające bezmyślne, matołkowate spojrzenia dokoła, te usta skrzywione w grymas idiotycznego uśmiechu, te palce wykoślawione, które co chwila wykonywały w powietrzu głupkowate gesty.

Wariat przystanął na chwilę, przyglądnał się z uwagą Dawidowiczowi i parsknął śmiechem tak przeraźliwym i tak beznadziejnie głupim, że Karol odwrócił się czym prędzej na pięcie i ruszył w swoją drogę, sycząc przez zęby:

— Brrr! Takie bydlę może się człowiekowi przyśnić.

Tymczasem obłąkany dziad zaśpiewał. Właściwie zakrzeczał, bo profanacją byłoby nazywać śpiewem nieartykułowane dźwięki, jakie się z jego gardzieli dobywały, pośród ustawicznych spazmów śmiechu:

— Nie dla psa kielbasa,
Choć mu idzie ślina,
Nie dla ciebie, durniu.
Ze dwora dziewczyna. Hu, hu!

Słowa te, nie wiedzieć z jakiej przyczyny, zapiekły Dawidowicza, niczym razy szpicruty. Przyspieszył więc kroku, a z tyłu dolatywały wiersze dalszej strofki:

— Kochał Wojtek Hanię,
Hania go nie chciała,
Pan ją wziął na sanie,
Z panem pojechała. Hej, hej!

Głos półgłówek stał się jakiś smętny, melancholijny, ale snadź żalność wnet przeminęła, bo na koniec zanucił sobie z wielką fantazją, choć niezmiernie fałszywie i niemuzykalnie:

— Wojtek się nie trapi,
Przyjdzie czas na niego,
Córkę se ułapi

Od Dobromilskiego. Ho, ho!

Słowa dziwnej piosenki biegły po rosie wieczornej i pchały się natrętnie w uszy uchodzącemu Dawidowiczowi.

A dziad chwycił w dłonie swą laskę sękatą, krzywą i mizdrząc się do niej niby do urodziwej tancerki, począł wyczyniać pocieszne skoki na miedzy, odprawiając wśród łąnów kłoszącego się zboża swoje dziadowskie wesele.

ROZDZIAŁ IX

Kompromitujący list

Dawidowicz po raz dwudziesty zapewne przeglądał trofea, znalezione w portfelu Dachsbergera. Odłożył więc przede wszystkim na bok osobiste dokumenty, jego rozmaite notatki, wycinki z gazet oraz inne świstki, a zajął się i zainteresował listami zmarłej przed dwudziestu laty pani Dobromilskiej.

Było ich sześć, gdyż tyłu nie zdołał jeszcze pan August wykupić z rąk pijawki, ale z tych sześciu, cztery pierwsze (biorąc chronologicznie, wedle dat pisania ich) nie zawierały nic ciekawego. Zawierały tylko zwykłe czułości i zwierzenia miłosne, jak miliony innych listów pisanych przez kochanków, których przeciwne losy rozdzielają.

W piątym mieściła się gorąca prośba o zwrot całej korespondencji. Pani Dobromilska przeczuwała snadź rychły swój koniec i pragnęła, aby żaden ślad występnej miłości nie pozostał, choćby nawet w rękach ukochanego człowieka. Chciała widocznie zostawić po

sobie dobrą pamięć.

Za to szósty list był niezmiernie ciekawy i on to posłużył Dachsbergerowi za wskazówkę do odnalezienia poprzedniej korespondencji oraz za straszliwą broń przeciw nieszczęsnemu Augustowi.

Treść tego kompromitującego listu brzmiała następująco:

Promyczku mój jasny!...

Jesteś dobry, jak zawsze. Wiem i rozumiem to, że ci musiało być bardzo smutno rozstawać się z mymi listami. Ja tę bolesną chwilę częściej przeżywałam, bo po otrzymaniu każdego najdroższego od ciebie pisania. Każdy twój list paliłam zawsze zaraz po przeczytaniu, aby nie wpadł w czyje ręce. I patrzyłam jak krwawe języki ognia w kominku pożerały rzędkie słów słodkich, które twoja ręka wypisała. Patrzyłam tak długo, dopóki papier błękitny nie szerniał, nie rozsypał się jako słabe zlepki popiołu. Patrzyłam i cierpiałam, że nie mogę drogich

pamiętek przechować, lecz niszczyć je muszę własnymi rękoma.

A teraz tyś przeżył to samo. I posłuchałeś mego wezwania. Przysłałeś wszystkie moje listy bez jednego słowa sprzeciwu czy protestu. Ale twoje ostatnie pisanie jest tak przeogromnie smutne, że nietrudno mi odgadnąć, ileś musiał przecierpieć. Ty mój dobry, kochany!... Ty jasny promyku złotego słońca pośród szarych dni życia mojego...

Odebranych listów nie spaliłam do tej pory. Chcę je przeczytać raz jeszcze, chcę przeżyć w myśli dzieje naszej wielkiej Miłości od najpierwszej chwili, kiedy uczucie zakwitło, jako kwiat wonny róży pąsowej... Ukryłam listy w zegarze... tym starym zegarze, który bez litości odmierzał krótkie godziny, jakie razem spędzaliśmy przytuleni do siebie, zapatrzeni w siebie, zasłuchani w uderzenia naszych serc. Tam będą leżeć, dopóki ich nie przeczytam do końca, a potem pochłonie je płomień...

Więc raz jeszcze dziękuję Ci, Najdroższy, za wysłuchanie mej prośby i oczy twoje zasypię pocałunkami, skoro się znowu ujrzemy.

Przechodząc do końcowego ustępu Twego kochanego pisania, muszę ci donieść, że jesteś w błędzie... Tak, promyczku. Tylko Staś jest Twym dzieckiem. Tylko Staś, ale o tym się nikt nigdy nie dowie. To, co się teraz urodzi, jest jego dziecięciem, „legalnym” dziecięciem.. Zapewniam Cię, że się nie mylę. Słusznie mówisz, że tego udowodnić nie można, ale przecucie matki mi mówi, że tak jest, a nie inaczej. I lepiej, że tak właśnie się stało. Nie gniewaj się na mnie, Promyczku, za te słowa, lecz moim obowiązkiem jest dać mu potomka... prawdziwie jego potomka. Dlatego też chciałabym, aby to był syn. Koniecznie syn...

Taki mnie czasami lęk ogarnia, tak mi jakoś strasznie. Boję się, boję, Promyczku złoty. Zdaje mi się, jakaś postać krąży

po rozległych pokojach pałacu. Zdaje mi się, że słyszę szelest fałd sukni jedwabnej. Odczuwam czyjaś obecność niekiedy i wówczas zamieram ze strachu. Stają mi wtedy przed oczyma jak żywe ponure postacie Herburtów i ona... „Czarna Pani”!... Tak samo opuszczona jak ja, tak samo nieszczęśliwa. Chwilami zastanawiam się nad dziwną analogią jej dziejów z moimi. Ona miała jedyną osłodę w swym opuszczeniu... miała Leszka. Ty, Promyczku, jesteś moim Leszkiem.. Ale ona, biedna, odpokutowała za swe jasne dni i jak wieść głosi, po dziś dzień pokutuje. Co mnie czeka tedy?

Niekiedy zdaje mi się, że umrę niebawem, a na tę myśl jeszcze większa bojaźń mnie ogarnia. Tyś mi to wielokroć tłumaczył, że miałam prawo tak postąpić, że nie ma nic grzesznego w naszej miłości, skoro Bóg jest sam Najwyższą Miłością. Słowa twe napelniały mnie otuchą, rozpędzały czarne chmury skrupułów... a dziś? Dziś wielki

niepokój padł mi na duszę, pochwycił kleszczami serce, a na kształt stada ptaków, obsiadły me sumienie chmury wyrzutów...

Promyczku, dlaczego nie ma cię przy mnie? Czemu nie przybiegniesz pocieszyć twej biednej Zo? Zo taka sama, Zocha taka strasznie sama. Wokoło mnie tylko oblesnie uśmiechnięte twarze służby. Sami obcy... sami obcy... Jeden Stasinek mi został, lecz to przecież dziecko. Słodka nasza dziecina. Jego ciemna główka Ciebie mi przypomina i cierpię tym bardziej. Więc przyjedź kiedy... Albo nie!... Nie przyjeżdżaj jeszcze, aż się uspokoję... Kilka razy już-już posyłałam po księdza Mazurowicza, lecz nie mogłam.. nie mogłam się zdecydować... Wiem.. tajemnica spowiedzi... święta rzecz, ale ja bym mu więcej w oczy spojrzeć nie śmiała... Wołałabym jakiego obcego duchownego. Och Boże, Boże!... Jakże mój los przeraźliwie podobny do losu Beatrycze Herburtowej...

Nie mogę pisać dalej... Znowu słyszę szelest sukni jedwabnej. Tam.. w drugim pokoju, gdzie śpi Staś... Chcę zadzwonić na służącą i nie mogę... Nie mam siły przejść do tastra... Boję się... Co ja piszę?... Jestem zdenerwowana... Jutro list skończę. Na dziś Cię żegnam, Mój Promyku złoty... Jeśli potrafisz, módl się za Twoją biedną Zo...

Dawidowicz odłożył list i wyjął ze swego portfelu plik papierów. Były to odpisy sześciu listów biednej hrabiny Dobromilskiej sporządzone tymczasem przez niego. Jakiś czas trwało skrupulatne porównywanie oryginałów z odpisami, a potem te ostatnie zostały z powrotem ulokowane w portfelu, a oryginały powędrowały pod klucz do walizki...

Właśnie ukończył tę czynność, kiedy zapukano do drzwi:

— Proszę? — rzekł pytająco, dziwiąc się, kto to go odwiedza w jego pokoju o tej porze, skoro Krysia, Jadzia, Stach i Andrzej poszli w pola, by zobaczyć nową żniwiarkę przy robocie.

Do pokoju wszedł stary lokaj z tradycyjnymi bokobrodami à la Franciszek Józef.

— Cóż tam kochany Michał powie nowego?
— zagadnął protekcjonalnie Karol.

— Pan hrabia prosi pana do siebie.

— Tak?... Proszę powiedzieć, że przyjdę zaraz.

Po wyjściu służącego dobył z szuflady stolika kilka gazet, umyślnie tam schowanych, i pośpieszył do sypialni pana Augusta.

Dobromilski senior wyglądał bardzo źle. Pomimo starannego wygolenia i masażu twarzy, jaki mu zaaplikowała pielęgniarka z Przemyśla na czas choroby sprowadzona, znać było ślady przebytych cierpień. Oczy zapadły głęboko w czaszkę i były obwiedzione sinymi podkówkami. Policzki chude były i blade, a bladość tę uwydatniała tym bardziej niestosowna fioletowa piżama, w której chory leżał w łóżku. Długie, cienkie palce spoczywały wyciągnięte bezwładnie na kołdrze.

W pokoju panował półmrok.

Okna wychodziły na wschód i były zasłonięte złotymi firankami, tak że niewiele światła wdzierało się

do sypialni.

Wygląda, jak gdyby stał na progu śmierci — pomyślał Dawidowicz, ściskając czule chudą dłoń Dobromilskiego. Siadając obok łoża w głębokim fotelu, postanowił sobie, że nie poruszy drażliwego, a upragnionego tematu, dopóki tamten sam nie zacznie.

Zacząła się więc najpierw banalna rozmowa o żniwach, pogodzie, o chorobie Dobromilskiego, o przyjemnościach pobytu w pałacu.

Dawidowicza, który domyślał się, że nie dla towarzyskiej pogawędki wezwał go tutaj pan August, zaczęło niecierpliwie dziwne kołowanie i unikanie tematu o zajściach, które właśnie samą chorobę wywołały.

Wreszcie...

Wreszcie pan August spytał prosto z mostu:

— Jakim sposobem znalazł się pan wówczas w ruinach?

Dawidowicz odchrząknął, dla zyskania czasu do namysłu.

— Czy to pytanie jest konieczne, panie hrabio? — odparł śmiało. — Przecież mogę się wykręcić

pierwszym lepszym kłamstwem.

Chwilę mierzyli się nawzajem wzrokiem, aż przerwał milczenie Dobromilski i rzekł z lekkim skrzywieniem warg:

— Ma pan rację. Ma pan zupełną rację. Więc?

— Więc?

— Nie klei się nam początek rozmowy.

— Każdy początek trudny — wyrwało się Dawidowiczowi niezbyt fortunnie. Dobromilski uśmiechnął się ironicznie. Poznał w lot taktykę przeciwnika.

— Przypuszczam, że pamięta pan przebieg całego...

— Zajścia — pomógł Dawidowicz.

— Tak, zajścia.

— Pamiętam doskonale.

— Sądzę więc, że jako ukończony prawnik zdaje pan sobie sprawę z konsekwencji, jakie stąd wynikają dla mnie i dla... pana.

— Wprawdzie kończyłem ekonomię, a nie prawo, ale niemniej orientuję się niezłe. Nie rozumiem tylko, co pan ma na myśli, mówiąc o konsekwencjach

wynikających dla mnie.

— Nie wie pan? Hm.. Przecież jest pan moim współnikiem.

— O tyle, o ile.

— Od tego nieszczęsnego dnia upłynęło trzy tygodnie, a pan nie zrobił dotychczas doniesienia na mnie. Co gorsza, pomagał pan przy ukryciu zwłok... tego... draba.

Dawidowicz oglądał się niespokojnie:

— Czy nie rozmawiamy nieco za głośno? — spytał ostrożnie.

— Może pan być zupełnie spokojny... Do mej sypialni wiedzie tylko jedna droga... Ta, którą pan przyszedł..

— Ale właśnie w tantym pokoju zauważyłem pielęgniarkę.

— Nie rozumie ani słowa po polsku. Umyślnie kazałem zabić Niemkę sprowadzić, abym czego w czasie snu nie wygadał przy niepowołanym świadku.

— Pan hrabia umie być przewidujący. Jednakże...

— Pańska pochwała, aczkolwiek wypowiedziana w tonie ironicznym, pochlebia mi bardzo, zacny

wspólniku... Jednakże wszelkie obawy są płonne i nieuzasadnione. Sam się przekonałem, że Emma Schwestern nie rozumie ani słowa po polsku. A gdyby nawet coś rozumiała, to ani sylaby nie usłyszy. Te dywany i grube portiery wchłaniają głos całkowicie. Więc niech się pan nie kępuje.

Pomimo tego zapewnienia, Dawidowicz nie podnosił głosu i mówił nadal jak gdyby szeptem, pochylając się przy tym w stronę głowy chorego.

— Określił mnie pan hrabia mianem wspólnika... Ha, niechby i tak było. W każdym razie mogę pana zapewnić, że potrafię być dyskretny i milczeć jak grób...

— We własnym interesie — wtrącił znacząco Dobromilski.

— Nie... Nie w własnym interesie, jak się pan raczył wyrazić, panie hrabio, ale przez współczucie i afekt dla krewniaka.

Tu Karol pierwszy podniósł głos cokolwiek i silny nacisk położył na słowie krewniak. I zaraz dodał, chociaż pan August w zupełnym milczeniu przelknął tak ciężkostrawne do tej pory pokrewieństwo.

— Chociaż właśnie jestem tylko pańskim powinowatym, jak to pan często gęsto podkreślać lubi.

I tę pigułkę przelknął Dobromilski, a nabrawszy śmiałości, Karol nie myślał na tym poprzestać:

— Zresztą, otrzyma pan niebawem całkowitą gwarancję mej absolutnej dyskrecji... Widzę, że patrzy pan na mnie pytająco... Ależ tak. Zapewniam pana, że o ile pewna rzecz dojdzie do skutku...

— Aha!... Tu pana zdybałem!... O ile... o ile... Dyskrecja pana ma być tylko warunkowa.

Dawidowicz roześmiał się cicho, ale w intonacji jego śmiechu czaił się cynizm niezrównany:

— Wcale się z tym nie kryję. Jak spółka, to spółka. Jeżeli mam partycypować w czynach ściganych przez prawo i w ryzyku, jak to miało miejsce rzeczywiście, to chcę także mieć swój udział w...

— Zyskach?... To pan miał na myśli?

— Jeżeli pan hrabia tak chce to nazwać, to w zyskach.

Długie sekundy ciszy bezwzględnej zapanowały w sypialni gospodarza. Obaj przeciwnicy mierzyli się wzrokiem na pozór spokojnym i wyzywającym, ale w

rzeczywistości lęklwym. Każdy z nich starał się odgadnąć atuty przygotowane do dzisiejszej rozgrywki przez drugiego i z oczu myśli odczytać.

Wreszcie pan August pierwszy stracił panowanie nad nerwami i rzucił obelgę w twarz Dawidowiczowi:

— Jednym słowem, chce pan zająć miejsce Dachsbergera. Od chwili poznania robił pan na mnie niekorzystne wrażenie, ale przyznam się, że nie przypuszczałem, że jest pan zdolny do... do...

— Szantażu... Czemu pan nie kończy? Ja bardzo lubię grę w otwarte karty. Wolę to od słodkiej obłudy, z jaką pan mnie witał przed chwilą.

Mówiąc te słowa, przesywał Karol drwiącym wzrokiem Dobromilskiego, a widząc, że milczy, ciągnął dalej coraz chłodniej, coraz spokojniej:

— Porównuje mnie pan z Dachsbergerem... Phi!... Porównanie niezbyt trafne, gdyż ja wiem o wiele więcej od tego pseudoredaktora. Wiem nie tylko o prowadzeniu się pani hrabiny, o wątpliwym ojcostwie Staszka i związanych z tym historiach majorackich, ale przede wszystkim o zamordowaniu Dachsbergera przez pana... To jest jedna pomiędzy nami obydwoma

różnica. A druga jest ta, że ja nie jestem taki głupi i nie pozwoliłbym się listownie zwabić w zakazane miejsca, w jakieś ruiny, odludzia.. Chciał pan prawdy, więc ją pan ma w całej okazałości.. Nad panem zaś mam tę przewagę, że jestem zupełnie spokojny, podczas gdy pan nie potrafi nad swoimi nerwami ani słowami panować... Ot co!

Tu umilkł rozgadany Karol, gdyż głowa pana Augusta opadła bezsilnie na poduszki, a ręce wyciągnięte na kołdrze, zastygły w bezruchu. Zdawać by się mogło, że to już koniec nadchodzi, że ostatnia kropla krwi uciekła z tej twarzy starej lecz rasowej i pięknej.

Dawidowicz zląkł się bardzo. Był grubo niezadowolony z dotychczasowego przebiegu rozmowy, ale przeraziła go wręcz myśl, że Dobromilski może nagle umrzeć. Byłoby to przekreślenie wszelkich misternie wykalkulowanych kombinacji. Dobromilskiego żywego można było straszyć, szantażować, wymusić na nim bardzo wiele, może wszystko nawet. Dobromilski nieżywy uchylał się spod pościgu władz sądowych, spod jarzma strachu przed

więzieniem, spod wymuszeń, po których Karol tak wiele sobie obiecywał. Staszek, idealista, nie poświęciłby za nic ukochanej siostry i zrzekłby się nie jednego ale dziesięciu majątków ordynackich, a fałszywego przyjaciela przepędziłby na cztery wiatry i kto wie, czy jeszcze gorzej nie zakończyłaby się cała afera.

Co gorsza, za Dachsbergera odpokutowałby tylko Karol, jako ten, który przez trzy tygodnie taił czyn zbrodniczy i pomagał przy ukryciu zwłok.

Więc zerwał się nader skwapliwie ze swego fotelu, pochwycił szklanke wody w pobliżu stojącą i przysunął ją do sinych, bezkrwistych warg starego pana.

Ale pan August nie zemdlął wcale. Odsunął głowę niechętnie, słabym ruchem palców polecił „troskliwemu” towarzyszowi, aby usiadł na dawnym miejscu, i po chwili wyszeptał ledwie dosłyszalnie:

— Mów pan... czego żądasz... Mów prędko!... bo męczy mnie rozmowa.

— Więc odłóżmy ją na inny dzień, aż pan hrabia będzie zdrów zupełnie.

— Nie!... Proszę mówić!... Wolę wszystko, niż

niepewność... Chcę zresztą wiedzieć, czy warto mi wyzdrowieć... Może śmierć lepsza.

— Ależ panie hrabio!... Żle mnie pan sądzi.

— Och!...

— Co? Co?

— Powiedział pan tak samo jak Dachsberger: Żle mnie pan sądzi.

Dawidowicz przygryzł wargi, lecz szybko się opanował i zaczął wygłaszać dłuższe przemówienie.

Przepraszał za dotychczasowy niestosowny przebieg rozmowy, który jednak nie on spowodował i który wywołał nagle pogorszenie się zdrowia chorego gospodarza, prosił, aby Dobromilski zechciał go cierpliwie wysłuchać do samego końca, a wreszcie począł się rozplýwać nad swym przywiązaniem do Staszka, nad sympatiami do pana Augusta, pomimo jego niczym nieuzasadnionej nieżyczliwości, nad niepospolitymi zaletami Krysi i nagle urwał.

Dobromilski, który całej gadaniny słuchał z przymkniętymi oczami, podniósł ciężkie powieki, westchnął.

— Streszczaj się pan!... — rzucił półgłosem —

Pomiń te wszystkie historie i mów czego chcesz...
czego żadasz ode mnie.

— Mam mówić szczerze? — spytał Karol, uważając, że teren przygotował dostatecznie i wierząc w skutek swych oratorskich wywodów.

— Proszę... całkiem szczerze... Więc czego pan żąda?

— Niczego nie żądam.. tylko proszę... o rękę panny Krystyny — dokończył jednym tchem, jak gdyby bojąc się, że tamten mu przerwać może.

Pan August drgnął silnie, a Dawidowicz mówił szybko:

— Teraz pan hrabia rozumie, co miałem na myśli, nadmieniając o całkowitej gwarancji mej dyskrecji. Przecież to najprostsze wyjście, najprostsze rozwiązanie zagmatwanej sytuacji... Przypuszczam też, że nie ma pan nic przeciwko mej osobie i mogę śmiało zostać pańskim zięciem. Jestem młody, zdrow jak ryba, posiadam dobre formy (że sobie pochlebię), posiadam wyższe wykształcenie i... charakter.

To ostatnie słowo wypadło niezmiernie cicho i dyskretnie, ale chory przecież dosłyszał.

— Charakter!... — powtórzył z goryczą.

— Jednym słowem jestem zupełnie dobrą partią.

Pochodzę wprawdzie z mieszczańskiej rodziny, lecz w dzisiejszych czasach byłoby śmiesznością zważać na taki drobiazg. Minęły czasy zasklepiania się w sobie warstw arystokratycznych. Dzisiaj każdy rozsądny człowiek zdaje sobie sprawę z tego, że takie krzyżowanie się ustawiczne w najbliższym gronie prowadzi tylko do zupełnej degeneracji. Więc reasumując moje poprzednie wywody, nie widzę żadnej przeszkody, która mogłaby stać na zawadzie memu połączeniu się węzłem małżeńskim z panną Krystyną.

Dawidowicz odpoczął nieco, a wtedy pan August powtórzył raz jeszcze cichuteńko:

— Charakter...

Karol udał, że nie słyszy, i ciągnął dalej:

— Poza tym cieszę się pewnymi sympatiami panny Krystyny i jestem pewien, że będę przez nią przyjęty.

— Czy mówił pan z nią kiedy o tym?

— Ależ, panie hrabio. Jakżebym śmiał mówić o tym z panną Krystyną przed porozumieniem się z panem. Ani słowem nie wspomniałem dotychczas...

Jednakże to nietrudno poznać, a raczej odczuć, czy jest się mile widzianym przez młodą, niezepsutą panienkę... Jeżeli pan hrabia da mi teraz definitywną odpowiedź, znajdę w tych dniach sposobność do rozmówienia się z panną Krystyną i jestem jak najlepszej myśli...

Pan August chciał właśnie coś odpowiedzieć, kiedy zapukano do drzwi i jakiś płaczliwy głos niewieści dał się słyszeć:

— Herr Graf, es ist schön Zeit.

— Gleich, Schwester — odparł Dobromilski i rzekł, zwracając się do Dawidowicza:

— Niech pan będzie łaskaw wyjść do niej na chwilę i powiedzieć, że nasza konferencja dobiega końca.

Kiedy Karot, spełniwszy prośbę chorego, powrócił do swego fotelu i zajął miejsce, pan August odezwał się w te słowa:

— Przed jakąś chwilą pytał mnie pan, czy może pan mówić szczerze, na co oczywiście przystałem, pozwoli pan więc, że go nawzajem o bezwzględną szczerłość poproszę...

— Ma pan moje słowo honoru, że będę mówił

zupełnie szczerze.

— Chcę panu wierzyć, pomimo wszystko. Proszę mi więc powiedzieć, kiedy pan powziął zamiar poślubienia mej córki?

— Rozumiem pana doskonale. Pan przypuszcza, że zamiar ten powstał we mnie dopiero w owym dniu pamiętnym.. Nie!... Tak nie jest. Na prochy mych rodziców się knę, że powziąłem to postanowienie znacznie wcześniej... Znacznie....

— Kiedy mianowicie, jeśli można wiedzieć?

— Nie pamiętam dzisiaj dnia, ale pamiętam, że było to podczas nocnej wycieczki do ruin, jaką odbyliśmy na krótko po przyjeździe do państwa. Aha!... Teraz sobie przypominam.. Tak. Zakochałem się w pannie Krystynie w ten dzień, kiedy graliśmy po raz pierwszy w tenisa. Mówię szczerą prawdę... Miałem zamiar starać się o jej rękę w najlegalniejszy i najbardziej konwenansiem uświęcony sposób, pomimo iż czułem w panu przeciwnika. Żywił pan hrabia do mnie niczym nieuzasadnioną antypatię czy uprzedzenie od chwili poznania, czemu pan zresztą wcale nie przeczy... Tymczasem zaszły wiadome wypadki, dzięki

którym moje położenie stało się znacznie pewniejsze, chociaż wykorzystanie ich stawia mnie w złym świetle wobec pana hrabiego. Ale cel uświęca środki. Wallenrodyzm znowu w modzie... Jestem pewien, że każdy na moim miejscu postąpiłby tak samo...

— Pozwoli pan, że co do tego będę miał grube wątpliwości i zastrzeżenia... Ale, mniejsza z tym.. Na razie chcę się zająć faktami. Więc pan kocha moją córkę...

— Tak jest... Kocham pannę Krystynę — przyświadczył Dawidowicz poważnie...

— I gotów by pan ją był poślubić, nawet gdyby była całkiem biedną dziewczyną?

— Biedną? — zapytał Karol przeciągle, wietrząc jakąś zasadzkę.

— Tak... Gdyby była całkiem biedną, bez posagu, bez wyprawy itd.

— Po cóż o tym rozprawiać, skoro tak nie jest.

— Dlaczego unika pan szczerzej odpowiedzi na moje pytanie? Przecież to bardzo możliwe, że jej nie dam żadnego wiana. Dobra ordynackie są własnością rodzinną, na której ja mam tylko użytkowanie. Reszta

majątku jest moją wyłączną własnością i nie mam obowiązku dawać Krysi żadnego posagu, na który ktoś poluje.

— Che, che, che — zaśmiał się Karol wymuszenie.

— Nie zechce pan chyba krzywdzić swego jedyne­go dziecka... Podkreślam.. jedyne­go dziecka.

Dobromilski zapanował nad wzburzeniem.

— Pomimo nie­domówień, rozumiemy się doskonale, panie Dawidowicz — odrzekł głosem nieco drżącym. — Panu nie chodzi o osobę Krysi, ale o jej posag. Wykalkulował pan chytrze, że żadne wymuszenie nie przyniesie panu takich zysków jak ten ożenek. Pańska kalkulacja jest z gruntu fałszywa. Ja mogę panu zapłacić bardzo wiele za milczenie, ale dziecku poświęcać nie chcę. Nie chcę jej wydawać za mąż za człowieka o takim charakterze... Więc zamiast opowiadać o swej „wulkanicznej” miłości, niech pan lepiej wymieni kwotę, która byłaby panu w stanie położyć pieczęć absolutnego milczenia na wargach.

— Nie rozumiemy się — odparł z żywością Karol.

— Nie moja, ale pańska kalkulacja jest z gruntu fałszywa. Pan chce ze mnie zrobić drugiego

Dachsbergera.

— Pan nim już jest.

— Jeszcze nie, ale mogę się nim stać, jeżeli pan hrabia będzie się mnie chciał pozbyć jakimś odczepnym w gotówce. Wydam pieniądze, a za kilka miesięcy znowu się zgłoszę i tak pójdzie w kółko, dopóki się fortuna nie wyczerpie. Jeżeli zaś zostanę pańskim zięciem, będę ze zrozumiałych powodów najwierniejszym stróżem rodzinnej tajemnicy. Niech się pan dobrze zastanowi przed powzięciem ostatecznej decyzji... Ja nie nalegam na to, abym już dzisiaj posłyszał definitywną odpowiedź. Dam panu chętnie kilka dni czasu do namysłu.

Dobromilski ożywił się na moment, lecz natychmiast przybrał maskę znużenia.

— Ileż pan mi czasu wyznacza miłościwie? — zapytał ironicznie.

— Myślę, że trzy dni wystarczy aż nadto...

— Mało! Sprawa jest bardzo poważna, a panu się przecież ziemia pod nogami nie pali.

— Kto wie, panie hrabio.

— Jak to?

— Czytał pan dzienniki krakowskie z ostatnich dni?

— Nie... Przez te trzy tygodnie nie czytałem żadnych gazet zupełnie — odparł pan August zaniepokojony wzmianką w prasie.

Dawidowicz wyjął z flegmą plik czasopism i położył je na kołdrze przed chorym, mówiąc:

— Przez ostrożność nie zakreślałem odnośnych miejsc, ale znajdzie je pan z łatwością. Proszę, tu jest Głos Narodu, Czas i „Kurierek”. Ja teraz już pójdę, bo słyszę, że pielęgniarka znów się dobijać zaczyna. Życzę panu hrabiemu szybkiej rekonwalescencji i zalecam wielką rozwagę przy rozpatrzeniu mej propozycji. A więc, do widzenia panu.

— Do widzenia — odparł Dobromilski i udając, że ma dreszcze, ukrył ręce pod kołdrę, aby nie musieć uścisnąć dłoni Dawidowicza.

Karol domyślił się natychmiast intencji tego dyskretnego ruchu i uśmiechając się ironicznie, wyszedł z pokoju.

Po jego wyjściu rzucił się pan August łapczywie do czytania otrzymanych czasopism. Drżącymi rękoma

przerzucił stronicę Głosu Narodu i po chwili znalazł niewielki ustęp, zatytułowany w ten sposób:

Dachsberger znika z Krakowa

Potem czytał szybko treść notatki dziennikarskiej:

Znany na bruku krakowskim Izaak Zygmunt Dachsberger, współwłaściciel anemicznego tygodnika „Głos Wolności”, znikł nagle z Krakowa bez śladu przed tygodniem. Niektóre pisma upatrują w tajemniczym zniknięciu zbrodnię i rozdmuchują całą sprawę do rozmiarów niebywalej sensacji. Jeżeli jednak wglądniemy w akta Okręgowego Sądu Karnego, jeżeli zobaczymy te sterty doniesień skierowanych przeciwko Dachsbergerowi o zbrodnię oszustwa, szantażu, sprzeniewierzenia, obrazy czci, oszczerstwa itd. itd., jeżeli uprzytomnimy sobie, że z powodu wyczerpania wszystkich mniej lub więcej legalnych źródeł dochodu dni

„Głosu Wolności” i jego właściciela były policzone, jeżeli ponadto dowiadujemy się, że Dachsberger zalegał od blisko roku z zapłatą czynszu za umeblowane mieszkanie, a jedynym fantem na pokrycie tej pretensji jest wyniszczone stare ubranie... to wówczas przyczyny tajemniczego zniknięcia tego pana z Krakowa, wydadzą się nam mniej romantyczne, a w samym fakcie nie będziemy się dopatrywać sensacji, ale po prostu uciezki.

Dobromilski odetchnął z ulgą i wziął się do wertowania Czasu. Organ konserwatystów, poprzestał na suchej, króciuteńkiej wzmiance. Za to „Kurierek” sobie użył. „Kurierek” był co prawda z daty nieco późniejszej niż tamte dwa pisma, toteż i wiadomości świeższe mógł podać. Tłustymi na dwa cale głoskami stało tam wydrukowane:

TAJEMNICZE PORWANIE REDAKTORA!
Zbrodnia czy nieszczęśliwy wypadek???

Ze zrozumiałym zdenerwowaniem czytał pan August treść dwuszpaltowego artykułu, który się zaczynał od słów:

Powojenne zdziczenie moralne przybiera zastraszające rozmiary, na co niejednokrotnie zwracaliśmy uwagę na łamach naszego pisma. I dzisiaj mamy do zanotowania fakt nowy, który rzuca ponure światło na stosunki bezpieczeństwa, które znów są logicznym następstwem dyletanckich eksperymentów władz centralnych. Upojeni hasłem osławionej redukcji, panowie przy zielonych stolikach, referenci z domowym wykształceniem, zredukowali w bezmyślnym zapale co najcięższe siły naszej policji, nie oglądając się na skutki, które nie dają na siebie czekać.

Wśród tajemniczych okoliczności zniknął w Krakowie p. Dachsberger, wydawca i naczelny redaktor brukowego tygodnika „Głos Wolności”.

Naszemu reporterowi udało się wczoraj zrobić wywiad z członkiem redakcji wspomnianego tygodnika, P. Maksymilianem Tasiemcem, a rewelacyjnymi informacjami dzielimy się chętnie z naszymi Czytelnikami.

W środę dnia 23 czerwca polecił Dachsberger panu Tasiemcowi kupić bilet trzeciej klasy do Przemyśla, do wieczornego pociągu osobowego, przy czym prosił pana T. o wyłożenie zań pieniędzy, ponieważ nie ma przy sobie gotówki (co się Dachsbergerowi często przytrafiało... przyp. Redakcji).

Kiedy pan Tasiemiec wahał się, czy ma polecenie wykonać, mając u Dachsbergera do odebrania pensję za trzy miesiące, Dachsberger poklepał swego współpracownika po ramieniu i rzekł:

— Nie bój się stary... jadę po forszę... do mojego starego bankiera. Daję ci słowo honoru, że za dwa dni zwrócę ci wszystkie długi i jeszcze się wesoło zabawimy.

Wobec tego zdecydował się p. Tasiemiec wyłożyć należność za bilet i wieczorem odprowadził swego szefa i przyjaciela na dworzec, oraz był tam aż do chwili odejścia pociągu.

Od tego czasu znikł wszelki ślad po Dachsbergerze.

Pan August otarł chusteczką krople potu, które czoło mu zrosiły i czytał dalej tasiemcowe wywody o panu Tasiemcu, przebiegł wzrokiem niespokojnym hipotezy autora artykułu, misternie zbudowane na glinianych podstawach, przerażał się w miejscach, gdzie była mowa o policji, która jest już na tropie sprawcy i nie chcąc spłoszyć współników, umyślnie nie przystępuje do aresztowania; lecz poprzestaje na baczny obserwowaniu głównego winowajcy, oddychał z wielką ulgą, kiedy „domyślny” autor artykułu wołał z „wieszczym” patosem, że sprawcy nie należy szukać gdzieś hen, pod Przemyślem, ale że zbrodniarz ukrywa się o miedzę.

Artykuł kończył się zapewnieniem, że nie tylko

policja dziś lub jutro przystąpi do zaaresztowania sprawcy, ale i dziennik jest w posiadaniu sensacyjnych wprost wiadomości, lecz nie drukuje ich na razie, aby nie utrudniać śledztwa.

Oszołomiony i zaczytany pan August, nie spostrzegł wcale, że od chwili nie jest sam w pokoju i że obok łóżka stoi pielęgniarka, patrząc dobrotliwie na swego pacjenta oraz potrząsając fachowo flaszczką z lekarstwem. Ocknął się dopiero, skoro usłyszał jej głos płaczliwy:

— Na, Herr Graf?... Wie gehts?

— Jezus Maria! — wrzasnął pan August i opadł na poduszki bezsilnie.

Dużo przeszło czasu, nim zalekniona siostrzyczka zdołała swego pacjenta przyprowadzić do przytomności i jakiej takiej równowagi duchowej. Wytrawnym okiem obrzuciła nagłówki czytanego przed chwilą artykułu, odgadła przyczyny przerażenia hrabiego.

— Ja, ja... Diese Mordgeschichten!... — mruknęła półgłosem.

Potem zręcznie a dyskretnie zwinęła wszystkie

dzienniki w rulon i umieściła je na szczycie szafy. Przemysliwała też czas dłuższy, jakim wykrętem zaspokoi ciekawość pacjenta, gdyby mu przyszła ochota zapytać o los gazet, które go w takie wprowadziły zdenerwowanie, ale nie mając najmniejszego polotu, niczego nie wymyśliła. Na szczęście pan August zbyt był pogrążony w swych niewesołych rozmyślaniach, aby zauważyć, że dzienniki z łóżka zniknęły w sposób tajemniczy, jak pan Dachsberger z Krakowa... Zresztą w tej chwili dobiegł od drzwi miły głosik kobiecy:

— Czy można, ojczulku? Przyniosłam ci kwiaty...

ROZDZIAŁ X

Wyznanie przedśmierne

Bryczka ciągnięta przez dwa rącze koniki, podskakiwała niemiłosiernie na wyboistej drodze górskiej. Chwilami wydawało się, że zleci do jednego z rowów przydrożnych, lub zawadzi o kupę kamieni, tak ją znosiło na skrętach, ale stary Bartłomiej nie darmo miał opinię doskonałego stangreta. Pewną rękę trzymał lejce i nie dopuścił do katastrofy. Wiózł przecie Pana Jezusa ukrytego w puszcze szczerozłotej, którą troskliwie przytulał do piersi siedzący w tyle bryczki ksiądz Mazurowicz.

Co prawda Bartek, księży stangret, jak go w okolicy nazywano, wołałby jechać znacznie wolniej i ostrożniej, lecz proboszcz naglił, mówiąc, że chętnie narazi stare kości na potłuczenie, niż żeby miał się opóźnić z ostatnią pociechą do umierającej.

Więc gnał Bartek konie, podniecał je niekiedy cmoknięciem, niekiedy znów dotykał ich grzbietów koniuszkiem bata, i wystane w stajni, wypasione

faworyty proboszczowe mknęły jak gdyby się paliło. A paliły się tylko na zachodzie nieba przecudne pierwsze zorze wieczorne.

Bartek wiedział, że jest czas nowiu i noc będzie ciemna prawdopodobnie, bo parne było powietrze oraz duszne niezmiernie, a zraniona na wojnie noga rwała dotkliwie, co nieuchronną zapowiadało burzę. Już to ten barometr w postrzelonym „giczoł” nie zawiódł Bartka nigdy i księży stangret wierzył weń święcie, jak wierzył w niebo, piekło czy inne rzeczy zaziemskie, o których pomocnik proboszcza, ksiądz wikary, uczenie prawil w kazaniach.

Kalkulował tedy swym chłopskim rozumem, że byle stanąć przed nocą w Olchowej, to już o powrót mniejsza.

— Nazad pojedziemy bez Pana Jezusa — medytował — to choćbym kaj do przykopy wywalił, mnijszy grzech bendzie.

Trochę niepokoiła go myśl powrotu w czasie burzy, na wypadek gdyby się proboszcz uparł wracać bez względu na pogodę, zamiast zajechać do pałacu i tam przeczekać, zwłaszcza że nie bardzo z drogi było i

niezbyt daleko. Bartek bał się piorunów i błyskawic we dnie, a co dopiero w nocy. Pocieszała go tylko myśl, że pojedzie przecież w towarzystwie samego księdza Mazurowicza, którego otaczała miłość powszechna i szacunek tak wielki, że go świętym księdzem przezywano.

Takiego się pieron nie śmi chycić, a i mnie bez to prześpiecznie — myślał z dużą ulgą i niefrasobliwie spoglądał dokoła, o ile mu na to kierowanie rączymi końmi pozwalało.

Dokoła zaś ruch panował, pomimo iż dzień miał się ku schyłkowi i mimo świętej niedzieli. Jedno zboże, z którego chleb ma być w przyszłości, cieszy się przywilejem, że wolno się koło niego krzątać nawet w święto, jeśli burza nadchodzi.

A burza nadejść musiała, bo wiele ją znaków zwiastowało. Więc krótko po południu zaczęły jaskółki nisko przy ziemi uganiać się za muszkami, które deszcz zwietrzywszy, opuściły się z wyżyn i szukały schronienia wśród pstrokatego kobierca łąk, zbóż, okopowizn czy krzaków. Więc powietrze było tak duszne, że od samego chodu pot występował na skroniach. Więc

starszych ludzi strzykało w kościach, zaś wojennych inwalidów wioskowych rwało w zabliznionych ranach. Wreszcie nauczyciel ludowy z jednej, kierownik Kółka Rolniczego z drugiej, a rządcą dworu z trzeciej strony, zapowiedzieli równocześnie, że ich barometry lecą na zmianę powietrza.

Nie dziwota tedy, że wobec tylu wróżb zgodnych, ruch panował na polach i praca wrzała wesoło, szybko, radośnie, jak wrze zawsze u ludzi czystego serca, którzy siedzą po wsiach od miast odległych i wciąż z naturą tylko obcuja. Powiązane snopy żyta wczoraj zerzniętego stawiano w mandle misterne, aby im deszcz wiele nie przeszkodził, aby się nie zaparzyło, aby powietrze dostęp miało aż do samego środka kopki. Starsze zboże, dobrze obeschnięte, którego ziarna zaczynały się łamać na paznokciu, składano na wozy i porywano do stodół z gorączkowym pośpiechem. Wsiowi pomagali dworskim, dworscy wsiowym, bez żadnej różnicy czy pretensji. Ta jedna chwila ucieczki przed deszczem brata zawsze starych dwóch antagonistów, wieś z dworem.

Na widok znajomej bryczki, na dźwięk srebrny

dzwoneczka, który płynął po polach, przystawali ludzie w robocie, zwracali się twarzami ku drodze, obnażali głowy i padali na kolana, żegnając się nabożnie lub bijąc się w piersi na znak skruchy.

Potem znów praca biegła swym trybem, lecz sypnęły się obficie komentarze:

— Ale ci Bartek gna! Jesce zawadzi o kupę kamieni.

— Iiii. Jemu niedziwno gnać, a kanonikowi zawdy pilno.

— Moiściewy, do kogo on jedzie z Panem Bogiem?

— Nie wicie to, Janowo?

— Pytałabym, kiejbym wiedziała?

— No juści... Do Hanki Strózikki.

— Co gadacie? Strózikówna umierajom?

— A ino. Sterało się kobiecisko w pańskiej służbie.

— No, no. Dwie niedziele temu, jak my se razem gadały. Zdrowa była, kiej to żyto.

— Migiem ją powaliło.

— I w pańskiej służbie, mówicie?

— Niek Walek powi. On lepi wi.

— Walek, hody siuda.

— Te, Rusin, nie rozdziawiaj se gemby po swojemu, bo my tu som, same Polaki.

— Walenty, a pomknijcie się bliży!

— A bo co?

— No, skróś Strózikicki. Jakże to ś nią było?

— Niby z Hanką? Ha, stare dzieje — odparł Walek i przysunawszy się do grupy zaciekawionych kobiet, jał szeroko i długo opowiadać o dziejach Hanki Strózikówny, która jeszcze u nieboszczki hrabiny we dworze służyła.

Tymczasem ksiądz Mazurowicz poprawił się wygodnie w siedzeniu, bo bryczka opuściła właśnie wyboistą drogę górską i wpadła na przestronny, gładki gościniec. W oddali zabielały pierwsze chaty wioski. Olchowa leżała jakby u stóp.

Bartek z wielką gracją wziął oba lejce oraz bat w lewą garść, a prawą pochwycił rączkę hamowidła i jał kręcić korbką szybko, dopóki tylne koła nie zaczęły zgrzytać gniewnie na wstrzymujące ich pęd bloczki hamulca. Powoli stoczyła się bryczka po pochyłości..

Wjechała pomiędzy nędzne zabudowania chłopskie, pomiędzy koślawe chałupy, stodoły drewniane, przyziemne chlewiki i maleńkie ogródki niskim murem miejscami obwiedzione.

Bartek, który znał każdą zagrodę w swojej parafii jak własną kieszeń, wykręcił niebawem w lewo. Wjechali w zakazany wąwóz, gdzie strumyk górski walczył zawzięcie z wsiową drożyną o szczupłą przestrzeń dna jaru.

Po jakimś czasie bryka stanęła, a Bartek, wskazując biczyskiem dość odległą a odosobnioną od innych chatę, rzekł:

— To hańta chałupa. Dalej nie ujedzie.

Więc zesiadł sędziwy ksiądz Mazurowicz z bryczki i w towarzystwie młodego ministranta począł się wspinać na dość stromą ścianę wąwozu.

Hanka Strózikówna ucieszyła się niezmiernie, że proboszcz raczył przyjechać osobiście, a nie wyręczył się młodym wikarym, który zasklepiwszy się w studiowaniu poważnych dzieł teologicznych, stał się dla prostego ludu jakiś daleki, surowy, jakby obcy. Więc w porywie gorącej wdzięczności całowała ręce księdza

Mazurowicza.

Uspokoiwszy się nieco, zaczęła mówić:

— Najpierw poproszę, aby mnie ksiądz proboszcz wyspowiadać raczył, a potem chciałabym coś wyznać, ale już nie pod świętą tajemnicą spowiedzi.

Hanka, choć ze wsi rodem, przez wieloletnią służbę w Dobromiłótku, a po śmierci hrabiny Zofii, we dworze pana Huberta Dobromilskiego w Żabnej nad Sanem, nabrała ogłady i wysławiała się na sposób ludzi miastowych.

Więc trzy baby-kumoszki wyniosły się ze stacji czym prędzej i usadowiwszy się na schodkach, rozpoczęły cichą pogawędkę z ministrantem, a ksiądz Mazurowicz narzucił sobie stulę na szyję i przysiadł się bliżej łoża chorej.

I zaczęła się spowiedź. Spowiedź generalna, z całego życia, z bezbarwnych czterdziestu pięciu lat życia wieśniaczki, z których połowa zbiegła na wiernej służbie rodzinie Dobromilskich. I jak czyste było zawsze serce Hanki, tak i nie ciężkie były jej przewinienia. Same drobiazgi: kilka razy spóźniła się na sumę w niedzielę, dwa razy dała w gębę Wojtkowi, który się do niej zbyt

obcesowo zalecał (jeszcze za życia hrabiny), a który na wojnie rozum postradał i teraz chodził po prośbie, półwariat, półzebrak. Kilka razy zjadała jakieś łakocie z kredensu w dworze, jako że niezmiernie wszelkie słodyczne lubiła; długi czas miała złość wielką do swej młodszej siostry (świeć Panie nad jej duszą), za to, że wielki wstyd familii Strózików zrobiła; czasem leniła się w pracy; czasem, za młodych lat oczywiście, pozwoliwszy się zaciągnąć do karczmy na muzykę, wypila za wiele i dała się chłopcom w tańcu za mocno przyciskać...

Takie i tym podobne były grzechy Hanki za wyjątkiem jednego, który szeptem księdzu wyznała, a potem z wielką trwogą spoglądała w dobrotliwe oczy proboszcza, oczekując potępienia, nagany, wielkiej pokuty.

Ale wyraz twarzy księdza Mazurowicza pozostał dobrotliwy, wyrozumiały, a oczy jego głosiły przebaczenie i odpuszczenie. Nie takich rzeczy nasłuchał się w czasie swej przeszło trzydziestoletniej pracy duszpasterskiej, zwłaszcza w początkach, kiedy przebywał w wielkim mieście. Toteż wobec tamtych

zbrodni, bezceństw ohydnych, od słuchania których uszy mu puchły, a serce zamierało od trwogi i obrzydzenia... dusza Hanki wydała mu się czystą jako krynica, jako przezroczyste źródółko górskie, wobec mętnych nurtów Sanu lub Wisły w czas powodzi i wiosennych wylewów.

I za pokutę otrzymała penitentka trzy Zdrowaśki, które pospołu z księdzem powoli odmówiła.

Potem poprosiła o komunię, zaznaczając, że pomimo wieczornej godziny jest na czczo.

A kiedy przeszła uroczysta chwila i kiedy po przystąpieniu do Stołu Pańskiego oparła się Hanka wygodnie o stertę kraciatych poduszek, twarz jej pojaśniała takim zadowoleniem wewnętrznym, takim szczęściem niewysłowionym, jak gdyby na nią padły promienie wschodzącego słońca.

Tymczasem trzy babiny zakrzętały się po izbie. Jedna zapaliła naftową lampę i ustawiła ją na szafie, aby z wysoka blaski padły na całą przestrzeń. Druga przegotowała garnuszek mleka, potem przyniosła go chorej. Trzecia poprawiła poduszki i podtrzymała ślaniającą się z osłabienia głowę Strózikówny. Potem z

połączenia proboszcza wyniosły się cicho i powróciły na dawne miejsce na progu.

Ksiądz Mazurowicz zaciągnął się potężnym niuchem tabaki, dobył chustkę imponujących rozmiarów, kichnął raz, drugi, a potem rzekł:

— Teraz powiedz mi, Haniu, to jeszcze, o czym na wstępie wspominałaś.

Chora lekko odwróciła głowę.

— Nie będzie to nic nowego, księżu proboszczu, odparła — ale prawie to samo, co mówiłam na świętej spowiedzi, przed chwilą, tylko trochę więcej i... i ja chciałabym, aby ksiądz proboszcz wiedział, że... ona żyje... i żeby ona się od księdza proboszcza dowiedziała, czyim jest dzieckiem.

— Hm — mruknął proboszcz — jeżeli ja mam coś z kimś mówić o tym, co od ciebie słyszałem lub usłyszę, to wołałbym, abyś mi wszystko za porządkiem jeszcze raz powtórzyła. Bo to, widzisz, moje dziecko, tajemnica spowiedzi święta rzecz, a pamięć ludzka zawieść może, zwłaszcza u człowieka starego, jak ja. Mógłbym snadnie poplątać to, co mi teraz powiesz, z tym, co na spowiedzi usłyszałem. Dlatego, o ile cię to nie męczy,

mów za porządkiem i od początku... Nadmieniałaś coś, że ona żyje... Kto, ona? Kogo masz na myśli? Przecież nie hrabinę Zofię, którą na śmierć dysponowałem, a przy której zgonie byłem osobiście.

— Żyje... hrabianka Zofia!

— Hrabianka Zofia? — zapytał ze zdumieniem ksiądz Mazurowicz, nie mogąc się na razie połapać w zawilej historii.

— Najlepiej, kiedy zacznę od początku... Otóż jak ksiądz proboszcz pamięta, po wyjeździe starszego hrabiego Dobromilskiego w dalekie kraje, wielkie nieporządki panowały w Dobromiłówku. Pani była wciąż chora i spodziewała się wtedy. Zresztą pani nie wtrącała się nigdy do gospodarstwa, ani do zarządu majątkiem. Rządzili panowie urzędnicy, a ten przechrzta, kasjer, cośmy go panem Zygmuntem wołali...

Dachsberger — uzupełnił w myśli ksiądz Mazurowicz.

— ...robił z panem administratorem, co chciał i trząśł wszystkim. On to (co niech mu Pan Bóg przebaczy, jak ja mu przebaczyłam) zbałamucił moją

młodsza siostrę. Przez niego była przy nadziei. Wielki to był dla nas dopust boży i hańba dla rodziny całej... Stąd przyszło do kłótni pomiędzy mną a siostrą, tak że nie widywałyśmy się zupełnie. Ona tu mieszkała sama w chacie, a ja tam, we dworze dobromilskim. I nagle pani hrabina urodziła dwie córeczki, bliźnięta, a w nocy umarła.

— Pamiętam — wtrącił zamyślony proboszcz.

— Boże, co to się działo we dworze tej nocy! Trzech doktorów kręciło się przy łożu umierającej pani, administrator wyjechał końmi na kolej po jeszcze jednego profesora, który z Krakowa przyjechał, w dodatku za późno, służba zbiegła się do sypialni, urzędnicy, oficjaliści płatali się po całym pałacu i gospodarzyli jak u siebie w domu. Wówczas to zapłakana przydybałam tego Zygmunta, czy jak mu tam, przechrzcie... Przydybałam go tedy, jak majstrował coś przy szufladkach biurka naszej pani. Narobiłam takiego krzyku, że musiał się wynieść w tej chwili z pokoju, nawymyślałam mu przy tej sposobności za moją biedną siostrę i pobiegłam do pani, która właśnie kończyła.

Tu urwała Hanka Strózikówna, a odpocząwszy nieco, zaczęła mówić przez łzy, które jej się gwałtem do oczu cisnęły:

— Żałowałam pani, płakałam po niej, jakby po matce rodzonej, bo dobra była jak anioł i nieszczęśliwa. Pan gdzieś bawił w świecie.

— Tak, tak — przytwierdził ksiądz Mazurowicz z westchnieniem.

— Ale nieszczęścia zawsze chodzą w parze. Nad ranem przybiegła do mnie jedna kobieta ze wsi, niby z Olchowej, że moja siostra wije się w boleściach i zamrze z pewnością. Jakoż tak się i stało. Umarła Kasia, a jej dziecko poszło za nią w trzy godziny. Straszno mi tu było samej w chałupie. Zawarłam ją na klucz i szybko powróciłam do dworu, aby panią ubierać do trumny... Pod wieczór przyjechał szwagier pani, Pan Hubert Dobromilski.

— Uhm — chrząknął niechętny ksiądz proboszcz, a dla zamaskowania tego odruchowego odgłosu, począł skwapliwie nos wycierać z wielkim hałasem. Hania przeczekała cierpliwie, po czym ciągnęła dalej swoją opowieść:

— Pan Hubert nie płakał wcale, choć bardzo swoją bratową... lubił, tylko stał nieruchomo jak figura i patrzył więcej niż godzinę w twarz pani. A taka była cudna po śmierci, taka słodka, uśmiechnięta jak nigdy za życia. Bo prawie nigdy pani śmiejącej się nie widywałam. Tak... tak... Potem pan Hubert poszedł ze mną do dzieci, to jest niby do małych panienek. Panicz Staś spał dawno w drugim skrzydle pałacu. Przy bliźniętach czuwała mamka, sprowadzona zawczasu z Przemyśla. Dobra to była kobieta, ale głupia strasznie i wciąż śpiąca. Jak się to zdarzyło, nie pamiętam dzisiaj, lecz jakoś się wygadałam, że moja siostra zmarła przy urodzeniu dziecka przed kilkoma godzinami i że dziecina też zmarła...

Oj, księżu proboszczu! Żeby ksiądz proboszcz mógł widzieć wtedy pana Huberta! Mienił się tak na twarzy, jakby miał wielką chorobę. Myślałam, że padnie na miejscu. Chciałam mu przynieść szklanek wody. Wówczas pochwycił mnie za rękę i zaciągnął do drugiego pokoju. Zaczął mnie prosić, zaklinać, wpychał mi w rękę takie pieniądze, jakich nigdy w życiu nie widziałam, jakich bym dziesięcioletnią służbą nie

zarobiła.

Księżę proboszczu! Bóg mi świadkiem, że nie dla tych pieniędzy to zrobiłam, ale żal mi było serdeczny patrzeć na nieboraka, jak skamlał i prosił. Zresztą... co tu gadać... jako pokojowa pani hrabiny, miarkowałam sobie niejedno... i zgadywałam, dlaczego tak nalega... Jużci, po sprawiedliwości, to większe on miał prawo do tych dzieci, niż sam pan, co kędyś jeździł po świecie, a o dom nie dbał... Dość, że uległam. Przyrzekłam tak zrobić, jak chciał.

Bałam się nocą wracać do mojej chaty, więc pan Hubert mnie odprowadził. Zabrałam zimnego trupka dziecka mej siostry i zanieśliśmy go do pałacu, pod chustką... Mamka naturalnie spała. Bez trudu, chociaż z wielkim strachem, zamieniłam umarłe dziecko na żywe. Obok dzisiejszej panny Krystyny, położyłam córeczkę mej biednej siostry, a druga hrabiankę wykradłam i oddałam ją panu Hubertowi, który też natychmiast swoją bryczką odjechał..

Dopiero wtedy strach mnie przeogromny obleciał, żeby się mamka nie zbudziła za wcześnie. Przecież to podłożone dziecko było już sztywne. Było też

troszeczkę większe i cięższe od każdego z bliźniaków. Na moje szczęście, nikogo ani z bliższej, ani z dalszej rodziny hrabiowskiej nie było w pałacu, a służba się przecież nie troszczy o takie rzeczy

Rano dopiero zrobił się krzyk wielki. Mamka uciekła, a jedno z bliźniąt znaleziono martwe i sztywne zupełnie. Administrator wykalkulował, że maleńka hrabianka musiała zemrzeć zaraz z wieczora ale mamka zasnęła i spostrzegłszy rankiem, co się stało, wzięła nogi za pas. Jakoż wieczorem przyprowadził ją żandarm, bo to niby była jeszcze wtedy Austria i żandarmy, lecz puszczono śpiocha na wolność, ino wyleciała ze służby od razu, a administrator przywiózł inną mamkę dla pozostałej przy życiu hrabianki.

Pan August nie zdążył na pogrzeb pani, choć zwlekano dni kilka. Zjechała się rodzina, gwarzyła ze sobą dużo po francusku i po polsku także, pomstowała na takiego męża, co żonę opuszcza w takim stanie. Powieziono do grobów rodzinnych wielką dębową trumnę i małą, bielusienką trumienkę, a w pierwszą parę szedł pan Hubert, prowadząc za rękę zapłakanego panicza Stasia.

Po pogrzebie rozmówiłam się z młodszym hrabią. Kazał mi podziękować za służbę i przyjechać do Żabnej na lepszą posadę. Mówił, że dziecko zdrowe, że jest pod dobrą opieką...

* * *

Tu urwała Hanka Strózikówna i przeżegnała się nabożnie, bo błysnęło na dworze, a potem doleciał słaby, ledwie dosłyszalny odgłos bardzo jeszcze odległego gromu. Łóżko chorej było ustawione w ten sposób, że leżąca miała twarz zwróconą wprost do niewielkiego kwadratowego okna. Widziała więc dobrze kresę błyskawicy, po której zaczęły na czarnym niebie wykwitać dalsze linie zębate, krzyże, zygzaki oślepiającego światła.

— Burza nadchodzi, księżę proboszczu.

— Nie szkodzi, Haniu. Nie zaziębę się od lipcowego deszczu. Zresztą, pojedę do pałacu.

— To prawda, że do Dobromilówka bliżutko. Byłe przez górę przejechać i już park się zaczyna.

— Więc nie bój się o mnie, Haniu, i mów dalej,

jeśli to sercu ulgę przynosi... Ale poczekaj no!... Podam ci trochę mleka.

— Ależ księżu proboszczu! — usiłowała protestować.

Tymczasem ksiądz Mazurowicz już był przy piecu, już przyniósł garnuszek i przyłożył go do ust chorej. Napiwszy się, cmoknęła Hanka proboszcza w rękę, a po krótkim odpoczynku, podjęła wątek przerwane opowiadania:

— Trzy tygodnie później, byłam już we dworze w Żabnej. Pan Hubert wszystko przemyślał; wszystko dobrze urządził. Dziecko na chrzcie otrzymało imię Zofia, przez pamięć dla pani hrabiny, a w parafii tamtejszej zapisano je jako córkę nieślubną mej siostry i pana hrabiego Huberta.

— Czekaj no, czekaj no — rzekł proboszcz, trąc dłonią czoło zorane zmarszczkami — było coś takiego... było... Pamiętam... Tak, tak... Dawałem jakieś wyjaśnienia w tej sprawie ze strony urzędu parafialnego. Tak, tak. Miałem w Lipinach jakieś pismo od księdza proboszcza z Żabnej. Czy mi się zdaje?... Ha, tyle lat!...

— W międzyczasie powrócił z podróży pan August Dobromilski. Bracia widzieli się raz tylko i pokłócili się wówczas. Między służbą mówiono, że pan Hubert robił ostre wymówki starszemu bratu z powodu jego postępowania z żoną, że z tego tylko wyniknąć mogą plotki i wstyd dla całej rodziny, Ale to tylko domysły. Dość, że odtąd ani pan August nie zajechał nigdy do Żabnej, ani pan Hubert do Dobromilówka.

— Tak, tak — przytwierdził proboszcz.

— Dochodziły tylko wieści, że pan August ustatkował się po tym nieszczęściu, jakie go spotkało, przestał się włóczyć po zamorskich krainach, pilnował gospodarstwa, opiekował się gorąco swoimi dziećmi, to jest paniczem Stasiem i panienką Krysią. Pani hrabinie postawił figurę marmurową, płaczącego anioła, tak że jej grób jest najpiękniejszy wśród...

— To wszystko znam, moja Haniu. Wybudował kapliczkę, w której kilka razy do roku odprawiam mszę świętą... Tak, tak... Sarkofag nieboszczki hrabiny jest przepiękny. Ile razy tam jestem, muszę nań spojrzeć.

— Ja także tam byłam, księżu proboszczu, bo pan August mnie polecił wpuszczać na nabożeństwa

żałobne... I kiedy raz widziałam, jak hrabia modlił się przy małym grobie swej rzekomej córeczki, w którym spoczywają zwłoki dziecka mej siostry i tego przechrzty, to mi się tak strasznie żal zrobiło nieboraka, takie wyrzuty poczułam, że rozbeczałam się na głos i wybiegłam jak szalona stamtąd... Czuję, że nie wytrzymam dłużej, że mimo przysięgi wybaję wszystko i dopieroż będzie kłopot.

— Przysięgi? Składałeś jaką przysięgę?
— zaniepokoił się kapłan.

— Tak jest, księżę proboszczu. Już wówczas, przy porwaniu małej hrabianki, musiałam przysiąc na wszystkie świętości panu Hubertowi, że nikomu nie wydam tajemnicy, aż na łożu śmiertelnym, przed księdzem.

— Ach, tak — odparł z ulgą ksiądz Mazurowicz.
— I cóż dalej?

— Tymczasem pan Hubert adoptował swą wychowanekę, dał jej swoje nazwisko...

— Co ty mówisz! Ja nic o tym nie wiem.

— Ponieważ panienka wychowywała się cały czas w Krakowie, a potem gdzieś w świecie. Przez te lat

prawie dwadzieścia ani razu nie była w Żabnej. Przez cały rok była w szkołach, a na wakacje czy święta wyjeżdżała z panem nad morze czy gdzieś tam. Dopóki nie miała dziesięciu lat, to i mnie także ze sobą zabierali, ale potem.. Hanka poszła w zapomnienie.

Tu posmutniał głos Strózikówny, lecz zebrała jeszcze siły do ukończenia swej opowieści.

— Nie mogę się skarżyć na pana Huberta. Robotę miałam lekką, pensję bardzo dobrą i mam tam dzisiaj coś na książeczkę w Kasie Oszczędności. Tę książeczkę chcę dać księdzu proboszczowi, aby na moją intencję odprawił mszę, a resztę dał na biedne dzieci chłopskie.

— Bóg ci to wynagrodzi, moja Haniu. Trzy Msze odprawię za ciebie i nic nie wezmę. Wszystkie twoje oszczędności pójdą na ochronkę.

— Dziękuję księdzu proboszczowi.

— To ja ci dziękuję. A teraz kończ, bo widzę, że się zmęczyłaś.

— Iii.. Wytrzymam!... Otóż jako rzekłam, nie brakło mi niczego w żabnieńskim dworze, oprócz widoku panny Zofii, do której się przywiązałam i którą

pokochołam jak własne dziecko. Jedyłą osłodą były mi jej listy, które zawsze pisywała do swojej najdroższej niani Haneczki, jak mnie nazywała. I radość moja nie miała granic, kiedy się dowiedziałam, że na te wakacje ma Zosia po raz pierwszy zjechać do Żabna. Niestety, stało się inaczej... Nie wiem, dlaczego się tak stało. Czy pan Hubert obawiał się, że nie dotrzymam przysięgi, czy był zazdrosny o serdeczne przywiązanie swej przybranej, a jak ja myślę prawdziwej córki, dość, że zaczął nalegać, abym na czas wakacji opuściła pałac i wyjechała dokądkolwiek. Gdzie miałam jechać? Zamknęłam żal w sercu, ukryłam łzy głębokiego smutku i powróciłam do swojej chałupy, w której dotychczas mieszkały te trzy biedne babiny... Tym biedaczkom też zapisałam moją chałupę i trzy morgi pola, co je dla mnie pan Hubert jeszcze przed laty kupił. Niechta mają starowiny dach nad głową do śmierci i niech po prośbie nie chodzą.

— Oby więcej było takich serc miłosiernych, jak ty, Haniu — wykrztusił ksiądz Mazurowicz dziwnie wzruszonym głosem.

Uśmiech radości i zadowolenia zajaśniał na twarzy

Strózikówny, ale zaraz pomyślała sobie, że to może szatan pychy ją kusi na progu śmierci, więc aby odpędzić wszelkie myśli, jęła mówić bardzo szybko, jakby z wysiłkiem, jakby sił resztkami:

— Niewiele brakuje do końca historii: hrabianka Zofia przybyła do Żabna z początkiem czerwca, lecz czy to nie wiedziała, gdzie ja się obracam, czy też jej pan Hubert dobrze pilnował, dość, że odwiedziła mnie dopiero dwa razy, teraz w lipcu. Przyjechała wieczorem, kiedy już było ciemno. Moje starowiny wzięły ją za pannę Krystynę i nie przeszkadzały nam w rozmowie. Wypytywała mnie, dlaczego opuściłam pałac. Boże jedyny!... co ja wycierpiałam.. Nie dałam jej odpowiedzi.. Na cóż ma czuć niechęć do swego ojca, o takie głupstwo... o biedną służbę... Wykręciłam się, że chcę pomóc staruszkom przy żniwach, a potem wrócić... No i podźwignęłam się jednego razu... i leżę teraz.. Coś się we mnie oberwało.

— A cóż mówił doktor?

— Nie posyłałam po żadnego.

— To źle, moja Haniu.

— Iii, proszę księdza proboszcza, jak komu śmierć

pisana, to mu dziesięciu doktorów nie pomoże. Tak było z panią hrabiną... A jeśli Pan Bóg pozwoli wyjść z choroby, to się nie będzie doktora o pozwolenie pytał. Szkoda pieniędzy.

Ksiądz Mazurowicz, którego z dawien dawna dziwiła ta harmonia mahometańskiego fatalizmu z chrześcijańskimi pojęciami i wiarą głęboką u chłopów, chciał właśnie coś odrzec, kiedy zabłysło jaśniej niż dotychczas i grom zahuczał gdzieś blisko. Nim zdołał ochłonąć z wrażenia, jakie na każdym człowieku wywiera niespodziane uderzenie piorunu, gadatliwa Strózikówna już głos zabrała:

— Teraz ksiądz proboszcz wie wszystko, wie, że hrabianka Zofia, rodzeniuteńka siostra panny Krysi, żyje i jest w Żabnie. Ksiądz proboszcz, jako człek uczony i duchowna osoba, będzie wiedział najlepiej, jak postąpić: czy wyjawić prawdę pani Zofii oraz państwu z Dobromiłówka, czy też zachować nadal dotychczasową tajemnicę. Mnie ulżyło na sercu. Mogę umierać spokojnie. Chciałabym jeszcze tylko choć raz ujrzeć moją słodką Zosieńkę... ale tego już pewnie nie doczekam..

Urwała nagle, bo za oknami rozległ się szybki tętent konia. Prawie równocześnie wpadła do izby jedna ze staruszek i obwieściła:

— Panienska ze dwora!

— Boże, dzięki ci — westchnęła Hanka i pochylając się do księdza, szepnęła:

— Mówiłam, że one ją biorą za pannę Krystynę. Podobne są jak bliźnięta.

Starucha usunęła się dyskretnie ze stancji.

Proboszcz dźwignął się ze swego stołka i stanął w oczekującej pozycji, zaciekawiony niezmiernie.

W przyległej sionce zatrzeszczały deski podłogi.

Lekko przymknięte drzwi rozwarły się szeroko...

— Zosieńka! — zakrzyknęła chora, prostując się na łóżku.

Na progu stanęła piękna, wysoka panna w stroju amazonki.

Ksiądz Mazurowicz przesunął dłonią po oczach, nie mogąc opanować zdumienia. Przecież to Krzysia — pomyślał. — Nawet ten sam strój, w jakim była u mnie w Lipinach przed trzema tygodniami.

Tymczasem przybyła przyskoczyła żwawo do

osłupiałego księdza i poczęła się witać serdecznie:

— Cóż to stryjaszek tak na mnie spoziera? Gniewamy się o co? Nie!... Słowo daję, że mamy taką minę, jakbyśmy nie poznawali swej Krzysi.

Stryjaszkiem nazywała panna Krystyna żartobliwie księdza Mazurowicza, który ją znał od małego dziecka i który ją pierwszy religii uczył. A proboszcz pomyślał w duchu: — Więc przecież to Krzysia, a nie tamta.

— Dowiedziałam się przypadkowo, że Hania jest ciężko chora. Wyrwałam się gościom i pośpieszyłam natychmiast, pomimo wieczoru, mimo nadciągającej burzy... Przecież ona była ulubienicą mej nieboszczki matki... Ale widzę, Haniu, że nie najgorzej wyglądasz, dzięki Bogu — dodała, podchodząc do łóżka i ściskając rękę chorej. — Rumieńce masz na twarzy... O, jest trochę gorączki!... — zauważyła, dotknąwszy czoła, oraz policzków Strózikówny. — Tylko masz taką minę, jakbyś była nierada, że cię przybyłam odwiedzić.

Rzeczywiście, zawód i rozczarowanie malowało się dobitnie w rysach leżącej. Uśmiechnęła się przecie uprzejmie.

— Bardzo się cieszę, panienko... — rzekła głosem bardzo słabym — że panienka była taka łaskawa i pamiętała o starej służce... Tylko myślałam, że to...

— Uhmhum! — chrząknął ksiądz donośnie i wydobywszy szybko swą potężną chustkę zatopił w niej nos, aby przeraźliwą symfonią zagłuszyć niebaczone słowa chorej, którą już zapewne przytomność zaczynała opuszczać i gadała rzeczy niepotrzebne.

Krysia nie domyślała się niczego. Mówiła dalej szybko jakby trochę nerwowo:

— Pomyślcie tylko, co mi się wydarzyło... Pierwszy raz mi się coś podobnego wydarzyło! Tyle razy jeździłam konno, nawet znacznie później, i nic. Nikt mnie nie zaczepiał, aż dziś!... Brrrr!... Jechałam konno na przełaj przez Olchową Górę, bo tędy bliżej... Byłam już całkiem blisko twojej, Haniu, chałupy, kiedy z krzaków wysunęło się dwóch żebraków. W świetle błyskawicy poznałam, że to biedacy. Jeden wysoki, chudy, w jakimś płaszczu żołnierskim, podartym w drobne strzępy. Drugi bez nakrycia głowy, łysy, tęgi, niski. Zatrzymałam konia, aby im dać jaką jałmużnę, kiedy ten duży drab przystąpił całkiem blisko i z

okrzykiem Dobromilska! pochwycił mnie za nogę z całej siły. Omal, omal, że nie spadłam.. bo koń się przestraszył w dodatku. Zdołałam tylko trzasnąć szpicrutą przez twarz napastnika, potem zderzyłam konia i przybiegłam tutaj. Mój koń jest biały jak mleko i z dala widoczny, więc obrzucili mnie jeszcze z tyłu kamieniami czy grudą, ale na szczęście żaden nie trafił.. Powiadam stryjaszkowi, że nie jestem wcale bojaźliwa, lecz tym razem przestraszyłam się nie na żarty.

Ksiądz Mazurowicz zaniepokoił się tym niezwykłym napadem. Okolica była przecież bardzo spokojna, a o bandytach wiadano tylko z gazet, że tacy gdzieś tam w Łańcuckiem czy pod Warszawą grasują.

Jeszcze bardziej niespokojna była Hanka.

Oczy wlepiła nieruchomo w okno, jakby stamtąd jakowegoś niebezpieczeństwa wyglądała.

Nadciągająca burza i huczące w oddali gromy zwiększały niesamowitość nastroju. Trzy staruszki wycofały się z pola. Przykucnęły pod piecem. Tylko ministrant pozostał na dworze. Wgramolił się na grzbiet wierzchowca Krysinego i snuł zapewne złociste sny, że

jest bogatym dziedzicem, że posiada tak wspaniałego rumaka.

Nie odwracając głowy, poczęła Hanka szeptać cichuteńko głosem rwącym się, drżącymi wargami:

— Jest!... jest!... przyszedł.. jak obiecywał.. W godzinę śmierci przyjdę... — mówił. — Zapukam w okienko... puk... puk.

Zastukał ktoś gdzieś leciuteńko.

Wszyscy obecni drgnęli jednocześnie. Jak zahipnotyzowani wlepili wzrok w kwadratowe okno. Blaski lampy nie pozwalały dojrzeć, czy kto stoi na zewnątrz.

Wtem oślepiająca błyskawica rozdarła na strzępy ciemności, panujące na dworze. W jej świetle ujrzeli zebrani w izbie jakąś postać wysoką, szczupłą. Ohydna, obrośnięta gęba była tak przyciśnięta do szyby, że nos się rozpląszczył. Palce na kształt szponów zakrzywionych zgięte, oparły się o górną kwatere okienka. Oparły się tak silnie, że zatrzeszczała rama drewniana.

— Jezus!... Maria! — zawołała Hanka głosem rozdzierającym.

Proboszcz ochłonął pierwszy. Odważnie ruszył w kierunku okna.

Nagle brzękła wybita szyba i odłamki stłuczonego szkła spadły wśród metalicznych brząkań na podłogę izby. Fala wiatru wdarła się przez uczyniony wylom. Zdmuchnęła momentalnie naftową lampkę, stojącą na szafie.

W izbie zrobiło się ciemno i straszno.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — wrzasnęły jak na komendę trzy staruszki, a potem zaczęły półgłosem odmawiać litanie.

Kiedy proboszcz dopadł wybitego okna, dojrzał w świetle nowej błyskawicy dwie postacie, szybko się oddalające. Chwilkę później posłyszał słowa jakiejś nieznanej piosenki, śpiewanej na nutę leci pies przez owies, lecz śpiewanej dziwnie fałszywie:

Kochał Wojtek Hanię,
Hania go nie chciała,
Pan ją wziął na sanie
Z panem pojechała... Haniula!

Pomimo całej kakofonii gardłowych, chrapliwych dźwięków, wyczuł ksiądz Mazurowicz wielki smutek, żalność bezbrzeżną i tęsknotę w głosie śpiewającego dziada.

— To głupi Wojtek — zawołała jedna starucha, poznając po głosie, czy po części nuconej piosenki, niepożądanego intruza, który takiego strachu wszystkim napędził.

Druga baba dorzuciła śpiewnie, z rusińska:

— Ot, durak!... Nastraszył ty nas.

— Zapal no która lampę! — poleciał proboszcz.

Zgrzybiałe staruchy ruszyły się spod pieca i po jakiejś chwili lampka naftowa poczęła rzucać blaski na izbę.

— O rety!... Hanka pomarli!

— Hospody, pomyłuj!

Ksiądz Mazurowicz podszedł szybko do łoża. Rzeczywiście chora już nie żyła. Leżała nieruchomo na wznak, z oczyma rozwartymi szeroko, z wzrokiem utkwionym gdzieś w niski strop chaty, z rękoma rzuconymi bezwładnie na wyszarzałą kołdrę. Nos jej się zaostrzył, jakby wydłużył, a w rysach i na ustach zastygł

grymas lęku, trwogi przedśmiertnej. Taką pozostała, jaką ją śmierć zaskoczyła...

Złożywszy jej palce jak do modlitwy, zasunąwszy powieki na martwe szklivo oczu, ukląkł ksiądz Mazurowicz przy łożu i rzekł:

— Za duszę Anny Strózikówny... Wieczne odpoczywanie!...

A z oddali niósł powiew wiatru słowa piosenki wariata i przeszkadzał w modlitwie za zmarłą Hanię...

ROZDZIAŁ XI

Partia pokera

Krzysia Dobromilska zajęła miejsce na tylnym siedzeniu obok księdza Mazurowicza, Bartek strzelił lekko z bata i bryka ruszyła szybko. Z tyłu, jako warta honorowa, kłusował niezgrabny ministrant proboszcza, na wierzchowcu Krzysinym.

Chmury kołowały bokiem. Dlatego nie padało jeszcze, ale można się było spodziewać deszczu lada minuta. Od ciągłych błyskawic było jasno jak we dnie, a pioruny huczały bezustannie. Więc też Bartek gnał co wlezie, aby zdążyć na czas do pałacu w DobromiłóWKu.

Przez ten czas zagadywała Krzysia kilkakrotnie starego proboszcza, lecz rozmowa nie kleiła się początkowo. Ksiądz Mazurowicz był dziwnie zamyślony, aż zapytany o przyczynę swego humoru, odparł:

— Widzisz moje dziecko, ile razy jestem przy śmierci któregoś z moich parafian, przychodzi mi na

myśl, że i mnie już czas sposobić się do tej wielkiej podróży, skąd nie ma powrotu... Patrz, taka Hanka była o dwadzieścia z górą lat młodsza ode mnie... i poszła. Tak, tak. Czas na mnie.

— Co też stryjasek wygaduje — odrzekła Krzysia i nim zdołał przeszkodzić, przyłgnęła wargami do jego starej, zgrzybiałej ręki.

— Moje ty kochane dziecko — szepnął wzruszony — radbym ci jeszcze przed śmiercią dłoń związać stułą z jakim statecznym młodzieńcem, tylko się musisz śpieszyć, abym zdążył... Bo już pewnie twoich dzieci chrzcic nie będę.

Aby pokryć lekkie zakłopotanie, jakie wywołała wzmianka o dzieciach, poczęła Krzysia paplać bardzo szybko:

— Pogniewam się na stryjaska, jak będzie mi mówił o swojej śmierci. Wyglądamy sobie, żeby nie urzec, zdrowo, czerstwo, doskonale... no, jednym słowem: ślicznie Tak, stryjaszku kochany... A co do dawania mi ślubu, to może nie będziemy na to zbyt długo czekać.

Ostatnie zdanie wypowiedziała prawie szeptem,

aby ciekawy z natury Bartek nie mógł nic dosłyszeć. Niespodziewana nowina ożywiła od razu zacnego duszpasterza; wykrzyknął tedy na cały głos:

— Co ty mówisz?! A toś mnie zaciekawiła... Któż taki, mówże!

— Niech stryjaszek zgadnie.

— Ba, zgadnie... Serce kobiety jest jako morska toń. Żaden śmiertelnik nie przejrzy jej do dna, żaden nie wie co się tam kryje. A co dopiero ja stary, który już bez okularów czytać nie mogę — żartował.

— No, ale proszę się domyślić.

— Bo ja wiem? Może ten przystojny młodzieniec, z którym byliście u mnie w Lipinach przed trzema tygodniami.

— Hm.

— Aha, zgadłem... Ho, ho. Ja tylko spojrzę, a już wiem.

— A mówił stryjaszek, że serce kobiety to morska głębina...

— Mówiłem?... Ha, stało się w takim razie, ale przecież nurek w skafandrze może i głębinyorską poznać...

— To mi się podoba... Nie będę teraz mówiła: stryjaszku, tylko nurku w skafandrze.

— Ty urwisie kochany... Nazywaj mnie, jak chcesz... Jakże się ten młody nazywa, bo zapomniałem.

— Kaszowski... Andrzej.

— Więc: Jędrus... Dajże ci Boże, dziewczyno... Podobał mi się ten młodzieniec. Ksiądz wikary także mówił, że to bardzo inteligentny chłopiec. A ksiądz wikary, to uczony człowiek,.. Bardzo uczony... Ho... ho... Nie tak jak ja, prostak... On tylko spojrzy na kogoś, parę słów zamieni i wie co zacz. Ja zaś widziałam, że ten twój Jędrus lubi zwierzęta... a jeśli kto nie krzywdzi biednej gadziny, która się nie może uzalić, ani poskarżyć, ani praw swoich dochodzić, jeżeli tedy, powtarzam, ktoś kocha zwierzęta, to najpewniejszy znak, że dobry człowiek i serce złote. Po tym moje dziecko, poznasz ludzi i nie pomylisz się nigdy... Więc, Jędrus?... Ha, pogratulujemy ojcu...

— Oj, co to, to nie! — zawołała przestraszona Krzysia...

— Nie mówić?

— Nie, stryjaszku, bo to na razie tajemnica.

Ojczulek teraz bardzo chory, zdenerwowany... Postanowiliśmy mu prawdę wyjawić dopiero po zupełnym wyzdrowieniu... Więc proszę nas nie zdradzić. Dobrze?

— Dobrze, córeczko... Hm.. Hm.. W tajemnicie się bawią... No, a brat wie już o tym?

— Staś także nic nie wie... W ogóle nikt. Tylko my dwoje. Daliśmy sobie słowo, że do czasu dochowamy tajemnicy.

— No, wierz teraz białogłowie... Dała słowo, a mnie staremu wybajała wszystko...

— O, za pozwoleniem.. Nie powiedziałam ani słowa, tylko stryjasek sam odgadł..

— Racja, niechaj i tak będzie. Przypatrzę się dzisiaj twojemu wybranćowi.

W tej chwili Bartek przerwał rozmowę księdza Mazurowicza oraz Krzysi, i wskazując ręką przed siebie zawołał:

— Już my som.. Pałac widać!

Rzeczywiście widać już było doskonale oświetlone okna pałacu, a bryczka posuwała się wzdłuż muru, który park okalał..

Na ziemię zaczęły padać pierwsze krople dżdżu. Potem rozwarły się upusty niebieskie i deszcz lunął tak silny, jakby kto wodę wiadrami wylewał.

Ksiądz Mazurowicz, który się zaopatrzył na drogę w olbrzymią bundę, nie ucierpiał wiele i zaraz wszedł do salonów, gdzie go zaczęli zabawiać Jadzia, Staszek oraz jego dwaj przyjaciele, lecz Krzysia przemokła do nitki. Udała się więc do swoich pokoi, a zaledwie zdołała zmienić wilgotny strój amazonki na ciepłą sukienkę popołudniową, zjawiała się pokojówka z wiadomością, że pan Dobromilski wzywa panienkę do swojej sypialni.

— Powiedz, że zaraz przyjdę — odparła, kończąc toaletę przed zwierciadłem.

A kiedy w pięć minut później weszła do ojcowskiej sypialni, przełękła się widoku twarzy rodzica. Pan August był trupio blady. Oczy miał wygasłe zupełnie. Zielonkawy abażur lampy pogarszał jeszcze wygląd chorego, rzucając nań ziemiste refleksy.

Po wymianie pierwszych słów, pierwszych zapytań o zdrowie, zaczęła się rozmowa, której Krzysia najmniej się spodziewała. Stary Dobromilski rzekł

bowiem wcale obcesowo:

— Moja Krzysiu... czuję się coraz gorzej... a chciałbym jeszcze zobaczyć cię zamężną. Wiem, że jesteś bardzo młoda i właściwie mogłabyś poczekać kilka lat... Teraz wydają się za mąż panny trzydziestoletnie, ale z drugiej strony nie chciałbym cię pozostawić sierotą. Już choćby w majątkowych interesach konieczna jest energiczna męska ręka. Tak, drogie dziecko... I dzisiaj właśnie proszono mnie o twoją rękę...

— Co? Dzisiaj? — zawołała dziewczyna, czując jakiś lekki żal do Andrzeja, że jej nie uprzedził o swym kroku i nie dotrzymał zawartej umowy.

Pan August westchnął ciężko:

— Tak, Krzysiu — mówił dalej — dzisiejszego popołudnia proszono mnie o twoją rękę... Osoby pretendenta, że się tak wyrażę, chyba się domyślasz.

— Tak — odparła ze spuszczeniem powiek, myśląc o Andrzeju.

— Jeśli chodzi o zalety zewnętrzne, nie mogę mu rzeczywiście nic zarzucić. Jest młody, przystojny, elegancki, zdrowy. Formy ma nienajgorsze, powiem

nawet: dobre, Z czasem wyrobi się jeszcze. Jeżeli dalej chodzi o jego stosunki materialne, to przyznam się, że nic nie wiem dokładnego.

— Nie są złe w każdym razie — rzuciła krótko i z niesmakiem, gdyż drażniło ją kojarzenie małżeństwa z interesem.

— Widzę, że się informowałaś wszechstronnie... Cieszy mnie to z jednej strony, ale z drugiej wyrażam zdziwienie, gdyż wiem, jak mało się interesujesz stroną materialną życia, jaki masz wstręt do tego. Przypuszczam jednak, że to, co wiesz, wiesz tylko od niego, a w takim razie mamy do czynienia ze źródłem, że się tak wyrażę, tendencyjnym Dixi. Nie można przyjmować wszystkiego bezkrytycznie. No, mniejsza z tym.. Z kolei chciałbym pomówić o jego... charakterze. I tu stawiam wielki znak zapytania.

Krzysia zaprotestowała gorąco:

— O, to go ojczulek nie zna.

— Boję się, że go zbyt dobrze poznałem i powiem szczerze, że nie tylko się rozczarowałem.. ale jego charakter przeraził mnie wręcz.

— Nie rozumiem, papo!

— I nie zrozumiesz tego, bo nie wiesz, o czym myślę. Dawniej takich ludzi jak on, potępiano bezapelacyjnie. Dzisiaj czasy się zmieniły, zepsuły... Być może, że wszyscy są tacy i takich metod używają. Stary jestem i nie idę z duchem czasu. Zostałem w tyle, czuję to... Trudno mi się oswoić z tymi dzisiejszymi sposobami zdobywania majątku czy pożądanej kobiety, które za moich czasów określano... mianem.. przestępstwa... zbrodni.

— Papo!... Ja nic nie rozumiem.. Co on zrobił?

— Mniejsza o to, jak wobec mnie postąpił, byle dla ciebie był dobry. Zresztą od żony zależy bardzo wiele. Jesteście oboje młodzi i możecie się łatwo dostosować do siebie... ale właśnie znając ciebie od dziecka, a jego poznawszy również dobrze, pragnąłbym gorąco, abyś ty go sobie wychowała, a nie on ciebie. Inaczej źle będzie z wami. Ty jesteś od niego inteligentniejsza, więc zadanie masz mniej trudne, niż gdyby było na odwrót. Moje drogie dziecko! O innej dla ciebie marzyłem przyszłości, lecz trudno. Losy się na mnie zawzięły... Powiedz mi teraz, czy on zrobił na tobie dobre wrażenie, czy czujesz dla niego choć trochę

sympatii?

— Ja go kocham, papo — zawołała Krzysia gwałtownie, zdenerwowana niezrozumiałymi aluzjami do charakteru ukochanego człowieka.

Dobromilski powtórzył drewnianym głosem:

— Kochasz go tedy... Nie byłbym jednak przypuścił, że ty pokochasz Dawidowicza...

— Kogo?... — Krzysia zerwała się na równe nogi. Przez myśli splecione przebiegła nagle jasna błyskawica i rozświetliła mroki zagadki.

— Jak to, kogo? Dawidowicza... Więc to on?... On prosił o moją rękę?

— On, Krzysiu... Nie rozumiem twego zdziwienia. A kogo ty miałaś na myśli?... Przecież powiedziałaś dopiero co, że go kochasz.

— Andrzeja kocham.. Tak, papo. Jego zostanę żoną, albo niczyją.

Dobromilski umilkł i przymknął oczy szczelnie, jeno stał się jeszcze bardziej bledy, jeno krople potu zaślśniły na jego skroniach. Sytuacja wikłała się beznadziejnie... a jednak? A jednak trzeba było przeciąć jednym cięciem ten węzeł gordyjski.. inaczej aresztowanie,

wyrok, więzienie, hańba dla całej rodziny, zdemaskowanie nieślubnego pochodzenia Stasia, utrata majątków ordynackich i tysiączne konsekwencje, których myślą nie można w jednej chwili ogarnąć.

Zanim jednak pan August zdołał usta otworzyć, zabrała głos Krzysia i mówiła pośpiesznie, głosem drgającym od wewnętrznego wzburzenia:

— Dawidowicza nie lubiłam nigdy. Nie zrobił na mnie wrażenia, choć czułam, że o to się stara... Ale, pomimo wszystko uważałam go za gentlemana, przyznawałam mu w duchu wiele zalet zewnętrznych, jak się papa wyraził przed chwilą. Widzę jednak, że się zawiodłam.. Jak on śmiał prosić o moją rękę, nie starając się przedtem zdobyć mojej wzajemności, nie pomówiwszy przedtem ze mną?

Pan August zaoponował słabo:

— Co do tego, widzisz, można mieć różne zdania. Ja jestem zwolennikiem dawnych metod, kiedy to młody człowiek pokłonił się pięknie rodzicom i pytał, czy wolno mu się o pannę starać. Bo weźmy taki przykład, że młodzieniec rozkocha młodą dziewczynę w sobie, zawróci jej w główce, aż w końcu prosi o jej

rękę rodziców i dostaje rekuzę. Cóż wtedy? On odchodzi zły, obrażony, czasem zemstę knuje; ona płacze, serce ma złamane, chce wstępować do klasztoru... A przecież tego wszystkiego można uniknąć, jeżeli się niepożądanemu związkowi z góry zapobiega. Łatwiej przeboleć jednodniową sympatię niż późniejszy zawód. Z tego też względu raczej chwałę postępowanie Dawidowicza, niż żebym je miał potępiać. Zresztą, pan Dawidowicz zapewnił mnie, że jakkolwiek wyraźnie się tobie nie oświadczył, to jednak posiada w zupełności twoje sympatie i jest pewien pomyślnego rezultatu.

— To kłamstwo, ojczulku! Nigdy go nie darzyłam żadną sympatią, która by go uprawniała do takiego o sprawie wyobrażenia. Poza uprzejmością towarzyską, poza grzecznością, jaką byłam winna gościowi mojego ojca i przyjacielowi jedyne go brata, nie było nic więcej. Ani krzty uczucia, ani drobiny sympatii... To kłamstwo!... I coś powiedział, papusiu, temu panu Dawidowiczowi? Odmówiłeś z góry, nieprawda?

— A jeśli nie?

— Jak to?

— Uspokójże się, dziecino droga i wierz mi, że z bólem niezmiernym przyrzekłem mu, że będę na ciebie wpływał w tym duchu, abys go... przyjęła... Krzysiu!... Ja musiałem to przyrzec.

— Papa musiał? Wciąż jakieś zagadki, tajemnice... Papo, ja proszę o całą prawdę... Tu o mój los chodzi.

Dobromilski sięgnął po chusteczkę, aby otrzeć pot z czoła. Potem odpoczął jakiś czas i zebrawszy myśli, tak ciągnął dalej:

— Moje kochane dziecko... Moją tajemnicę wyznam ci dopiero, kiedy będę pewny, że nie dni, ale godziny moje są policzone. Bóg da mi siły na tyle i pozwoli mi się przed tobą usprawiedliwić... Dzisiaj musisz poprzestać na moim słowie, że nie jakiś kaprys rodzicielski, nie jakieś względy na dobrą (jaka ona tam dobra) partię, kierują mną i kierowały, kiedy przyrzekałem w swoim oraz twoim imieniu rękę twą Dawidowiczowi... Otóż zaklinam cię, że nie kłamię, ani nie przesadzam, mówiąc, że moje życie, byt Stasia, dobro całej rodziny i imienia Dobromilskich zależą wyłącznie od twojej zgody na ten ożenek fatalny... Ja wiem, że ciekawość cię dręczy i dręczyć będzie jeszcze

bardziej, jednakże nie mogę ust otworzyć na razie, muszę milczeć...

Powiem ci tyle tylko i to pod grozą ojcowskiego przekleństwa, o ile nie zachowasz tajemnicy, powiem ci tedy, że zaszło coś... coś takiego, przez co wydałem się w ręce Dawidowicza, przez co muszę spełnić jego każde życzenie możliwe do spełnienia... A że on nie chciał innego okupu, tylko ciebie... musiałem.. cię, Krzysieńko, poświęcić... dla dobra Stasia, dla przyszłości rodu... Wierzaj mi, że gdyby tu w grę wchodziło tylko moje życie, naplułbym w twarz panu Dawidowiczowi, skopałbym go jak psa, a potem w łeb bym sobie palnął.. Ale dla szlachcica polskiego więcej znaczy honor osobisty, honor rodziny, na którego tarczę herbową żadna w ciągu wieków skaza nie padła... Ty, moje dziecko najdroższe, ty, prawnuczka Herburtów, zrozumiesz to i wierzę, że uczynisz zadość mej prośbie, dziecino. Moja Krzysiu!...

Tu zachłysnął się pan August i rwący piersi szloch począł nim wstrząsać. Choć widok serdecznej boleści ojca wzruszył Krystynę, nie przybiegła do łóża, lecz panując nad nerwami, podniosła głowę i zapytała

zupełnie spokojnie:

— Czy istotnie nie ma innego wyjścia, jak moje zamążpójście?

Pan August wlepił wylękle spojrzenie swych oczu w córkę i szybko głowę do ściany obrócił. Wówczas Krysia powstała z fotelu.

— Zrozumiałam — rzekła dobitnie. — Jest jeszcze wyjście. Jego śmierć nagła.

— Milcz, nieszczęsna!... Boże, och, Boże — jęknął pan August.

— Panienko... Kolacja na stole — zabrzmiał głos pokojowej od progu.

Po odjeździe księdza Mazurowicza, oświadczyła Krzysia, że ma migrenę i udaje się na spoczynek. Odchodząc, zabrała ze sobą Jadzię Goślicką. Wobec tego zaś, że pan August leżał chory, pozostali w salonach pałacu tylko trzej młodzieńcy, to jest Stanisław Dobromilski, Andrzej Kaszowski i Karol Dawidowicz. Brakowało jeszcze półtorej godziny do północy, a więc pora zbyt była wczesna, aby iść spać za przykładem pań. Posypały się więc projekty, jak czas spędzić. Dawidowicz, jako wiekiem najstarszy, zagajał:

— Nasze ladies — rzekł — poszły spać ergo dancingu urządzać nie możemy, nad czym szczerze boleję; pozostały nam tylko karty.

— Well. Przyniosę zaraz nowe dwie talie i sztony.

— Na co dwie, Stasiu. Przecież nie będziemy grać w brydża w trójkę.

— Można.

— Z „dziadkiem” — rzucił Andrzej,

— Nie, w trójkę, to żadna gra — zdecydował Dawidowicz, poczytując się za najwyższy autorytet w sprawach klubowo-karcianych. Po chwili zaś dodał:

— Jeśli mam szczerze powiedzieć, co by mi dzisiaj odpowiadało, to maleńki baczek. Od wyjazdu z Paryża nie grałem w baka. Co? Jak myślicie? Pociągniemy pomaleńku.

Andrzej odpowiedział pierwszy:

— Jeżeli Staszek się zgadza, to owszem. Nie będę psuł zabawy, ale powiem wam to jedno, że nie znam głupszej gry i bardziej beznadziejnej jak bak. Nawet przy dorożkarskim dwadzieścia jeden trzeba więcej myśleć.

— Ale za to jest hazard, rozkoszny hazard.

— Tego właśnie się obawiam — dorzucił Staszek.

— Nie chodzi mi o mnie, ale byłoby mi ogromnie nieprzyjemnie, gdyby się który z was tutaj zgrał, a co gorsza, gdybym ja wstał wygrany.

— Można ograniczyć stawki — upierał się Karol.

— Zagrajmy lepiej w pokera.

— Doskonały pomysł, Stasiu.

— Ha, jestem przegłosowany, jak widzę. Niech więc będzie, choć poker w trójkę, to żaden poker — rzekł Dawidowicz, i z pewną niechęcią zasiadł do zielonego stolika, który tamci dwaj z kąta pokoju przynieśli i przed chwilką ustawili pod żyrandolem.

Tasując karty, odezwał się Andrzej:

— Nie pamiętam, kiedy ostatni raz grałem w pokera. Było to w każdym razie bardzo dawno, ale jeszcze pamiętam sekwensy... Tylko, jak gracie, czy z dzokerem, czy bez?

Dawidowicz wydał wargi wzgardliwie:

— Z dzokerem — odparł — grywa się tylko z panienkami, lub z dziećmi w orzeszki. W klubach grywa się zawsze bez.

— Pozostałaby więc tylko do omówienia kwestia

wysokości stawek — rzekł prędko Stanisław, chcąc zatrzeć wrażenie przycinka, jaki zrobił Dawidowicz do młodego wieku Andrzeja.

— Proponuję dowolne zaczynanie, dowolne przebijanie.

— Lolek, ty nas chcesz dzisiaj ograć z kretesem. Ja z przyjemnością dam głowę jako gospodarz, ale muszę wziąć w obronę Jędrka, tym więcej, że, jak sam mówi, nie grał już dawno w pokera. Dla ograniczenia zatem hazardu proponuję, dowolne zaczynanie, a przebijanie tylko podwójne.

— Zgoda.

— Niech i tak będzie.

I rozpoczęła się gra...

Krótkotrwałe początkowe szczęście opuściło wnet Dawidowicza, a przyczepiło się zdecydowanie do Kaszowskiego. Andrzej dostawał z ręki raz za razem co najmniej trójkę i dokupywał również szczęśliwie, skutkiem czego zagarniał jedną pulę po drugiej.

Dawidowicz uciekł się do blefowania. Nie zmieniał kart, choć miał ledwie jedną parę, a robił przy tym minę, jak gdyby trzymał w dłoni pikowego pokera

zaczynającego się od asa. Dwa razy udało mu się „przestraszyć” swoich partnerów ze znacznie lepszą kartą, ale za trzecim razem dowcip się nie udał i Karol wpadł dość grubo.

A czas biegł i szybko płynęły nocne godziny przy tej grze – emocjonującej, ciekawej, niebezpiecznej. W popielniczkach utworzyły się piramidy niedopałków z papierosów, z ustników i zapalek, druga flaszka doskonałego wina węgierskiego zaczynała dnem świecić, a trzech przyjaciele grali wciąż z wytrwałością godną lepszej sprawy.

Stanisław Dobromilski spojrział w pewnej chwili na zegarek. Za trzy minuty dochodziła trzecia, a więc ostateczny termin ukończenia dzisiejszej gry, termin ustalony za wspólną zgodą przed jaką godziną. Potem przeniósł swój wzrok na stertę pieniędzy, jaka urosła przed Andrzejem i na notes z powyrywany kartkami leżący przed Dawidowiczem. Jak do tej pory przegrał Karol do Andrzeja około dwa tysiące pięćset złotych, z czego zaledwie dwieście wypłacił gotówką, a reszta leżała w bonach zaopatrzonych cyfrą wystawiciela.

Stanisław Dobromilski grał ostrożnie, poza tym

karty dostawał nienadzwyczajne, tak że w rezultacie przegrał jakie dwieście złotych. Główna walka toczyła się wciąż pomiędzy tamtymi dwoma.

Dawidowicz grał na pozór bardzo spokojnie i z najobojętniejszą miną w świecie wystawiał ustawicznie nowe bony, ale była to tylko maska, gdyż wewnątrz drżał od zdenerwowania. I kiedy znów przegrał czterysta złotych, mając trójkę waletów w dłoni, nie wytrzymał dłużej i rzucił złośliwą zaczepkę w stronę Kaszowskiego:

— Powiadają, że kto ma szczęście w kartach, nie ma go w miłości. Jeżeli to jest prawda, to w takim razie ty, Jędrzek, kapucynem zostaniesz. Żal mi cię, chłopcze. Musisz być w sprawach sercowych urodzonym pechowcem. Albo nie umiesz kochać, albo nie... możesz.

Ostatnie zdanie wypowiedział Karol w chwili, kiedy Kaszowski schylał się pod stół po kartę, która spadła, i wypowiedział je tak cicho, że tylko Staszek dosłyszał. Andrzeja zaś, który był po słowie z Krzysią, rozśmieszyła wręcz aluzja, że jest rzekomo pechowcem w sprawach sercowych. Odparł więc z dużą dozą

pewności siebie:

— Że nie jestem pechowcem w miłości, przekonasz się, Karolu, niebawem.

— Co ty mówisz? — drwił tamten: — Uważaj, żeby cię w ostatniej chwili zawód nie spotkał.

— Jak to rozumiesz?

— Całkiem po prostu. Przypomnij sobie tylko te słowa z Rigoletta: *La donna è mobile*. No, a kto ma takie szalone szczęście w grze, jak ty, powinien w szczególności mieć ten refren w pamięci.

— Słuchajcie, moi drodzy — wmieszał się do rozmowy Stanisław. — Za minutę wybije trzecia godzina. Zgódźmy się, że ta partia będzie ostatnia. Cóż Jędrus, dobrze?

— Mnie wszystko jedno.

— A ty, Karolu?

— Zgoda... Zagramy sobie jutro... a raczej dzisiaj, bo to już przecież ranek. Ty, Stasiu, dajesz.

Dobromilski zaczął tasować karty z takim zapalem, z taką dokładnością, że jedna z nich wyleciała mu z ręki i spadła na dywan. Schylił się więc po nią i rzekł:

— Zleciała mi dama pikowa. Dziadek mój, który

był zapamiętałym karciarzem, nazywał damę pik Czarną Panią. Mówił, że przynosi mu ona zawsze szczęście i nigdy z zasady jej nie zrzucił, nieraz wbrew regułom danej gry, to znaczy, wbrew najprawdopodobniejszym kombinacjom... Tak... moi drodzy. Zapytajcie ojca... Ja, co prawda, nie mogę o sobie powiedzieć, aby mnie Czarna Pani szczęście przynosiła.

Dawidowicz uśmiechnął się leciuteńko:

— Jesteś niesprawiedliwy — powiedział — zapominasz, że Czarna Pani uratowała nam wszystkim życie, a w każdym razie oszczędziła nam zimnej kąpieli w Sanie.

— Ja mam na myśli tylko karty. W kartach mi dama pik nie przynosi szczęścia — odparł Stanisław i położył stasowaną talię przed Andrzejem do przełożenia. A gdy zaczął rozdawać, nagle zaległo zupełne milczenie.

Milczenie to było wcale usprawiedliwione, gdyż Kaszowski otrzymał z ręki pokera treflowego, rozpoczynającego się od króla, sobie dał Stanisław trzy asy, a Dawidowicz? Dawidowicz dostał cztery piki, to jest króla, damę, waleta, dziesiątkę, oraz ósemkę karo.

Przeglądał więc raz jeszcze swoje karty, położył je przed sobą grzbietami ku górze i pomyślał: — Jeżeli teraz dokupię asa pikowego, lub dziesiątkę, to nie tylko wszystko odegram, ale jeszcze nadrobię solidnie. — Potem odsunął ósemkę do wymiany i czekał.

Pierwsza licytacja „wyciągnęła” pulę na tysiąc złotych.

— Ile tobie? — zapytał Stanisław, podemocjonowany trochę trzema asami i wysokością puli. Dawidowicz wskazał palcem na odsuniętą kartę:

— Mnie, jedną — odparł.

— Proszę. Tobie, Jędrus, ile zmienić?

— Nic.

— Nic? Fiu, fiu. Ja sobie biore dwie.

Dawidowicz wziął dokupioną kartę, spojrział, i z trudem powstrzymał lekki skurcz twarzy. Otrzymał asa pikowego. Miał więc w rękach najsilniejszego pokera, bo zaczynającego się od asa, a do tego w najsilniejszym kolorze, bo w pikach. Na taką kartę, można cały majątek postawić — myślał. — Wedle angielskiej teorii, że nie ma karty, której by inna karta nie biła, mogłyby mnie zwyciężyć tylko dwie gołe

siódemki... Ale to teoria, w praktyce zaś absurd zupełny. Zresztą, Staszek dokupywał dwie karty, więc musi mieć trójkę z ręki, a ten smarkacz nic nie zmieniał. Ma więc albo nędznego strita albo czwórkę, a udaje pokera.

Przeprowadziwszy w myśli taką najzupełniej logiczną kalkulację, nie zaglądał już do czterech leżących na stole pików, położył obok nich dokupionego asa, pochylił się nad notesem i wystawił bon.

— Zaczynaliśmy od stu złotych — rzekł. — Więc to samo.

— Te sto i dwieście — odparł Andrzej bez najmniejszego wahania.

Dobromiński spojrział na swoje trzy asy (bo dokupił blotki) i powiedział, dokładając do puli sześćset złotych:

— Wasze trzysta i trzysta.

— Wpłacam tysiąc dwieście.

Kaszowski wrzucił ramionami. Był najzupełniej pewny wygranej.

— Lolek, znowu będziesz leżał... To nie ma najmniejszego sensu.

— Jestem pełnoletni dość dawno, mój Jędrusiu. Bądź więc łaskaw nie troszczyć się o mnie.

— Kiedy przegrasz, przyjacielu, bo kartę mam murowaną.

— Nie zajmuj się mną i nie bądź wspaniałomyślny.

— Dobrze więc... Sam chcesz lego. Ja mogę przystać nawet na dowolne przebijanie.

— Trzymam cię za słowo.

— Nie, przyjaciele — zaproponował Dobromilski.

— Umówiliśmy się inaczej i nie można tego zmieniać w ciągu gry.

— Dlaczego? — mówił podniecony Karol.

— Dlaczego? Skoro się większość zgadza, to można. Ty się zgadzasz, prawda, Jędreku?

— Słowo się rzekło.

— No więc. Ja także się zgadzam. Jesteś przegłosowany, mój Stachu. Ile ty zaczepiasz?

— Trzy tysiące — odparł Kaszowski, ryzykując całą dotychczasową wygraną.

Dobromilski obrzucił pożegnalnym spojrzeniem swoje trzy asy. Przeczuwając, że tamci dwaj mają dużo silniejszy sekwens, odłożył karty na bok i rzekł nieco

melancholijnie:

— Ja pasuję.

— A ja — dodał gorączkowo Dawidowicz, wystawiając nowy bon — Ja te trzy tysiące i piętnaście tysięcy złotych.

— Co? Co? — przeraził się Stanisław, chociaż odstąpił od dalszej gry.

Karol powtórzył:

— Piętnaście tysięcy.

Kaszowskiemu zrobiło się nagle bardzo ciepło. Suma była duża, nonsensem więc byłoby przegrać ją w karty. Przecież w puli leżało już ładne parę tysięcy, a teraz znów piętnaście... Wprawdzie kartę miał świetną, ale jeśli przeciwnik ma pokera zaczynającego się od asa, to co? Wydało mu się mało prawdopodobnym, aby Karol blefował przy takich kwotach.

Już chciał Andrzej pójść w ślady Stanisława, już miał na języku słowo passe, kiedy dostrzegł wyzywające, ironiczne spojrzenie Dawidowicza. Przestał się wahać w jednej chwili.

— Te piętnaście i zamykam — zawołał głosem trochę drżącym.

— Już zamykasz? Uciekasz, jednym słowem — drażnił Karol.

— Zamykam, bo rozumiem zabawę, nie uznaję hazardu.

— Więc koniec.

— Koniec.

— Ha, skoroś zamknął, to się chwal, co masz.

— Poker od króla — odparł Andrzej rozkładając karty przed sobą. Dobromilski aż powstał ze zdumienia i rzucił współczujący wzrok Dawidowiczowi, tak był pewien wygranej Jędrka. Ale Karol miał twarz rozjaśnioną uśmiechem i spokojnie zwrócił głowę w stronę Dobromilskiego:

— Ładna karta, prawda, Stasiu? A ty co masz?

— Ja pasowałem. Cóż znaczyły moje trzy asy wobec takich tytanów jak wy.

— A ja mam, moje dzieci kochane — mówił powoli Dawidowicz, aby zaostrić ciekawość przyjaciół i doprowadzić naprężenie do najwyższego punktu... — Ja mam „tylko” pokera pikowego i to zaczynającego się od asa. Proszę cię, Stasiu.

Z tymi słowy podał swoje karty Dobromilskiemu i

równocześnie sięgnął zaborczym ruchem po pułę. Andrzej zajął się gorliwie nalewaniem kieliszków dla zamaskowania pewnego zdenerwowania, jakie wywołać musi znaczna przegrana, ale w tej samej chwili Stanisław zawołał na cały głos:

— Co to jest?! Karol?! Przecież ty nic nie masz w kartach. Ani nawet pary.

— Co? Jak to? Poker z pi...

Tu urwał Dawidowicz i zaklął całkiem niesalonowo. Wszystkie trzy głowy pochyliły się nad rozłożonymi kartami, a Dobromilski mówił głośno:

— Miałeś: cztery piki, asa, króla, waleta i dziesiątkę, oraz ósemkę karo. Ani jednej pary nawet... No, Lolek, tym razem słono zapłaciłeś za blefowanie.

— Ależ ja wcale nie blefowałem — jęknął zbity z nóg Karol.

— Więc?

— Ja miałem damę pik.

— Damę pik? No tak... Z damą, byłby najpiękniejszy poker do pomyślenia. Nie rozumiem jednak...

— Ja zaczynam rozumieć — wmieszał się Andrzej.

— Lolek odrzucił zapewne damę zamiast jakiejś innej karty.

— Tak, tak... Miałem ósemkę karo, o, tę tutaj przekłętą i zamiast niej odrzuciłem do zmiany przez omyłkę damę pik.

— Musiałaby być w takim razie na samym spodzie tej talii, boś pierwszy zmieniał. — Stanisław podniósł leżącą w pośrodku stołu talię. Rzeczywiście, na samym spodzie leżała dama pikowa.

— Ha, stało się... Przegrałem. Czarna Pani nie przyniosła mi szczęścia. — Dawidowicz usiłował żartować, ale Dobromilski zaczął mu robić wymówki:

— Żeś się przerzucił, nie mam ci tego wcale za złe. Mnie się to także niejednokrotnie trafiało, lecz jak można było nie spostrzec omyłki w czasie gry?

— Z zasady nie zaglądam do kart i kładę je przed sobą...

— No, to fatalna zasada, przyjacielu i drogo cię kosztowała... Nie!... Nie pojmuję!... To lekkomyślność

— irytował się Stanisław, zaś Andrzej Kaszowski, któremu się nagle żal zrobiło przyjaciela, zaproponował:

— Słuchajcie, moi drodzy... Zasiadaliśmy do gry w

tym celu, aby urozmaicić sobie kilka godzin wieczornych, a nie po to, aby jeden drugiego ogrywał do nitki... Wobec zaszłej omyłki, jestem zdania, że powinno się unieważnić ostatnią partię i zwrócić wszystkim grającym ich stawki. Co? Jak myślicie? Ja głosuję za stornem...

Tamtych obu zaskoczył silnie ten objaw szlachetności przyjaciela, lecz zorientowawszy się szybko, osądził Dawidowicz, że propozycja jest nie do przyjęcia. Wycedził więc ze zjadliwą ironią:

— Kochany Jędrusiu, ty moje przemile chłopię o złotem serduszku! Powiedziałem ci już raz dzisiaj, że twoja wspaniałomyślność mnie olśniewa, ale korzystać z niej nie myślę. Nie!... Nie przerywaj mi... Nie obrażem się wcale... Na ciebie nie można cię przecież gniewać... Jeżeli jednak już koniecznie chcesz dać upust swej wielkoduszności, to udziel mi tygodniowego moratorium zamiast obligatoryjnego terminu dwudziestoczerogodzinnego. Sam pojmiesz, że takiej sumy nie mam przy sobie, a w ciągu doby mój administrator mi jej nie nadeśle... Cóż, zgadzasz się? Do niedzieli wypłacę ci mój dług honorowy...

— Ależ dobrze, Lolku... Nie ma o czym mówić. Poczekam i miesiąc, jeśli wolisz... Zresztą myślę, że nie będziesz potrzebował mi nic zwracać, bo przy rewanżowym spotkaniu się odegrasz.

Dawidowicz uściśnął z nieszczerą serdecznością wyciągniętą ku sobie dłoń przyjaciela...

Potem zaczęło się zliczanie bonów, które Karol wystawił w wielkiej obfitości w ciągu pamiętnej gry dzisiejszej. Nazbierało się tego dwadzieścia trzy tysiące złotych i jakiś ułamek. Tę drobnostkę uścił Dawidowicz natychmiast gotówką, bony stargał, a w miejsce ich, wystawił oblig na dwadzieścia trzy tysiące płatne do przyszłej niedzieli.

Andrzej schował do portfela bilet wizytowy Karola, zawierający wspomniany oblig i wszyscy trzej przyjaciele skierowali swe kroki na balkon, aby zaczerpnąć w płuca świeżego powietrza. Na samym końcu szedł krokiem ociężałym Dawidowicz i myślał: — Dama pik... Nie!... Przysięgnęłbym na swoją duszę, że jej nie odrzuciłem, lecz ósemkę. Rękę bym sobie uciąć pozwolił. Czary czy co, u diabła? Hm. Czarna Pani... Gwizdnę na nią i dam sobie radę z nimi wszystkimi.

Ujarzmię ich, jak ujarzmiłem starego. Niech tylko wydebię gotówkę, to biore Krysę i jazda na Riwierę lub gdzie dalej z tej dziury.

Ukończywszy ten cichy monolog, zaklął po kawalersku i wszedł pewnym krokiem na balkon.

Na wschodniej połaci nieba wykwił cudny, różowy wachlarz jutrzeńki.

Wschodziło złote słońce.

ROZDZIAŁ XII

Pałac w Żabnie

Półmrok wieczorny panował w dużym pokoju. Wielkie, staroświeckie meble rzuciły na czerwony dywan perski szare cienie. Cała długa ściana, naprzeciw trzech okien położona, była dosłownie zajęta oszklonymi półkami książek. Stamtąd błyskały rzadki złożonych liter, powytłaczanych na grzbietach przelicznych tomów dzieł naukowych i beletrystycznych. Wielki żyrandol, zawieszony mniej więcej w środku pokoju, wyglądał niby jakiś polip czatujący na swoją ofiarę, niby pająk, który rozstawiwszy swe długie nogi, czeka nieruchomo, aż jakaś muszka wpadnie w sieci zdradzieckie.

Cicho było w przestronnej bibliotece pałacu żabnieńskiego.

Tylko przez uchylone okna przynosił powiew lekkiego wiatru odgłos monotonnego szumu rzeki, płynącej w pobliżu dworskich zabudowań, lub szelest liści lip potężnych, które rosły blisko domu... Tylko

zegar antyczny tykał miarowo gdzieś w mrocznym kącie pokoju, tylko niekiedy zabrzączała na szybie pszczoła, która przyleciała do kwiecica lipowego z pasieki, a poblądziwszy, wpadła przez okno do komnaty i z uporem bodła główką szybę, nie pojmując jak może istnieć zaporą tak przezroczysta jak powietrze, a tak mocna, niezwyciężona dla jej słabych skrzydełek.

A niekiedy zaszeleściły odwracane kartki książki, którą czytała młoda dziewczyna, wygodnie we fotelu w pobliżu okna środkowego rozparta.

W pewnej chwili szcęknęła klamka, otwały się drzwi i do biblioteki wszedł szczupły, wysoki mężczyzna. Ubrany był bardzo starannie lecz nieco ze staroświecka, a w każdym razie niemodnie. Niemodny był jego kołnierzyk, sztywny, z rozchylonymi rogami, jaki się dzisiaj nosi tylko do żakietu, niemodny był krój tego ubrania, choć z doskonałej angielskiej materii uszytego, a już prawdziwym anachronizmem był przeraźliwie szeroki krawat z wpiętym ogromnym rubinem.

O ile jednak garderoba miała pewne, wybaczone zresztą usterki, o tyle jej właściciel był typem

skończenie przystojnego mężczyzny. Więc wybitny owal twarzy, głęboko osadzone, wyraziste, rozumne oczy, lekko w łuk zagięty nos, wąski a w sam raz długi, pięknie wykrojone usta ozdobione przystrzyżonym po angielsku, posiwiałym już dobrze wąsikiem, cera czerstwa, gładka i włosy czarne posrebrzone na skroniach, składały się na doskonałą i rasową całość. Rasowe były również ręce o dłoniach wąskich, palcach długich, rasy dowodziła postawa smukła, wysoka oraz sposób trzymania się i chodzenia.

Przybyły ruszył szybko w stronę zaczytanej dziewczyny.

— Zocha... Jak można! — zawołał. — Przecież ty sobie oczy zepsujesz, dziewczyno. Proszę odłożyć książkę.

Panienka zerwała się na równe nogi.

— Aleś mnie przestraszył, ojczulku — odparła, przykładając dłoń do piersi. — Tak mi serce bije szybko... tak szybko... Zobacz sam.

Starszy pan wziął w swoją rękę przegub dłoni córki i chwilę liczył puls, przyśpieszony rzeczywiście i nienormalny. Nagła chmurka troski przebiegła przez

czoło wyniosłe. Poglądził długie, hebanowe włosy dziewczyny, zajął miejsce w opuszczonym fotelu i posadził sobie córkę na kolanach.

— Uspokój się, Zosieńko. Nie ma się czego obawiać mówił pieszczotliwie. — Przecież drzwi musiały skrzypnąć, gdy wchodziłem.

— Nie słyszałam zupełnie, a dywan zagłuszył kroki.. Ale już mi dobrze teraz. Czasami mam takie bicie serca, zwłaszcza jeśli się czego przestraszę, lub kiedy się zmęczone.

— Nic mi nie mówiłaś o tym.. Trzeba by się poradzić lekarza. Lecz z drugiej strony, powinnaś unikać sytuacji, które powodują takie wzruszenia. Czy jazda konna cię męczy?

— Nie, papo. Wiesz dobrze, że całymi dniami włóczę się po okolicy na grzbiecie mego Szejtana i nie odczuwam żadnego zmęczenia. Tylko jeśli się czego złęknę... oho... bywaj zdrow! Mało mi serce nie wyskoczy.

— Hm.. hm.. hm.. Niektórzy ludzie stają się lękliwi pod wpływem samotności, przez brak kontaktu z życiem, z towarzystwem, ze społeczeństwem ludzkim.

Ja osobiście przepadam za samotnością, kiedy ciebie tu nie ma. Dlatego mnie zwań w sąsiedztwie odludkiem, dziwakiem, ba nawet: wariatem.. No, tak... Co innego ja, stary człowiek, a co innego młoda panna w twoim, Zosieńko, wieku... Ty zaś odziedziczyłaś, jak się zdaje, ten mój nawyk i także stronisz od ludzi... Hm.. To niedobrze... Bo chociaż pomiędzy naszymi bliźnimi jest dziesięć razy więcej ludzi złych niż dobrych, to jednak z ludźmi żyć trzeba...

— Tak — przytwierdziła panna Zosia z wielką powagą — czytałam już gdzieś kiedyś, że człowiek jest zwierzęciem towarzyskim.

Pan Hubert Dobromilski (on to był bowiem) nie wiedział co rzec na owo „zwierzę towarzyskie”, ciągnął tedy swoją rzecz dalej:

— Na przykład jeśli jesteś w domu, znajduję cię zawsze w bibliotece, o, tutaj, w tej ponurej, głuchej sali. Zawsze cię zastaję nad książką lub przed tym portretem.

— To prawda, ojczulku, ale książki są moją pasją.

— Bardzo szlachetna pasja i godna pochwały, tylko należy unikać przesady... Chciałbym ci również na

drugą rzecz zwrócić uwagę...

— Co takiego, papo? — zaniepokoiła się Zosia.

— Widzisz córeczko... to jest... jakby ci to powiedzieć... hm.. Czemu ubierasz się tak dziwnie na te konne przejażdżki? Kupiłem ci strój amazonki, masz również kilka sportowych ubiorów, a ty zawsze bierzesz na siebie tę niesamowitą pelerynę... Przecież to ani wygodne, ani ładne... Wyglądasz, co prawda, bardzo demonicznie, ale nic poza tym.. Tak... Twój Szejtan ma sierść czarną jak heban, peleryna czarna jak noc i w dodatku twoje włosy w granatowy kolor wpadające, rozpuszczone luźno... Nie!.. Słowo daję, że nie ma się co dziwić... tym bajkom.. jakie później krążą wśród prostych ludzi.

Pan Hubert umilkł, sądząc, że powiedział za wiele, że uraził może córkę swymi słowami. Lecz omylił się zupełnie. Na samą wzmiankę o bajkach krążących wśród chłopstwa zerwała się Zosia i zaklaskała w dłonie z radości:

— Co mówisz, papo? — wołała. — Więc naprawdę już zaczynają o tym gadać?... Ależ niczego więcej nie pragnę... Ja sama widziałam, jak na mój

widok przeżegnał się jakiś chłop i wziął nogi za pas.. Raz znowu, koło ruin Niedźwiedziego Łba, uciekły przede mną trzy dziewczyny. Biedaczki porzuciły nawet koszyk z jagodami leśnymi.

— Koło ruin?... Więc aż tam byłaś?!

— Przecież to tak bliźutko.

— Ładnie mi bliźutko... Będzie chyba dwie mile.

— Niecałe, papusiu... Niecałe. Ani nie spostrzegę nigdy, kiedy mój Szejtan tę drogę przebiegnie... Przepadam za ruinami. Jak tam cicho, jak ślicznie!... I kiedy pomyślę, że ona tam żyła... że to wszystko, o czym czytam, tam się działo, to ogarnia mnie takie przeogromne wzruszenie, że płakać mi się chce...

— I wzruszasz się niepotrzebnie i później serduszko ci bije.

Zosia spostrzegła poniewczasie, że wpadła. Aby więc odwrócić uwagę ojca w inną stronę, a w każdym razie od siebie, zaczęła mówić bardzo szybko:

— Poza tym w ruinach zawsze się dzieje coś niezwykłego. Na przykład pewnego razu byłam już przy końcu czwartego koła ślimaka, kiedy z bramy wypadł na koniu jakiś starszy pan. Pędził tak gwałtownie, że

usunęłam się na bok, aby mnie nie przewrócił swym wierzchowcem. Był może piętnaście kroków oddalony ode mnie, kiedy mnie spostrzegł. Żebyś ty, papusiu, widział, jak on się przeraził.. Mało z siodła nie zleciał. Osadził konia na miejscu, nawrócił i pognął z powrotem do zamku. Nawet kapelusz zgubił... Przywiozłam go ze sobą i darowałam Władkowi.

— Cudzy kapelusz podarowałaś?

— Był już dosyć zniszczony, a Władek nie miał żadnego, więc nie sądzę, że źle postąpiłam — wykombinowała Zosia.

— Oj, ty komunistko, bolszewiczko!

— Kiedy naprawdę był zniszczony. Wewnątrz miał inicjały: A. D.

— Jakie? — zapytał zaciekawiony nagle Hubert.

— A. D.

— Czegóż ten tam szukał? — wyrwało się dziedzicowi Żabna z przyległościami. Domyślił się bowiem natychmiast, że tym starszym panem był jego rodzony brat August.

Zosia opowiadała dalej:

— Zjechałam z ścieżki na bok, pomiędzy świerki,

zaciekawiona co z tego wyniknie... Czekałam dość długo, może pół godziny. Potem ukazał się jakiś krepły dosyć młodzieniec. Prowadził za uzdę konia, na grzbiecie którego siedział ów starszy pan, który się tak mojego widoku przeraził. Pierwotnie miałam zamiar wyskoczyć z gęstwiny i przestraszyć ich obu, ale żal mi się zrobiło jeźdźca... Twarz miał tak bladą jak kreda, tak smutną przeraźliwie, tak osowiałą, że nie miałam serca, aby go jeszcze prześladować. A właściwie ułaskawiłam go z tej przyczyny, że... był.. on.. trochę do ciebie podobny, ojczulku...

Zosia zauważyła, że jej opowiadanie zajęło ojca, więc chciała się popisać nową historią:

— To spotkanie i zdobycie kapelusza miało miejsce we czwartek dnia dwudziestego czwartego czerwca.

— Ho... ho... Dobrą masz pamięć, jak widzę.

— Spamiętałam tylko dlatego, że było to w dzień świętego Jana, kiedy na szczytach górskich palono sobótki. Słuchaj teraz, papusiu, co było dalej... Otóż w dwa dni później, czyli w sobotę, wybrałam się powtórnie do ruin,

— Masz tobie!... Znowuś tam pojechała?

— Musiałam.

— Musiałaś? A czemu to?

— Bo zgubiłam chusteczkę koronkową, z tego tuzina, któryśmy kupili na wiosnę w Paryżu.

— Cha, cha, cha, cha! Po chusteczkę jechała dwie mile. No i znalazłaś?

— Gdzież tam... Nigdzie jej nie było.

— Ano, skarały cię losy całkiem sprawiedliwie.

— Jak to, papusiu?

— Za kapelusz chusteczka... Wszystko jest teraz w porządku.

— Dziękuję uprzejmie... Oddałabym tuzin takich starych kapeluszy za jedną moją chusteczkę. Tuzin kapeluszy.

— Nie swoich, oczywiście.

— Cha, cha, cha, cha — zadzwonił srebrzysty śmiech Zosi. Pan Hubert pocałował córkę w policzek i rzekł:

— Opowiadajże teraz co było w tę sobotę.

— Otóż w sobotę przybyłam z rana do ruin i wjechałam na Szejtanie aż na sam środek dziedzińca, aż

do trzech dębów, które znasz chyba, ojczulku.

— Znam bardzo dobrze... Jako chłopiec spędzałem tam nieraz całe godziny.

— Podjechałam właśnie do płyty, która zakrywa ujście podziemnego ganku. Przyznam się, że nieraz już chciałam ją dźwignąć i zobaczyć jak tam wygląda, lecz jest za ciężka, niestety. Ledwie ją poruszyć zdołam. Ale podejmuję przerwany wątek opowiadania. Mijam tedy ową płytę kamienną, kiedy nagle mój Szejtan skoczył w bok jak opętany i za żadne skarby świata nie chciał się zbliżyć do tego miejsca. Ani szpicruta nie pomogła. Myślałam właśnie nad tym, jakim sposobem zmusić upartego konia do posłuszeństwa, kiedy postyszałam daleki śpiew za bramą. Brrr!... Jaki śpiew! Nie chciałam, aby mnie ktoś zastał i przyznam się, miałam zamiar zobaczyć kto to zacz i po co lezie na nieswoje podwórko... Bo przecież ruiny do ciebie, ojczulku, należą.

— Do mnie — przytwierdził pan Hubert. — Do mnie należą, ale nie odskakuj od tematu.

— Dobrze. Więc tedy nie mogłam się ulotnić niepostrzeżenie, gdyż jedna jest tylko brama do zamku.

Wówczas przyszło mi do głowy ukryć konia za tą olbrzymią stertą gruzu, która stoi na miejscu dawnych stajni zamkowych, wprost po przeciwnej stronie bramy.

— Wiem, wiem.. Cóż dalej?

— Znam dobrze Szejtana i wiem, że nie będzie rżał, ani nie parsknie, jeśli przy nim stanę. Tak się też stało. Dwie minuty później wszedł przez bramę jakiś stary, brodaty, obstrzępiony dziad. Zaraz poznałam, że idzie po moim śladzie, bo schylał się ku ziemi i wołał głośno: Tędy biegł koniczek, tędy jechała moja narieczona. Zrobiło mi się trochę ciepło, ale pomyślałam sobie, że jeżeli podejdzie poza dęby, wskoczę na siodło, przelecę koło niego jak strzała, a gdyby chciał mnie zatrzymywać, to mu dam szpicrutą przez buzię, że się nogami nakryje. Prawda, ojczulku?

Pan Hubert Dobromilski nie odrzekł nic, tylko zmarszczył się groźnie i silniej przytulił córkę do siebie.

— Dziad zbliżył się już do dębów — ciągnęła Zosia — potem poszedł moim śladem do płyty kamiennej i tam przystanął. Wychyliłam się nieco, aby lepiej widzieć. Ku wielkiemu zdziwieniu spostrzegłam, że dziad zaczyna podnosić ciężkie wieko i ryczeć ze

śmiechu... I co powiesz ojczulku... na to, że tam siedział człowiek... Zamknięty człowiek!...

— Niemożliwe! W studziencie był człowiek?

— Słowo daję, że był. Mały, łysy, zabłocony jak nieludzkie stworzenie. Z wielkim trudem wygramolił się przy pomocy dziada z jamy i zaraz się na wznak przewrócił. Dziad dał mu kawałek chleba czy ziemniaka, nie widziałam z daleka, czym go częstował, dość, że tamten obywatel z podziemnego ganku zajadał z wielkim apetytem. Skoro się najadł, zaczął śmiać się przeraźliwie, głupkowato, idiotycznie... Dziad mu wtórował oczywiście. Zrobił się taki koncert wśród pięknych, zacisznych ruin, że Szejtan strzygł uszami niespokojnie i przysiadł ze strachu. Już byłam w obawie, że zdradzi moją kryjówkę.

Na szczęście ci dwaj zebrali się z ziemi i skierowali ku bramie. Po drodze fikalili kozły pociesznie, ryczeli jak zwierzęta, całowali się raz po raz, no, po prostu, dobrało się dwóch wariatów. Tak, ojczulku. Jestem pewna, że obaj mieli pomieszanie zmysłów, bo w ich zachowaniu, w ich bezsensownych okrzykach nie było nic normalnego.

— I jakże się skończyło?

— Odczekałam małą godzinę, potem wskoczyłam na grzbiet Szejtana i powróciłam do domu. Od tego czasu nie byłam jeszcze nigdy w ruinach, chociaż ciągnie mnie znowu... Mam leciuteńkiego boja, papciu. Nie lękam się duchów, nie lękam się Jej, bo wiem, że ona jest naszą opiekunką i nie tylko nie zrobiłaby mi żadnej krzywdy, ale jeszcze osłoniłaby mnie w razie niebezpieczeństwa, lecz z wariatami mieć do czynienia, nie chcę. Mniej obawiałabym się zbrodniarza jak szaleńca.

Kiedy Zosia umilkła, zapanowało długie milczenie w bibliotece. Cienie przedmiotów i mebli wydłużyły się już tak znacznie, że zwały się w jeden wielki mrok. Wieczór zapadł. Ciemności zaległy ogromny pokój. Pszczoła zasnęła na szybie lub też odnalazła drogę do odwrotu, bo nie brzęczała skrzydłami, leciutki wietrzyk ustał na dworze i tylko zegar antyczny tykał wciąż w kącie jednostajnie, wytrwale, niezmordowanie.

Wreszcie pan Hubert odchrząknął mocno i rzekł:

— Nie rozumiem doprawdy, skąd się mógł wziąć jakiś człowiek w podziemnym ganku, chyba że dwóch

oblakanych upatrzyło sobie na lato rezydencję w ruinach zamku, powiadam letnią bo w czasie mrozów zimowych tam by nie wytrzymali. Tak, to bardzo prawdopodobne. Przypuszczam dalej, iż jeden z nich zamknął swego towarzysza w tej studziencie i zapomniał go we właściwym czasie wypuścić. Dlatego tamten był taki wygłodzony po wypuszczeniu z jamy. Również zgadza się to, że ten łysy obywatel podziemnego ganku, jak go nazwałaś, był niskiego wzrostu i nie sięgnął do pokrywy. Inaczej nie byłby czekał na swego kompana, lecz byłby się sam uwolnił z więzienia... Dobrze, że o tym wiem. Wydam polecenie gajowym, aby mi przepędzili nieproszonych lokatorów z ruin. Teraz jednak chciałbym cię poprosić, moja droga Zosieńko, abyś w przyszłości zaniechała eskapad w tak odległe strony. Pomyśl tylko, dziecinko, co mogło cię spotkać ze strony takiego bydłęcia. Na samą myśl włosy mi dęba stają na głowie. Boże jedyny!

Pan Hubert ukrył twarz w dłoniach, jak gdyby chciał zasłonić się przed straszną myślą.

A Zosia pojęła dopiero teraz całe niebezpieczeństwo, na jakie się wówczas naraziła,

zbladła śmiertelnie, a potem zaczęła się tulić do ojca, zaczęła go całować po oczach, czole i twarzy.

— Uspokój się, ojczulku — mówiła głosem bardzo wzruszonym. — Nic mi się przecież nie stało... Nigdy się już sama nie zapuszczę w te pustkowia... Nigdy!... Nigdy!... Albo kogoś wezmę ze sobą, albo uzbroję się w rewolwer.

Turkot powozu zajeżdżającego przed pałac zagłuszył i przerwał wylew czułości. Ojciec i córka wychylili się z okna, lecz ciemno już było zupełnie na dworze. Nie mogli nic dojrzeć. Więc pan Hubert wyszedł z pokoju zaintrygowany nieoczekiwanym przyjazdem jakiegoś gościa, a panna Zosia podeszła do tastra i przekręciła go dwa razy. Zabłyły najpierw cztery lampy, a zaraz potem zajaśniał cały żyrandol.

Mroczna i ponura biblioteka straciła od razu swój niesympatyczny wygląd w świetle piętnastu silnych żarówek elektrycznych. Wielkie staroświeckie meble stały się jakieś miłe, przytulne, pajak nie straszył swymi zakrzywionymi ramionami, a antyczny zegar tykał miłe, dźwięcznie.

W rogu pokoju zamajaczył, dotychczas z powodu

ciemności niewidoczny, wielki portret w ramy ujęty złocone, masywne, stojący ukośnie na ziemi. Do tego portretu podeszła Zosia Dobromilska i z wielkim upodobaniem zaczęła mu się przyglądać po raz tysięczny zapewne w życiu.

Obraz przedstawiał młodą dziewczynę lekko w tył przegiętą, z rękoma założonymi za głowę, z włosom rozpuszczonym wzdłuż ciała. Niestety od piersi mniej więcej zasłaniał ją czarny płaszcz czy peleryna olbrzymia spływająca w szerokich, luźnych fałdach na kształt draperii aż do ziemi. Coś raziło w tym obrazie, coś się kłóciło ze sobą. Może te ręce zaplecione poza kształtną, rasową główką, może to pochylenie się w tył, to przegięcie. Również ekstatyczny uśmiech cudnie wykrojonych usteczek i rozkoszny skurcz rysów nie harmonizował jakoś wcale z poważną, żalną szatą. Proporcja rysów twarzy oraz stosunek głowy do górnej, prawie odsłoniętej części ciała, były idealne. Również tło obrazu było wspaniałe, ale czegoś brak było temu arcydziełu.

Zosia przystanąła na dwa kroki od portretu, posłała dłonią całusa uśmiechniętej dziewczynie z obrazu i

zaczęła mówić cicho, jak gdyby się bała przerwać rozkoszne uniesienie tamtej, jakby jej zbudzić ze snu nie chciała:

— Ty moja śliczna! — szeptała. — Zeszpecili cię. Wstrętną czarną płachtą osłonili twe cudne ciało, osłonili ukochanego Giuliana, który klęczał u stóp twoich i nogi twoje całował. Brzydcy ludzie. Brzydcy!... Hipokryci!... Obłudnicy!... Lękali się, że będziesz zgorszeniem dla nas, twych wnuczek, prawnuczek... To kłamstwo!... Ten się tylko gorszy, kto się chce zgorszyć... Czystego serca nic zepsuć nie zdoła. Poczekaj, moja śliczna Beatrycze. Ojczulek przyrzekł, że podaruje mi ciebie w dzień mego ślubu. Zawiozę cię wówczas do Krakowa i polecę zmyć tę pelerynę. Ja wiem, że to się da zrobić... Tak, Beatrycze... Będziesz znów miała swego Giuliana. Przysięgam, że przywrócę dawny wygląd dziełu genialnego Sandra Botticellego.

Tu umilkła panna Zofia i obejrzała się niespokojnie poza siebie, czy kto czasem nie wszedł do biblioteki i nie jest świadkiem przemowy do obrazu, jak to nazywał żartobliwie pan Hubert, który raz córkę na gorącym uczynku takiego przemówienia przydybał.

Lecz w pokoju nie było nikogo i Zosia mogła spokojnie monologu dokończyć. Mówiła tedy:

— Wiesz, Beatrycze, ojczulek mówi, że jestem do ciebie podobna. Pochlebia mi to bardzo, ale niestety tak nie jest. Wiem, że jestem brzydsza od ciebie. Zresztą sprawdzimy. — Wyjęła małe lustreczko z torebki i rozpoczęła bardzo gruntowne studium porównawcze, które jednak w rezultacie ostatecznym nie wykazało zasadniczych różnic. Zadowolona z wyniku wykręciła się na pięcie, zgasiła światło i wyszła z pokoju.

Przy kolacji poznała gościa swego ojca, którym był ksiądz proboszcz Mazurowicz z Lipin, dawny korepetytor i wychowawca pana Huberta. Zaczny kapłan przyglądał się uważnie dziewczynie i zdumiewał się w duchu nad niesłychanym podobieństwem obu hrabianek, to jest Krzysi i Zosi. Widziałem różne pary bliźniaków — myślał — ale przecież zawsze była jakaś cecha, jakiś pieprzyk lub brodawka, po której można ich było odróżnić... A tutaj nic! Przynajmniej w twarzy nic — dodał w duchu filuternie, jako że słabą miał głowę starowina, a na sucho nie wieczerzano.

Po kolacji pan Hubert polecił córce przygotować nocleg dla gościa i pożegnał ją od razu na dobranoc, oświadczając, że ma z proboszczem do pomówienia. Jakoż obaj mężczyźni przenieśli się zaraz potem do gabinetu gospodarza, gdzie się wdali w dłuższą i nader poważną pogawędkę.

Ponieważ w pałacu nigdy żadni goście nie bywali, a w każdym razie nie było nikogo w ciągu sześciotygodniowego Zosiego w Żabnie pobytu, uraziło trochę panienkę to odseparowanie się tamtych dwóch i zamknięcie się w gabinecie. Szybko więc wydała dyspozycje co do przygotowania gościnnego pokoju dla proboszcza, dopilnowała osobiście powleczenia poduszek i kołdry, a potem udała się do stajni z zamiarem uzalenia się Szejtanowi na swoją dołę, w szczególności na nudy, jakie w pałacu panowały. Ale noc pogodna, przepiękne, ciepłe powietrze skusiły ją i nakłoniły do małej przejażdżki nad brzeg rzeki.

Chwilę później jechała już wyciągniętym klusem w stronę Sanu odziana w ulubioną czarną pelerynę, z włosiem rozpuszczonym zwichrzonym szybką jazdą.

Pół godziny brakowało do północy, kiedy pan

Hubert odprowadził swego gościa do jego kwatery. Proboszcz uparł się jednak, żeby przed pójściem na spoczynek koniecznie ujrzeć wspaniałe dzieło Botticellego, którego nie widział od lat kilku, od czasu jak ostatni raz przybył do Żabna bardzo od Lipin odległego. Poszedł więc z gospodarzem do biblioteki a napatrzywszy się arcydzieła do syta, pozwolił się odprowadzić do swego pokoju. Pan Hubert powrócił do siebie. Ksiądz odprawił najpierw długie wieczorne pacierze, potem, kiedy zaczął rozpinać guziki sutanny, posłyszał jakieś kroki na korytarzu. Myśląc, że Hubert czegoś zapomniał i nadchodzi, odemknął drzwi, wychylając się na zewnątrz.

W korytarzu było jeszcze względnie jasno, gdyż paliła się jedna żarówka, którą miał stróż nocny dopiero zagasić i ksiądz Mazurowicz ujrział wnet postać wyniosłą, w długą czarną pelerynę odzianą, niezmiernie do damy z portretu podobną. Podniecone rozmową z Hubertem myśli plątały się przedziwnie w zmęczonej głowie zaspanego staruszka. Zapomniał zupełnie o istnieniu Zosi, a był jeszcze pod świeżym wrażeniem obrazu, który przed kwadransiem oglądał.

A czarne zjawisko było kubek w kubek takie samo jak Beatrycze z Pazzich Herburtowa. Takim samym łańcuchem złotym czy złotym był płaszcz spięty na piersiach, tak samo hebanowe włosy luźno spadały wzdłuż sylwetki. Niesamowita zjawa różniła się tylko tym od tamtej z obrazu, że nie miała rąk zaplecionych na karku, lecz pod peleryną ukryte, i nie stała nieruchomo, lecz zbliżała się szybko w stronę wychylającego się zza futryny księdza. Proboszcz nie był człowiekiem lęklivego serca i gdyby nie to wino wypite w czasie pogawędki, byłby zapewne ruszył mężnie na spotkanie tajemniczego ducha-nieducha, ale mając umysł z lekka zaproszony nie był pewien, czy zdierży mocom piekielnym i wołał uniknąć kolizji. Przeżegnał więc tylko sunącą postać, a skoro nie znikła, lecz szła dalej, cofnął się szybko do pokoju i drzwiami z impetem trzasnął.

Zosia Dobromilska zaś, która powracała właśnie z konnej przejażdżki i szła rozmarzona, zadumana, w stronę swoich pokoi, z wzrokiem wlepionym w ziemię, nie widziała zupełnie, że od jakiejś chwili śledzą ją zdumione źrenice proboszcza. Ocknęła się dopiero

posłyszawszy głośne i bliskie trzaśnięcie. Wspomniała sobie, że droga wiedzie koło pokojów gościnnych, że stapania jej sportowych bucików, mogą zakłócić sen zacnego staruszka. Zaczęła się tedy skradać na palcach, po cichu, i tak minęła drzwi jego pokoju. Nie przypuszczała zupełnie, że ksiądz ją wziął za jakąś zjawę, że właśnie ten jej chód cichy utwierdzi podsłuchującego w jego podejrzeniach.

A kiedy cisza zaległa pałac żabnieński, kiedy umilkły dziwne szmery na korytarzu, opuścił ksiądz Mazurowicz swój punkt obserwacyjny pod drzwiami, podszedł do łóżka, do nocnego stolika, nalał sobie kilkanaście kropel wody z karafki na palce, potarł wilgotną dłonią skronie, a skuteczniejszy to lavabo, wyciągnął tabakierkę i zażył niuch spory. Teraz rozwidniło mu się w głowie i zaspany, zmęczony starczy mózg począł pracować. Przypomniawszy sobie, że przecież tutaj mieszka Zosia, bliźnia siostra Krzysi i przez dziwne losów zrządzenie jest niezmiernie do swej protoplastki Beatryczy podobna. Poweselał od razu, trzasnął palcami i mruknął:

— Zapytam jutro smarkuli, czy mnie nastraszyć

chciała. Ha, urwis dziewczyna! Chociaż... czy ja wiem? Może to wreszcie? Ech... głupstwo! Hm. Na wszelki wypadek pomódlmy się jednak za dusze tych, co odeszli.

I klękawszy pod obrazkiem, zaczął mówić pacierze za zmarłych.

ROZDZIAŁ XIII

Dalsze dzieje Beatrycze Pazzi

Zadzwończyły podkowy rumaków na płytach kamiennych bramy i dwóch jeźdźców wjechało w obręb murów starego zamczyska. Krzysia jechała z głową na piersi zwieszoną, smutna, przygnębiona, małomówna. Ledwie czasem odpowiadała oderwanym słowem na liczne zapytania swego towarzysza, który od kilku już dni zauważył niezwykłą zmianę w humorze i usposobieniu swej ukochanej i niepokoił się tymi objawami bardzo. Na próżno jednak pytał o przyczyny. Krystyna zbywała go pierwszą lepszą odpowiedzią, wybiegiem, odkładając stanowczą, nieuniknioną, a przesmutną rozmowę na jutro i znów na pojutrze.

Od owej pamiętnej niedzieli, kiedy Hanka Strózikówna umarła oraz kiedy pan August powiadomił córkę o oświadczeniach Dawidowicza, doszło jeszcze dwukrotnie do dłuższej wymiany słów pomiędzy ojcem a córką. Krzysia przekonała się, że rzeczywiście dla dobra ojca i brata musi ciężką ponieść ofiarę.

Dawidowicza unikała uparcie. Umyślnie z nim sam na sam nie pozostawała, co tamtego poczęło w sposób widoczny niecierpliwić, denerwować, gniewać. Dzisiejsze popołudnie wybrała na stanowczą rozmowę z Andrzejem i w tym celu oboje zniknęli zaraz po lunchu. W tym celu przybyli teraz konno do ruin.

Andrzej Kaszowski zauważył wprawdzie od dawna, a w każdym razie od jakiego tygodnia, że posiada rywala w osobie Karola, jednakże mając słowo i wzajemność Krzysią, nie dbał o nic, lekcewał zupełnie niebezpieczeństwo. Nie wiedział i nie mógł przecie wiedzieć, co zaszło w tych ruinach przed czterema tygodniami, nie wiedział, że przez swoją krewkość, przez czyn gwałtowny, oddał się biedny pan August w ręce Dawidowicza, który godnie pseudoredaktora Dachsbergera umiał zastąpić w swoich poczynaniach. Nie wiedział wreszcie, że skutkiem tego straci Krzysię, że ona już innemu przyrzeczona.

Toteż Andrzej był raczej skłonny przypuszczać, że powodem smutku ukochanej jest obawa o zdrowie rodzica i aby jej myśli w inną odciągnąć stronę, począł

prosić, aby dokończyła opowieści o dziejach Beatrycze Herburtowej.

— Wprawdzie wówczas — mówił, wiążąc oba wierzchowce w pobliżu pamiętnych trzech dębów — opowiadałaś w szerszym gronie słuchaczy i wypadaloby, abyś przy nich swą opowieść skończyła, lecz z drugiej strony, jest to niepotrzebne. Staruszek oraz panna Jadzia, znają dobrze dzieje pięknej Beatrycze, Karola ta historia nie interesowała zbytnio, jak to sam mówił. A ja czekam tyle czasu, czekam cierpliwie. Tydzień mija za tygodniem i nigdy się nie trafia okazja. Albo tańczymy, albo gramy w karty czy mah-jonga, albo ktoś przyjedzie, albo robimy wycieczkę i nigdy nie ma sposobności. Wprawdzie do końca wakacji jeszcze daleko, ale przyrzekłem połowę z nich spędzić u krewnych. Pożegnamy się niebawem, kochana Krzysiu... dlatego też nie odmawiaj mej prośbie.

— Pożegnamy się niebawem — powtórzyła Krystyna bezdźwięcznie, jakby w zamyśleniu.

— Ale na jesieni wrócę... — dodał Andrzej znacząco i pochwycawszy obie dłonie dziewczyny

patrzył jej prosto w twarz rozkochanym wzrokiem. Krzysia spuściła oczy, wlepiając je w ziemię, a kiedy młodzieniec pociągnął ją lekko ku sobie, przytuliła się doń całym ciałem, z największym wysiłkiem powstrzymując wybuch spazmatycznego płaczu.

Przelotnie tylko spotkały się ich usta. Potem ona uwolniła się łagodnie z uścisku jego ramion, podeszła do swego ulubionego głązu przy dębach i usiadła, aby snuć swą opowieść o dalszych losach Beatrycze. Andrzej rzucił się na trawę, brodę wsparł na dłoniach, tak jak wówczas w noc księżycową, kiedy serce jego po raz pierwszy poczuło dziwne wzruszenie i skłonność ku pięknej Krystynie. Panna Dobromilska poczęła mówić:

— O ile pomnę, skończyłam w tym miejscu, jak obraz Sandra Botticellego wywołał niesłychaną konsternację wśród rodziny Herburtów i rozmaite domysły, uśmieшки gości weselnych...

Następne dni zeszły dumnej, pięknej a niewinnej Beatrycze na cichym cierpieniu. Marek Pazzi, rodzic jej umiłowany, leżał bez duszy na łożu boleści i niezbyt wiele miano nadziei, że uda się go zachować przy życiu.

Goście, kумы, sąsiedzi porozjeżdżali się co do jednego. Pozostała tylko najbliższa rodzina która dnie całe spędzała na poufnych naradach. Rej przy tym wodził oraz krzyczał najgłośniej Zebrzyd Herburt, dla którego wodą na młyn był przykry incydent z obrazem. Proponował więc, aby starać się natychmiast o unieważnienie, względnie rozwiązanie małżeństwa, co nie sprzeciwiało się przepisom prawa kościelnego, jako że *matrimonium non fuit consummatum*.

Ostatnie słowa wypowiedziała Krzysia niezmiernie cicho i dyskretnie, a Andrzej pomyślał sobie natychmiast, że będzie miał żonę wszechstronnie wykształconą, skoro zna nawet prawo kanoniczne.

Ochłonawszy z pewnego zawstydzenia, ciągnęła Krzysia dalej:

— Surowy kasztelan, patriarcha rodu, był zdania, że należałoby pannę zamknąć do klasztoru, ojca jej przepędzić na cztery wiatry po wyzdrowieniu, a Krzych powinien ruszyć na wyprawę krzyżową przeciw Osmanom.

Jednakże sprzeciwił się obu opiniom syn kasztelana, ksiądz biskup Maciej, który poznał w czasie

spowiedzi przedślubnej czyste serce Włoszki i wietrzył intrygę Medyceuszów oraz ich narzędzia, kawalera Soderiniego. Mądry kapłan wezwał do siebie Beatrycze, miał z nią długą rozmowę, po której zbył resztek podejrzeń i małżonkowie pojednali się ze sobą, ku wielkiemu niezadowoleniu Zebrzyda.

Giovanni Soderini ulotnił się tak szybko, że pozostawił nawet w zamku swoich ludzi, a w szczególności mrukliwego eskulapa Baldassarego. Dzień później wyjechał Zebrzyd do swoich majątków w Lubelskiem. Biskup, wraz z ojcem zabawili jeszcze miesiąc cały w Niedźwiedzim Łbie. Wyruszyli w podróż dopiero kiedy minęły śnieżne zamiecie. Wyruszyli z radością w sercach, bo przez te pięć niedziel byli świadkami zgodnego, oraz przykładowego pożycia małżonków. „Pogańskie malowidło” uwiózł biskup ze sobą do Przemyśla, obiecując, że po sporządzeniu odpowiedniej draperii, obraz do zamku Krzysztofów odeśle.

Zdawać się mogło, że po zażegnaniu burzy, szczęście i spokój nastaną w Niedźwiedzim Łbie, gdyż Krzysztof, poznawszy niewinność swej małżonki,

spozierał na nią po dawnemu rozkochanym wzrokiem i świata poza nią nie widział, a Marek Pazzi, widząc szczęśliwy obrót całej sprawy, począł przychodzić do siebie i całe wieczory spędzał na gawędach z córą oraz zięciem dostojnym.

Jedna tylko Beatrycze, wbrew skłonnościom serca za mąż wydana, czuła się bardzo a bardzo nieszczęśliwą, jednakże przez wzgląd na ojca nie dawała tego poznać po sobie i w duszy boleść tłumiała. Czas wszelkie goi rany i jak niegdyś zdołała wydrzeć z serca obraz rycerskiego Giuliana De' Medici, tak teraz poczęły się zwolna zacierać wspomnienia słodkich spotkań z Leszkiem Tatarczukiem. Przypuszczała biedna, że kiedyś zapomni o nim zupełnie, że oswoi się ze swym położeniem, że przywiązanie do męża, wdzięczność za wszystko dobre, co dla niej, co dla ojca jej działał, w miłość się zdoła przemienić.

Aż pewnego ranka cios w nią ugodził bolesny.

Było to czasu roztopów, kiedy wezbrane górskie strumienie pędziły z szumem w doliny, kiedy wody rzek, nie mogąc się pomieścić w łożyskach, poczęły występować ze swych koryt i zalewać łąki, pola, lasy

nżej położone, kiedy przez jary, wąwozy, wdarły się od południa, od Węgier sąsiednich pierwsze podmuchy wiosny, pierwsze powiewy ciepłego wiatru.

Krzysztofowie spali jeszcze w małżeńskiej komnacie, kiedy hałas się znaczny uczynił, bieganie, rwetes, krzątania bezładna.

W spokojnym zamku popełniono ohydną zbrodnię.

Marek Pazzi, nieszczęśliwy wygnaniec ze swojej słonecznej ojczyzny, nie żył. Zginął od trucizny, na co wskazywała zielonkawa cera twarzy, szerniały język daleko z ust zwisający, oczy podkrążone czarnymi obwódkami i kłęby piany na wargach.

Uchylona brama wjazdowa, a przy niej pokłute sztyletami ciała dwóch wartowników, wskazywały drogę, którą zbiegli mordercy. Jakoż niebawem doniesiono z izb czeladnych, że drzwi komnaty, w której sypiał eskulap Baldassare oraz dwaj służący włoscy Soderiniego, są silnie zaparte. Po wyważeniu ich okazało się, że trzech mieszkańcy znikli, że prawdopodobnie wyszli przez okno. Spostrzeżono też niebawem brak pięciu najlepszych rumaków, jakie się w stajniach dworskich znajdowały. Nie było więc

najmniejszej wątpliwości, kto jest sprawcą potrójnego morderstwa.

Krzysztof Herburt sam stanął na czele pościgu. Po śladach, jakie podkowy koni wycisnęły na rozmięklej ziemi, odgadł szybko, że skrytobójcy zmierzają w stronę Krakowa, na zachód od zamku. Równie szybko wykalkulował też w myśli, że uciekający napotkają zaraz na wstępie swej drogi nieprzebytą przeszkodę, którą będą wezbrane nurty Sanu.

Tak się też istotnie stało.

Nie mogąc przebyć wpław szeroko rozlanej rzeki, posuwali się mordercy z jej biegiem i trzeciego dnia wpadli w ręce pogoni. Związanych postronkami odstawiono do Niedźwiedziego Łba, a po pogrzebaniu Marka, odprawił nad nimi sąd sam Krzysztof.

Zaczął się od tortur wymyślnych.

Baldassare, człek ponury, bez żadnego polotu myśli, działał z ślepym uporem wedle wskazówek swego pana, Giovanniego Soderiniego. W myśl tych instrukcji, miotał przeróżne oszczerstwa na otrutego florentyńczyka i na jego córkę. W czasie mąk najstraszniejszych, przyznał się w zupełności do

popelnionej zbrodni, jednakże zeznał równocześnie, że powszechnie było wiadome we Florencji, iż Beatrycze była kochanką Giuliana, że chociaż może z powodu jej młodego wówczas wieku do ostateczności nie doszło, to jednak na inne poufałości i pieszczoty pozwalali sobie piękni kochankowie w zupełności, a w każdym razie tak Giuliano jak i mistrz Botticelli ją rozebraną z szat oglądali.

Baldassare sądził, że odwracając gniew surowego senatora od własnej osoby i judząc go przeciwko Beatrycze, wyniesie głowę przynajmniej całą. O tym zapewniał go kilkakrotnie Soderini, który przebywał w pobliżu zamku, w gościnie u Leszka Tatarczuka i nie jeden raz znosił się z swoimi ludźmi. Soderini wiedział również dobrze, że Leszek nie uzczyłby u siebie schronienia zbirom, więc polecił eskulapowi, po dokonaniu zbrodni uciekać w stronę Krakowa, gdzie się mieli spotkać i razem po przyrzeczoną nagrodę do Wawrzyńca Medyceusza powracać. Tak więc zapewnił Soderini swoje ślepe narzędzie, że gdyby nawet wpadł w ręce Herburtów, to ujdzie żywy, byleby jak najwięcej nałgał na Bogu ducha winną niewiastę. Chytry

Soderini nie wierzył w to oczywiście i w duchu życzył swemu pomocnikowi miecza katowskiego, nie chcąc się z nikim dzielić wynagrodzeniem, jakie książe Florencji przyobiecał. Poza tym wszelkie oszczerstwa wypowiedziane przez ludzi męczonych torturami, a więc uchodzące za jedynie wiarygodne zeznania, powinny były doprowadzić do zerwania pomiędzy małżonkami i ułatwić zgładzenie pięknej Beatrycze, ostatniego przedstawiciela rodu Pazzich, rodu skazanego na bezwzględną zagładę.

Przewidywania chytrego Włocha spełniły się w zupełności.

Krzysztof Herbut do przesyty, do obrzydzenia napatrzył się rozluźnienia obyczajów, jakie przyniosło Odrodzenie pięknej Italii, jakie przyniosło dzięki ludziom przewrotnym, boć samo Odrodzenie było przełomową chwilą w dziejach ludzkości, było rzeczywistym odrodzeniem malarstwa, rzeźby, poezji i w ogóle piękna, było cudną jutrzeńką różanopalcą po długiej nocy ponurych wieków średnich więcej barbarzyńskich niż starożytność.

Krzysztof, w czasie swego na dwór papieski

posłowania, zwiedził bez mała całą Italię i widział zgniliznę moralną, zepsucie, swobodę nadmierną, swawolę nawet wśród młodzieży. Sam dał się początkowo unosić prądowi, sam brał udział w orgiach z nieletnimi kurtyzanami, lecz potem zbrzydło mu to, splunął ze wzdargą i wszedł w towarzystwo ludzi poważnych, statecznych, jako że i wiek miał po temu.

Krzysztof rozumiał więc dobrze, że Beatrycze mogła być taka sama, jak siostr jej tysiące, że miała do tego sposobność, warunki, okazje, otoczenie, przykład zachęcający wśród rówieśnic. Wierzył święcie, że człowiek wzięty na tortury mówi prawdę, że musi prawdę powiedzieć. I każde słowo męczonogo Baltazara, każde jego nowe oszczerstwo, sączyło kroplę po kropli goryczy w podejrzliwe serce małżonka Włoszki. Wreszcie przebrała się miara jego cierpliwości i uciekł z placu kaźni.

Przywódca nadwornego hufca pana zamku, zajął się dopilnowaniem surowego wyroku.

Więc eskulapa i jego dwóch pomocników odziano w grube futra baranie, aby nie zmarzli przed czasem, na wypadek gdyby przymrozki w nocy chwyciły. Potem

posmarowano im twarze oraz głowy grubą warstwą lipowego miodu, wreszcie przywiązano ich grubymi powrozami do trzech pali wbitych w pewnej odległości od zewnętrznych murów zamczyska.

Łowcy zamkowi znający dobrze kryjówki misiów porozrzucali plastry miodu po ścieżkach, które zwierzęta chadzały, a porozrzucali w ten sposób, że wszelkie drogi wiodły do słupów, gdzie drżeli z trwogi trzej delikwenci, nie odgadujący zrazu celu tych przygotowań.

Aż przyszła noc straszna...

Ruszyły ogłoszone niedźwiedzie ze swych mrocznych kryjówek. Natrafiły wnet na leżące tu i ówdzie plastry, które tylko zaostrzyły ich apetyt. Poszły po śladach, od plastra do plastra, aż wyłoniły się z mroków leśnych na nieosłoniętą przestrzeń przed zamkiem. Na murach czekały tłumy czeladzi, pajuków, dworzan, giermków, służby wszelakiej, żadnej nie było jakiego widowiska.

A w komnacie małżeńskiej, opuszczona przez zagniewanego męża, powiadomiona od służek o wyroku, siedziała Beatrycze smutnie zadumana.

Nagle krzyk krew w żyłach mrozący rozległ się gdzieś poza oknami i poprzez szyby, poprzez zasłone, wniknął do komnaty.

— Co to? — zawołała Włoszka, zrywając się z miejsca.

— Miś wyszedł z lasu — odparła jedna ze służek. Nie odwróciła przy tym głowy, przylepiona do okna w wystającym wykuszu, z wzrokiem utkwionym w przestrzeń zalaną światłem księżycowym. Dopiero po jakiejś chwili dodała:

— Blask od świec szkodzi mi w patrzeniu.

— Słupy widać? — spytała pani.

— Jako na dłoni.

Wówczas Beatrycze podeszła szybko do dwóch dziewięcioramiennych kandelabrow, zdmuchnęła jarzące się świece i przybiegła do służki. Aby lepiej widzieć, otworzy okno na zawiasach osadzone. Fala zimnego powietrza wpadła z pola i uderzyła niby strumień górskiej wody, w rozgrzane ciepłą atmosferą komnaty, w rozgorączkowane niewiasty.

U stóp zamku, poza murów obrębem, rozpoczęła się krwawa tragedia, widowisko okrutne. Za starą,

olbrzymią niedźwiedzicą wysunęły się trzy młode, a potem kilka średnich. Łapczywie pożerały pozostawione przysmaki, spozierając spode łba na drących się wniebogłosy skazańców.

Wreszcie stara niedźwiedzica podeszła do najbardziej ku bramie wysuniętego słupa, obwąchała przezornie związanego eskulapa, dźwignęła się na tylne łapy, przednie oparła na piersiach półżywego Włocha i gorącym jęzorem liznęła go po twarzy. Baldassare przestał krzyczeć. Widzowie z zamku myśleli, że zbir zemdlął z przerażenia, lecz wkrótce ujrzeli, że rusza się nadal, że wykręca i usuwa głowę przed niebezpieczną pieszczotą zwierzęcia.

Podrażniony oporem miś, mruknął donośnie, silniej nacisnął klatkę piersiową skazańca i ugryzł go w ramię. Baldassare począć ryczeć nieludzko, a po chwili uciał nagle zduszonym charkotem.

— Dobrze!... dobrze!... — mówiła Beatrycze z mściwymi błyskami swych pięknych oczu — za śmierć mego ojca!... za moją krzywdę!...

W jakiś czas potem umilkł na zawsze drugi zbrodniarz. Poszarpane kłami zwierząt sznury puściły i

niedźwiedzie poczęły włóczyć martwe ciała w stronę świerków. Trzeci Włoch był silniej snadź przywiązany. Tego oporządziły na miejscu, przy jego palu męczeńskim.

Beatrycze zachłysnęła się nagle zimnem powietrzem i zakaszła raz, drugi, trzeci. Właśnie chciała się cofnąć od okna, nasyciwszy oczy zemstą, kiedy ze szczytu wieży, blisko komnat się wznoszącej, zabrzmiał surowy bas Krzysztofa Herburtą:

— Taka kara spotka każdego, któryby...

Dalszych słów nie słyszała już Włoszka, bo zamroczyło ją silnie i padła na wznak, na ręce przestraszonej służki.

Błady miesiąc nie mógł też znieść dłużej okrutnego widoku, więc zakrył się gęstym szalem obłoków. Gdzieś w dali zaczęły wyc wilki, śpiesząc po ochłapy, jakie pozostały po uczcie królów puszczy leśnej, wielkich karpackich niedźwiedzi.

Beatrycze zaziębiła się poważnie w ową noc pamiętną. Dwa tygodnie przeleżała w ciężkiej gorączce, a kiedy przyszła trochę do siebie, dowiedziała się, że Krzysztof z poczem zbrojnych wyjechał na dwór

królewski. Zamiast pożegnania pozostawił swej małżonce list opatrzony pieczęciami, który o nową rozpacz biedną Beatrycę przyprawił. Odczytywała ów list kilkakrotnie, nie wierząc oczom, że dobry, zacny Krzysztof był zdolny do wypisania tego wszystkiego. Bolały ją wyrzuty, wymówki, rumieńce oburzenia wywoływały na jej twarzy niesprawiedliwe zarzuty, posądzenia i przymówki do Giuliana. Wreszcie duma wzięła górę nad chwilowym przygnębieniem.

Zacięła się w sobie, list wrzuciła w płomień kominka i choć bardzo jeszcze osłabiona po chorobie, powstała z łóżka.

Zaczął się pasmo dni szarych, nudnych, bezbarwnych i smutnych.

W zamku pozostała garść piechoty pod dowództwem burgrabi, Węgrzyna niezwykle na złoto łasego.

I nie przypuszczała nic Beatrycze, że za jej plecami rozpoczęły się jakieś tajemne konszachty pomiędzy Leszkiem-Tataczukiem a dowódcą załogi zamkowej, że pośrednikiem w tych knowaniach jest dybiący na jej zgubę, chytry rodak Giovanni Soderini.

Tymczasem pierzchy już tylne straże zimy. Cudna wiosna objęła świat w niepodzielne panowanie. Noce były ciepłe, pogodne. Beatrycze nie zamykała okien i całymi godzinami leżąc na łożu, przysłuchiwała się pieniom słowików. Przy tym niezrównanym śpiewie zasypiała, nie bacząc, że zdradliwa jest ciepłota polskich nocy wiosennych, że inny tu klimat niż w rozświetnionej Italii. Szybko też przeziębła się po raz wtóry i choroba zaczęła robić postępy.

Pewnej nocy opłotła ją sieć snów tak pięknych, jak piękne bywają tylko sny. W złocistych mirażach widziała swą ojczyznę, w kwiatkach tonące miasto rodzinne, widziała dom rodzicielski, ulice Florencji, potem gaje pomarańczowe, widziała umiłowanego Giuliana u jej stóp kornie klęczącego, czuła woń kwiatów upojną, słyszała rzewne dźwięki fletni. Jedno tylko było dziwne niezmiernie w tym sennym marzeniu, a mianowicie Giuliano miał twarz Leszka-Tataarczuka i rysy jego, i głos, i sposób przemawiania. Poza tym całe tło stanowiła czarująca przyroda włoska, a sen był tak bardzo do jawy podobny, że czuła nawet dokładnie posmak pocałunków kochanka.

Wówczas ocknęła się nagle...

Rozwarła szeroko oczy i znieruchomiała od lęku.

U jej wezglowia siedział ktoś na łożu. W świetle lampek oliwnych poznała uśmiechniętą twarz Leszka. Chciała się zerwać, chciała zawołać na służkę w przyległej komnacie nocującą, lecz w tejże samej chwili słodkie wargi kochanka zamknęły pocałunkiem jej usta do krzyku otwarte, a męskie jego ramiona w pół kibic jej oplotły jak węże.

Kiedy się później zbudziła, słońce było już bardzo wysoko na niebie. Przypomniła przejścia minionej nocy i wraz z lękiem, jaki jej padł na piersi młyńskim kamieniem, przyszła na nią jakaś niemoc, ociążałość rozkoszna, jakaś słodka lubość. Nocne widziadła, wspomnienia spletały się razem w chaos tak zawiły, że zdawało jej się, iż wszystko snem tylko było, a nie jawą, z której trzeba się było spowiadać i przez którą trzeba było żyć w ustawicznej udręce, obawie przed karą za złamanie wiary mężowi.

Lecz w drugą noc obudziło ją skrzypnięcie drzwi. Ujrzała wchodzącego na palcach Leszka. Poznała teraz, że nie snem lecz rzeczywistością były słodkie

przeżycia wczorajsze. Poznała, a przecież nie przyzwalała okrzykiem dziewcząt służebnych, nie poleciła odejść intruzowi. Temperament południowy, gorąca włoska krew i tęsknota zwyciężyły bojaźń oraz wszelkie skrupuły. I wiele, wiele jeszcze było tych nocy cudnych, wiosennych...

Tymczasem Soderini opuścił dwór gościnnego Leszka, pożegnał gospodarza, oświadczając, że do Włoch ojczystych zamierza powrócić. W rzeczywistości jednak udał się w Lubelskie, do majątności Zebrzyda Herburtów, o którym wiedział, że najwięcej jest nieprzychylny Włoszce z całej rodziny Herburtów. Soderini działał roztropnie, ostrożnie, a zatem powoli. I podróże w owych czasach odbywały się nie tak jak dzisiaj, dość, że dopiero późną jesienią zjechali się w Przemyślu członkowie rodu, poruszeni do głębi wiadomością przywiezioną przez Zebrzydę. Soderini nie oszczędził nawet dowódcy załogi Niedźwiedziego Łba, owego Węgrzyna, który w zamian za sute wynagrodzenie umiał oczy na noc zamykać, a otwierać natomiast tajemne przejście podziemnego lochu, którądy gach się zakradał. Soderini

posunął swą zuchwałość do tego stopnia, że przybył także do Przemyśla i przyrzekł obwinionym osobom prawdę w żywe oczy wygarnąć, jeśli zajdzie potrzeba, jeśli się będą wypierały.

Strapił się biskup Maciej tymi nowinami, a wspomniawszy sobie wyznaną na spowiedzi przedślubnej skłonność żony bratańca ku Leszkowi, zaczął sam także wierzyć w prawdziwość delacji.

Wysłano gońców do Krakowa, po Krzysztofa, nie podając dla ostrożności w liście prawdziwych przyczyn wezwania.

A kiedy spadły śniegi grudniowe, na krótko przed świętami Bożego Narodzenia, przyszła do Przemyśla wieść, że Beatrycze Herburtowa urodziła syna. Pochmurne twarze Herburtów sposepniały jak noc. Soderini ręce zacierał radośnie, wierząc już teraz niezłomie, że jego intryga wyda owoce, a hojność księcia Florencji wynagrodzi mu trudy i podróże w tej lesistej, północnej krainie.

Koło Trzech Króli zjechał z Krakowa do Przemyśla wezwany przez rodzinę i równocześnie przez żonę Krzysztof Herburt.

Pierwsze wezwanie było dlań obojętne, a w każdym razie nie interesowało go zbyt, lecz drugie ucieszyło go przeogromnie i dobrze usposobiło dla małżonki, która dotychczas była jakby w niełasce. Lecz radość tę miał mu wnet zatruć jad straszliwych podejrzeń, nowych podejrzeń. Słowo za słowem wpadało przez uszy do odrętwiałego mózgu, sączyło się do serca zbolełego, dopełniając kielicha goryczy. Ani jednym skurczem twarzy nie dał poznać jak cierpi i nie dał z siebie widowiska oczom Zebrzyda, ani Soderiniego, który w obawie przed gwałtownością Krzysztofa, trzymał się wciąż w pobliżu księdza biskupa i spoza jego szerokich pleców strzygł oczyma na wszystkie strony.

Znowu zaczęły się przewlekłe narady, jak należy postąpić. Zebrzyd doradzał, aby poprzestać na zeznaniach delatora Soderiniego i bez żadnych korowodów ukarać winnych wedle praw krajowych dla cudzołózców, a kiedy tę radę odrzucono, proponował, aby przyczać się gdzieś w pobliżu Niedźwiedziego Łba a gacha in flagranti przyłapać. Lecz takiemu załatwieniu sprawy sprzeciwił się sam

pokrzywdzony małżonek, jako nieliczącemu, niegodnemu męża, który godności senatorskie piastuje. Ku ogromnemu niezadowoleniu Zebrzyda i strachowi Włocha, wybrał drogę prostą, uczciwą. Miał tedy zapowiedzieć swój przyjazd otwarcie, powrócić jak gdyby nigdy nic do zamku, przyaresztować bez zwracania uwagi burgrabię i oczekiwać przyjazdu krewniaków z okazji chrzcin syna. Potem na skutek oficjalnej delacji Soderiniego, miał się odbyć sąd nad wiarołomną małżonką oraz sprzedajnym przywódcą załogi. Nad Leszkiem żadna władza ani jurysdykcja Krzysztofowi nie przysługiwała, a nie chcąc równocześnie brudów rodzinnych prać w sądach publicznych, postanowił dopiero później właściwą zemstę wyrzucić na uwodzicielu.

Biskup Maciej przyklasnął pomysłowi, zastrzegł jednak, że brataniec jako strona zainteresowana, pokrzywdzona, nie może być równocześnie sędzią. Zgodzono się więc, że sądzić będzie sam biskup i umówiono termin przyjazdu do Niedźwiedziego Łba. Krzysztof wyruszył w drogę zaraz nazajutrz. Po przyjeździe udał się z pogodną lecz surową twarzą do

komnat małżonki, aby ją powitać i zobaczyć syna, potem cichaczem uwięził burgrabiego, osadził go w lochu i czekał.

Dziesięć dni później zjechali Herburtowie. Wszystko odbyło się wedle ustalonego planu. Soderini wobec wszystkich krewniaków powtórzył swoje ciężkie oskarżenie, oświadczając gotowość poparcia ich przysięgą.

— *Audiat et altera pars* — rzekł biskup i polecił sprowadzić burgrabiego, a ukryć delatora. Los jednak sprzyjał przywódcy załogi zamkowej, bo wchodząc do sali pod strażą, dojrzał bystryimi oczami wążącego na chórek Soderiniego. W jednej chwili domyślił się, za co go uwięziono, i powróciła mu pewna mina. Na zapytanie biskupa, czy w czasie nieobecności pana zamku wpuszczał w obręb murów kogo obcego, odparł, że nie uczynił tego, chociaż go namawiano i usiłowano skusić złotem.

— A więc jednak namawiano cię do tego. Któż był tym kusicielem? — zapytał biskup Maciej.

— Italczyk, który malowidło wielkie przywiózł na wesele pana mojego, a potem zbiegł z zamku i schronił

się do Leszka-Tatarczuka.

Na takie dictum wielka konsternacja zapanowała wśród zebranych. Przy konfrontacji dwaj krewcy południowcy doskakiwali do siebie jak koguty, a pacholkiowie dobrze ich trzymać musieli. I trafiła kosa na kamień. Węgier, zapewne potomek jakiegoś wojownika z hord Batu-chana, ze wschodnią przebiegłością wykręcał się z każdej opresji, z każdego podchwytliwego pytania i sypał bez litości Włocha. Przechytrzył Soderiniego. Obaj rozumieli doskonale, że jeden musi nałożyć głowę, więc bronili się z zaciętością, atakowali zajadle.

Po całodniowych badaniach, wezwano Beatrycze przed forum sądu rodzinnego.

Ujrawszy Węgra w łańcuchach, a Soderiniego przy boku Zebrzyda, pobladła straszliwie. Domyśliła się wszystkiego. Biskup Maciej zwrócił się do niej w słowach łagodnych, ojcowskich, tłumacząc, że prawda i tak się wydać musi, a przyznanie się złagodzi nieuniknioną karę. Potem Soderini powtórzył swe oskarżenie, a Węgrzyn zaprzysiągł, że delator łąze co do joty. Krzywoprzysięstwo burgrabiego ośmieliło

Beatrycze. Z oburzeniem wyparła się wszelkiej winy i zażądała kary na oszczerców.

— Możesz li przysiąc na Mękę Chrystusową, że jesteś bez winy jako rzekłaś przed chwilą?

Beatrycze zachwiała się na nogach. Złożyć świadomie fałszywą przysięgę było straszną zbrodnią, za którą trzeba by odpokutować nie tylko wieczystą męką w piekle, ale za którą trzeba by już w tym życiu torturami i głową zapłacić.

Ujrzała jak przez mgłę krucyfiks, dwie świece płonące, ujrzała smutne oblicze męża, łagodny wzrok biskupa. W sercu uczuła jakieś wielkie wzruszenie, skruchę. Jak przez mgłę przyplłynęły do jej ucha słowa Macieja Herburta:

— Pomnij córo, że od twoich zeznań zależy życie ludzkie. Śmierć człowieka zaciążyć może na twoim sumieniu. Nie będziesz miała ani dni spokojnych, ani nocy. Snu nigdy nie zaznasz, jeśli skłamiesz. Duch niewinnie skazanego pójdzie za tobą jako cień i nie odstąpi cię nigdy. Nie lękaj się wyznać prawdy. Powiedz nam, czyli pod nieobecność małżonka był gach imieniem Leszek w twojej komnacie. Powiedz,

córko.

Beatrycze wsparła się na stole i oczy przymknęła. Córko... Ktoś powiedział to słowo. Czyżby rodzic Marek? Może on cierpi w tamtym życiu nieznanym, cierpi za winy swoje i rodu całego, którego był głową, a który się splamił zbrodnią podczas pamiętnego spisku przeciw Medyceuszom? Może jej nowa zbrodnia zaciąży ojcu nieznośnie?

Otworzyła powieki. Zdecydowała się. Niech będzie co ma być. Dość występku! Nie chce brać znowu życia ludzkiego na swoje sumienie, chociaż tym człowiekiem jest wróg śmiertelny, delator Soderini.

I już otworzyła usta, aby wyznać wszystko, kiedy gdzieś z puszczy rozległo się żałosne wycie wilka.

Zamarła w bezruchu, zastygła, zdrętwiała.

Przypomniała sobie śmierć okrutną, jaką ponieśli Baldassare i jego dwaj pomocnicy. Przecież teraz właśnie wypada rocznica owej śmierci. I wyobraziła sobie, że w taką noc ponurą ona jest przywiązana do pała męczeńskiego, że z ciemnych chaszczy leśnych wychylają się potężne łby niedźwiedzie, że błyszczą jarzące się ślepie wilków. Niedźwiedzie podchodzą do

słupa, liżą miód, wspinają się na łapy, ostrymi pazurami drą piersi i brzuch w strzępy, a potem kły straszliwe zatapiają w szyi, w twarzy... Drgającego trupa wloką po ziemi, szarpia, ciągną do swych pieczar podziemnych... Och!

— Nie!... — woła Beatrycze wbrew woli.
— Jestem niewinna... przysięgam... na Mękę... Chrystusa.

Ciało zwyciężyło ducha. Bojaźń przed kaźnią, przed śmiercią okrutną, przemogła wszystkie inne uczucia.

Wyczerpana zupełnie osunęła się Beatrycze na stół pobliski i zemdląła. Kiedy ją docucono ujrzała, jak uwolniony z więzów burgrabia zajmował się z wielką skwapliwością uwięzieniem oszczercy Soderiniego.

Krzysztof Herburt podszedł do małżonki, uściskał ją i rzekł:

— Jesteśmy znów pogodzeni. Aby jednak ani cień niechęci w sercach naszych nie pozostał, przystąpimy jutro pospołu do Stołu Pańskiego, w czasie mszy, jaką odprawi stryjec w kaplicy zamkowej.

Powiedział poeta niemiecki, że to jest

przekleństwem zbrodni, iż musi ustawicznie nowe zło rodzić. Jediną osobą duchowną w zamku, w owym dniu. jedynym spowiednikiem był biskup Maciej. Musiała więc Beatrycze brnąć dalej w złem, musiała do zbrodni krzywoprzysięstwa dodać świętokradztwo i grzech na spowiedzi zataić.

Soderiniemu, aby nie mógł oszczerstw głosić w przyszłości, wyrwano język; aby nie mógł oszczerstw miotać pisemnie, ucięto prawą rękę i tak go wolno puszczono za bramę, gdy rany się zabiżniły.

Spokój wrócił do zamku, ale nie wrócił do serca Beatrycze. Do zgryzot duchowych przyłączyły się cierpienia fizyczne. Zeszloroczne przeziębienie odnowiło się powtórnie, przyszła straszna, powolna choroba piersiowa.

Tymczasem nastąpiły ważne wypadki w świecie chrześcijańskim.

Następca Mahometa Drugiego, Bajazet II wtargnął do Mołdawii. Wojewoda Stefan zawezwał pomocy swego pana lennego, Kazimierza Jagiellończyka. Król począł wzywać szlachtę na wyprawę wojenną, począł czynić zaciągi. Niesłychane postępy Osmanów

niepokoili go dawno, teraz zaczynały byc grozne dla samej Polski.

Krzysztof Herburt, starosta kr6lewski, ruszył z orszakiem swoich ludzi do Krakowa. Pośpieszył równiez do szereg6w bratnich Leszek, zwan Tatarczukiem. W zamku pozostala małenka załoga pod dow6dztwem nowego burgrabiego, garść słuźby i chora Beatrycze ze synkiem Maciusiem, takie bowiem na chrzcie imię otrzymał młody Herburt, przez wzgląd i pamieć na zacnego biskupa...

I szybko popłynęły dni... miesiáce... lata...

Aż przyszedł rok 1489.

Dochodziły słuhy, że król Kazimierz ruszył w osiemdziesiąt tysięcy wojska na Pokucie i samem swoim zjawieniem się, powstrzymał zapędy Osmanów, Nie czuli się na siłach najeźdźcy. Lękali się, że męźny monarcha pomści krwawo klęskę pod Warną oraz śmierć brata Władysława...

Pewnego dnia pogodnego ujrzala załoga Niedźwiedziego Łba duzego białego orła, krążącego nad zamkiem. Jakiś piechur najemny węgierski zmierzyl się doń z łuku, lecz obok stojący Polak podbił mu rękę.

— Wara strzelać! — zawołał. — To duch jednego z Herburtów.

I począł szeroko opowiadać zdumionym najemnikom, że wedle podań ludowych każdy z Herburtów po śmierci przemienia się w białego orła, krąży ponad swoim domostwem, a potem płynie na południe, w kierunku Orlej Skały, gdzie spotyka swoich przodków również w orły zamienionych i tam żywot pędzi.

Jakoż orzeł zrobił jeszcze kilka okrążeń nad wieżą, a potem pożegłował na południe.

Miesiąc później przyszła wieść o świetnym zwycięstwie, odniesionym przez królewicza Jana Olbrachta nad Tatarami, pod Kopestrzynem na Podolu i o bohaterskiej śmierci na polu chwały Krzysztofa Herburta.

Wdowa po zabitym staroście dogorywała właśnie. Przybył wezwany przez gońców biskup Maciej, wypowiadał umierającą Włoszkę i zamknął jej powieki.

Beatrycze umarła tedy pojednana z Bogiem a zwłoki jej, stosownie do życzenia wyrażonego przed

śmiercią, odesłano do ojczyznej Florencji. Małego Maciusia zabrał biskup ze sobą do Przemyśla. Zamek oraz włości przyległe objął za małoletniego, Zebrzyd Herburt w posiadanie, a po śmierci Leszka Tatarczuka (który żył jeszcze cztery lata) przypadły mu na mocy dawnej umowy także i te majątności.

Ród Herbutów wygasł mniej więcej w połowie siedemnastego stulecia. Podobno ostatni z rodu, polując w górach z towarzyszami, zaszedł pod Orlą Skalę a ujrzawszy sędziwe białe orły, w przystępie pijackiego humoru wystrzelił z rusznicy do największego ptaka. Chybił oczywiście, a kula odbiwszy się od twardej opoki położyła trupem na miejscu małoletniego syna Herburta. Zrozpaczony ojciec wstąpił do zakonu i na nim skończył się ród złotymi głoskami zapisany w dziejach Rzeczypospolitej. Pozostali tylko krewni po kądzieli, a do tych należeli pochodzący z Węgier Czurryłowie, którzy także wymarli, pozostali wreszcie Krasieńscy i Dobromilscy...

Krzysia przerwała na chwilę, jakby dla odpoczynku, a po chwili tak ciągnęła dalej:

— Na tym właściwie kończy się moje opowiadanie

o dziejach pięknej Włoszki i o Herburtach, ale wedle wierzeń ludowych istnieje jeszcze ciąg dalszy. Więc ponoć oprócz mąk czyścowych, pokutuje duch zmarłej i na ziemi. Wiadomo jest, że po wyjeździe męża na wyprawę wojenną przeciw poganom Beatrycze Herbutowa zaniechała noszenia wspaniałych strojów oraz kosztowności, w których się przedtem lubowała. Wiadomo, że nosiła tylko wielki płaszcz czarny, łańcuchem na piersiach spięty i czarne suknie pod spodem. Toteż legenda chce ją widzieć w takim samym stroju i Czarna Pani, w czarną pelerynę czy płaszcz odziana, ukazuje się niekiedy, zwłaszcza wiosenną porą, krąży w pobliżu ruin zamkowych, około miejsc gdzie popełniła trzy zbrodnie: wiarołomstwo, krzywoprzysięstwo i świętokradztwo. Za pokutę opiekuje się Czarna Pani wszystkimi, którzy pochodzili z pnia Herbutów po mieczu i którzy pochodzą po kądzieli, czuwa nad nimi, ostrzega przed zagrażającymi niebezpieczeństwami, a potem znowu powraca do zamku i znika na jakiś czas.

Tak powiada legenda; tak głośzą baśnie wśród ludu.

Ja oczywiście traktowałam te opowieści jako legendę, ale od czasu jak dowiedziałam się z ust twoich, Jędrusiu, że ona przestrzegła was przed przeprawą przez most podmulony, że ocaliła życie Stasiowi, jedynemu męskiemu potomkowi z linii Dobromilskich (bo ojciec i stryj Hubert już dzieci mieć nie będą), od tego czasu, przyznam ci się, także zaczynam wierzyć w jej posłannictwo tajemnicze, w jej opiekę i dlatego nie obawiam się zupełnie spotkania z nią, jak inni się obawiają. Bez lęku przybywam do tych ruin. Wiem, że od niej nie spotka mnie żadna krzywda, lecz raczej doznam pomocy w razie niebezpieczeństwa.

Krzysia chciała jeszcze dalej mówić, lecz umilkła, zobaczywszy wyraz twarzy Andrzeja. Młody Kaszowski pobladł jak kreda, znieruchomiał i przerażone oczy wlepił w ruiny, gdzieś za plecami opowiadającej.

Zasugerowana tym zachowaniem, odwróciła głowę i z krzykiem zerwała się z głazu.

W wylocie bramy stał czarny jak smoła wierzchowiec a na nim siedziała młoda kobieta odziana w czarną pelerynę aż poza strzemiona spływającą i

spiętą migocącym w słońcu łańcuszkiem. Z odkrytej głowy spadały na lewe ramię włosy czarne jak skrzydło kruka. Przybyła spoglądała długi czas w stronę pary młodych jakby z wielkim zaciekawieniem, potem zawróciła w miejscu wierzchowca i zniknęła w czarnej czeluści bramy.

ROZDZIAŁ XIV

Po śladach

Stary policjant szarpnął jeszcze kilkakrotnie zawieszystego wąsa i rzekł półgłosem:

— Hm!... Tysiąc złotych piechotą me chodzi, ale na cóż sobie robić apetyt? Nasza okolica spokojna. Znam ją na wylot... Ho, ho... O każdej gęsi skradzionej wiedziałbym, gdzie się ukrywa, a co dopiero mówić o człowieku. Tak, tak... Skądże by tu zresztą z Przemyśla załaził.. A psiakość, szkoda... Tysiąc złotych! Słyszysz, Kohut?

— Słyszysz ja, panie komendancie — odparł śpiewnie posterunkowy człapiący dwa kroki poza swym zwierzchnikiem.

— Co mi z tego, że słyszysz, kiedy tego połamanego redaktora nie znajdziemy w naszej parafii.. Piszą, że wysiadł z pociągu w Przemyślu i na tym koniec. Przecież w powietrzu tyle kilometrów nie przeleciał. Ty Kohut myślisz sobie, że poszedł pieszo w okolice i źle myślisz, jak zawsze. Gdzie by taki pan

chodził pieszo. Ot wsiąkł w Przemyślu lub zgoła dalej do Lwowa pojechał, albo gdzie, a ty szukaj wiatru w polu. I tylko ślinę człowiekowi robią na dziesięć niebieskich papierków, których nie uwidzisz za życia w takiej służbie. Zresztą, po kiegoż licha laźby tu w nasze strony? Co miał do szukania?... Ano, służba. Rozesłali pisma na całą Polskę i wszyscy komendanci, jeden w drugiego, jak ja nie przymierzając, myślą, że u siebie właśnie znajdą tego czorta... Albo i te fotografie. Zamazane, niewyraźne... ot spójrzmy raz jeszcze.

Po raz setny zapewne, komendant posterunku Polskiej Policji Państwowej w Olchowej sięgnął do torby i po raz setny zaczął monologować nad fotografią zaginionego.

— To się ma nazywać fotografia!... I z tego ma człowiek być mądry. Phi.. Jedno pewne, że łysy był ten zgubiony redaktor; łysy jak kolano. No i nos też pewny... Duży kinol, zagięty, krzywy. Ani chybi: Żyd. Zresztą i samo nazwisko... Berger... Nie... Jakoś dłużej... Zajrzyjmy do notesu... Aha, Dachsberger... Dachsberger... Jużci, że Żyd, choć piszą wyznania rzymsko-katolickiego. Taki on rzymsko-katolicki, jak

ja prawosławny... No, spojrzysz Kohut, jak ci się widzi ta gęba?

Chudy posterunkowy wytrzeszczył żółte, zepsute zęby w uśmiechu od ucha do ucha:

— Jewrej, panie komendancie — odparł.

— Toż i ja mówię, a ty Kohut nie masz nigdy własnego zdania. Powtarzasz za mną słowo w słowo. Mnie się zaś widzi teraz, że on tak i nie Żyd, ani przechrzta, tylko uczciwy katolik. Jak myślisz, Kohut?

Kohut przyglądał się bardzo szczegółowo fotografii, zerknął na uśmiechniętą fizjognomię zwierzchnika i zwiertzył natychmiast zastawioną pułapkę. To też pokręcił głową przecząco i rzekł z głębokim przekonaniem:

— A tak i on Żyd, panie komendancie.

— Pojętny jesteś — pochwalił protekcyjnie komendant posterunku.

Potem szli polami długi czas w milczeniu, tylko starszy pomrukiwał niekiedy i wzdychał do owego tysiączka, który w postaci dziesięciu nowiusieńkich banknotów stułotowych; zjawiał się przed oczyma niby ułudne miraże fatamorgany, lecz rozpływał się

natychmiast w rozświetlonym powietrzu.

Tak idąc, zbliżyli się do tylnej połaci lasu świerkowego, jaki pokrywał stoki kopicy górskiej, na której szczycie stały ruiny starego zamczyska.

Z leśnej ścieżki wysunął się gajowy z dubeltówką przewieszoną przez ramię. Szybko podszedł do nadchodzących policjantów. Kordialnie przywitał się z komendantem posterunku, z mniejszym wylaniem z jego podwładnym, a przekonawszy się, że tamtym obu również się nigdzie nie spieszy, zaproponował wspólny odpoczynek w cieniu drzew. Zresztą gajowy miał pewien interes do obu przedstawicieli władzy.

Jakoż kiedy legli na trawie i wyczerpali gruntownie temat plotek wioskowych czy niewioskowych, gajowy zaczął z tej beczki:

— Wezwał mnie przedwczoraj hrabia do siebie. Poszedłem więc i pogawędziliśmy ze sobą to i owo, a było tego niemało, gdyż bez mała trzy lata z hrabią nie gadałem, tylko z administratorem. Wicie przecież komendancie, że on wciąż podróżuje po świecie, a kiedy siedzi w pałacu, nie rusza się prawie krokiem.

— Gdzie on podróżuje? Pół roku jak tu siedzę,

wciąż ja go spotykam — wmieszał się Kohut.

Komendant wyjaśnił nieporozumienie:

— Ty, Kohut, wystrzelisz, a nie nabijesz. Ty myślisz o panu z Dobromilówka, a pan gajowy o panu z Żabna. Ten las razem z górą oraz zamkiem, należy do żabnieńskiego pana, a nie do hrabiego Augusta. Siedzisz pół roku w naszych stronach, to i mógłbyś już wiedzieć, co do kogo należy.

Kohut pokiwał głową na znak zdziwienia:

— Skąd tamten znad Sanu włązi tutaj w sam środek majątków tego z Dobromilówka? I skąd ja mogłem o tym wiedzieć?

Gajowy okazał się wyrozumialszy od komendanta.

— Nie ma się co dziwić, że pan nie wiedział, panie posterunkowy — rzekł. Rzeczywiście las włązi klinem w ziemię hrabiego Augusta, a koniuszkiem tego jezora jest zamek. Dziwnie granicę przeprowadzili, ale to podobno z dawnych czasów tak pozostało kiedy żyła jeszcze... Ona. — Tu ściszył głos gajowy i półszepem ciągnął dalej: — Pańska fantazja, nic więcej, lecz wracam do mojej sprawy. Otóż mój pan, co nosa z pałacu prawie nie wystawia, dowiedział się jakimś

sposobem, że durny Wojtek usadowił się na lato w ruinach. Co jemu to szkodzi, że sobie wariat mieszka wśród rozsypanych kamieni, tego nie wiem, dość, że mi przykazał Wojtka stamtąd wyrzucić... Tak ja właśnie chciałem prosić pana komendanta o asystę, bo to z wariatem głupia sprawa... Mądrym powiedziałbym na rozum, ale z takim, jakże tu dojść do końca? Jeszcze mi gotów ubliżyć i co mu zrobię? Będę go bił, czy co? Wariata?... Więc skoro pana komendanta z daleka zobaczyłem, pomyślałem sobie zaraz, że pójdziemy w kompanii i dokonamy... tego... tego... jakże się to podczas wojny mówiło?

— Ewakuacji — podsunął komendant rozkoszując się brzmieniem obcego słowa...

— Otóż to właśnie... ewakuacji.

— Ewakuacji.

— A niechby już nawet było akacji.

Komendant zerknął spode łba w stronę mówiącego i po chwili wycedził z chytrym, domyślnym uśmiechem:

— Tak mi się coś widzi, panie gajowy, że mamy wielkiego pietra iść samemu do ruin.. Co? He?

Gajowy nie umiał ukryć zmieszania, że go przejrzano na wylot, lecz bronił się niezdarnie:

— Ja? Pietra?... Ja bym się miał bać? Przecież, od dziesięciu lat z górą jestem gajowym w tych lasach. Więcej jak sto razy zachodziłem aż pod same mury zamczyska.

— Ale przez bramę jeszcze nie przeszedłem. Co? Che, che, che, che, che!

— Nie przeszedłem, nie przeszedłem — powtarzał niezadowolony z przebiegu rozmowy gajowy. — Jużci, że nie przeszedłem, bo czego tam miałem szukać? Moja rzecz lasu pilnować, a nie kamieni... Ale mnie się znów widzi, że pan komendant sam nie miałby wielkiej ochoty tam się zapuszczać. Che, che, che, che!... Podług siebie sędzę ciebie. Che, che, che, che!

Komendant zrobił minę srodze urażoną:

— Co pan sobie myśli! — zawołał, najeżywszy się groźnie. — Nic mnie wasze głupie zamczysko nie obchodzi i sam pan sobie wariatów wypędzaj, bo to nie moja sprawa, ale gdybym tak dostał rozkaz od swojej władzy, to poszedłbym do ruin o samej północy i do świtania bym tam przesiedział. Nie takie strachy

widziałem w życiu. Ho, ho!

— Ejże, panie komendancie! W nocy by pan poszedł? A ja się założę o trzy kolejki czystej wzmocnionej, że nawet pod wieczór nie odważyłby się komendant na taką wyprawę.

— Panie gajowy, ja nie jestem Kohut. Mnie pan w butelkę nie nabije... Gotów pan zakład przegrać i trzy kolejki postawić, bylebym tylko z panem poszedł.. Ho, ho... Znają takich.

— Wiem co mówię — drażnił gajowy ambicję policjanta. — Jeżeli się pan wykręca od tej asysty, to wezmę sobie kilku ludzi i już. Ale panu nie radzę po życzliwości takich słów mówić, bo Ją pan może spotkać... Znowu się pokazuje w tym roku... Przedtem wiedziałem o niej tylko ze słyszenia, ale tego lata sam ją widziałem dwa razy.

Kohutowi oczy na wierzch wylazły od ciekawości, a komendant zmrużył powieki filuternie:

— Widział Ją pan dwa razy?... Może pan to babci powiedzieć, ale nie mnie... Che, che, che, che!... Ducha widział?... Jakżem jeszcze za cesarskich czasów odbywał służbę w Bośni, co się wtedy na wojnę ze

Serbią pierwszy raz zanosilo, tez mi powiedziano, ze w pewnym wawozie granicznym straszyc. No i co? Poszedlem sobie z jeszcze jednym morowcem, schowalismy sie za skalami i nakrylimy ducha razem z jego cudacznym prześcieradlem. Okazalo sie, ze to byl przemytnik, ktory glupich straznikow w ten sposob odstrasza. I ta wasza Czarna Pani, czy jak jej tam, to albo babskie gadanie, albo jaka panna, ktorej sie w glowie przewrocilo i glupich straszyc. Zobaczylyby pan, jak ja bym sie do niej zabral.

Gajowy wziął sobie do serca tę przymówkę, że Czarna Pani głupich straszyc, przez co i jego do rzędu głupców zaliczano. Zabral się więc do upartego komendanta z innej beczki:

— Mniejsza z tym. Powiem panu jednak coś, co pana jako komendanta interesować powinno. Czy pan wie o tym, że w tych lasach kręci się od miesiąca jakiś obcy człowiek?

— Obcy człowiek? Panie gajowy, nie rób pan ze mnie także wariata. Trzy dni, mógłby się ktoś obcy ukrywać, ale miesiąc? Cha, cha, cha! To mi się podoba... Ja wiem o każdym obcym wróblu, co z

rejonu innych posterunków przyleci, a co dopiero o człowieku.

Pomimo jednak tej pewności siebie, pomimo przechwałki o wróblach zapytał komendant od niechcienia:

— I cóż to za obcy człowiek się panu przywidział?

Gajowy poczuł, że ryba chwyciła przynętę.

— Ech, skoro pan tak dobrze wie o wszystkim — odparł z uśmiechem — to panu nowiny nie powiem. Chciałem tylko spełnić swój obowiązek, gdyż nie jesteśmy zbyt oddaleni od czeskiej granicy, a diabeł nie śpi. Myślałem, że to szpieg jaki, bo ubranie na nim, choć obłocone, ale porządne. No, skoro pan komendant już wie o tym człowieku, to nie będę sobie psuł gęby... Niech sobie ten łysoń po lasach dalej spaceruje.

Kohut zerwał się na równe nogi:

— łysoń? — zapytał...

— Cicho siedź, dumny — rzekł ostro komendant, odgadując tok myśli podwładnego, a zwracając się do gajowego, rzekł z wielką powagą:

— Panie gajowy, pan był w wojsku i wie pan

chyba, co to jest tajemnica służbowa. Ja tu śledzę od kilku dni za jednym, ale nie chciałem panu od razu mówić... Skoro pan jednak sam pierwszy tę sprawę poruszył, to żądam od pana wyjaśnienia, gdzie się ów człowiek ukrywa?

— Czy to potrzebne, skoro pan wie o wszystkim?
— zakpił tamten.

— Wiedzieć wiem, że jest, ale nie wiem gdzie. Jeżeli pan zaś nie chce wydać kryjówki, to jest pan współnikiem tego jegomościa.

— Ja? Wspólnikiem?

— Aha, przestraszył się pan. No, dajmy spokój przymówkom i bądźmy przyjaciółmi... Zresztą usługa za usługę... Pomoże mi pan odszukać onego łysonia, to ja z panem pójdę do ruin. Cóż? Zgoda?

— Ależ najchętniej. I nie będzie komendant dwóch dróg odbywał, gdyż obcy przybłęda ukrywa się właśnie w tych ruinach. Widziałem go dwa razy w towarzystwie głupiego Wojtka. Szli drogą do starego zamczyska... Mnie się widzi przecież, że to szpicel, który penetruje okolice. Udaje głupiego, chodzi z głupim, śmieje się głupio. Chodzi zawsze z odkrytą głową, dlatego zaraz

ujrzałem jego łysinę.

— Nie mógłby mi pan opisać tego człowieka?

— Tak z grubsza, owszem. Jest niewysoki, krępy, łysy, a nos ma jak Mosiek Immerglück z karczmy w Olchowej.

— Nasz rydachtor! — zawołał Kohut i zaklaskał w dłonie, lecz umilkł zaraz zmiażdżony srogim spojrzeniem komendanta, który wyjął fotografię i podsunął ją pod sam nos gajowego:

— Czy ten? — zapytał.

— Podobny — odparł gajowy.

— Podobny tylko? — rozczarował się komendant.

— Ten tutaj jest gładki na gębie, a tamten, Wojtków przyjaciel jest obrośnięty na rudo, że wygląda, jakby mu się cała twarz paliła.

— No, bo się nie golił dawno... No, panowie! Dobrze się nam tutaj gwarzyło, a teraz do roboty... Pójdziemy do ruin i tam się przyczaimy, aż dwaj lokatorowie przywędrują... Ja się zajmę tym redaktorem, którego wysledziłem, a ty Kohut pomożesz panu gajowemu wyewakuować durnego Wojtkę. Możesz mu tam wsolić kilka na pamiątkę,

żeby się nie pchał do pańskich ruin... W drogę!...

Komendant posterunku PPP w Olchowej był wesół jak szczygieł. Żartował z Kohuta, który nie wiedzieć z jakiego powodu zrobił minę posepną, żartował z gajowego, kpiał z Czarnej Pani i odgrażał się że ją przyaresztuje przy pierwszej okazji. Miraż dziesięciu niebieskich banknotów mu zniknął teraz zwodniczo i komendant widział się już w posiadaniu upragnionego tysiączka złotych.

Gajowy szedł przodem, komendant stanowił środek „kolumny”, a Kohut pochód zamykał. Przewodnik zaprowadził swych towarzyszy na małą polankę.

— Pójdziemy na przełaj — rzekł. — Stromo trochę będzie, ale za to znacznie bliżej. Wyłonimy się z lasu dopiero przy końcu ślimaka, którego zresztą przetniemy trzy razy w poprzek. Dobrze? A może woli pan iść drogą?

— Nie — odparł strateg. — Na drodze mogliby nas spostrzec i zaszyliby się w mysia dziurę. Prowadź pan na przełaj.

ROZDZIAŁ XV

Czyn szaleńca

Dawidowicz jechał bardzo powoli, zagłębiając się w swych myślach i kalkulacjach. Sprawa nie posuwała się w takim tempie, jak tego pragnął. Rachuby zaczęły go trochę zawodzić.

Więc przede wszystkim dwukrotne rewanżowe spotkanie przy zielonym stoliku przyniosło mu nowe porażki. Dług honorowy zwiększył się z dwudziestu trzech tysięcy złotych na równe trzydzieści tysięcy i bilet wizytowy opiewający na tę okrągłą sumkę tkwił w portfelu Kaszowskiego, który miał szalone szczęście w kartach, zarówno przy pokerze jak baku.

Więc Krzysia unikała z powodzeniem rozmowy ze swym przyszłym mężem. Przez te sześć dni ani razu nie zdołał z nią zostać na osobności i zrozumiał, że dziewczyna unika go celowo, zauważył, że obrzuca go z daleka ponurymi spojrzeniami, które bynajmniej o sympatii nie świadczą. Pocieszał się w duchu, że w niedalekiej przyszłości oblaskawi dzikusa i ujarzmi

dumną pannę, ale takie pożycie małżeńskie nie uśmiechało mu się zbytnio, pomimo sperand na okazały posąg i jeszcze okazańszyszy spadek w dalszej przyszłości.

Wreszcie pan August stanął okoniem, kiedy Dawidowicz zażądał czterdziestu tysięcy złotych jako zaliczki na poczet posagu. Dla miłej zgody chciał wypłacić szantażyście dziesięć procent tej sumy, w zamian za natychmiastowe wydanie kompromitujących listów wraz z odpisami, które Dawidowicz przy jednej z rozmów zademonstrował. Na taki interes nie mógł Karol przystać już choćby z tej przyczyny, że nazajutrz miał wypłacić Andrzejowi całą przegraną w karty sumę.

Więc sposobił się do generalnej z panem Augustem rozprawy tego popołudnia, kiedy jak na złość nadjechał ksiądz Mazurowicz i namówił starego Dobromilskiego do małej przejażdżki powozem. A stary proboszcz patrzył tak wilkiem w stronę Karola, że ten był pewien, iż pan August swemu powiernikowi i przyjacielowi powiedział o wszystkim, co zaszło między nimi.

Odłożył więc Karol stanowczą rozmowę z przyszłym swym teściem do wieczora i powrócił do

młodsze towarzystwa, kiedy dowiedział się, że Krzysia i Andrzej wyjechali gdzieś konno. Postanowił ich śledzić i już skierował swe kroki ku stajni, kiedy przypomniał sobie listy pozostawione w kufierku. Sądząc wszystkich bliźnich wedle siebie, obawiał się, iż w czasie jego nieobecności może pan August urządzać mu niepożądaną rewizję i zabrać cenne dokumenty. Powrócił zatem do swego pokoju, ulokował wszystkie papiery w portfelu i dopiero wtedy poszedł po konia.

Od Pietrka, małego syna szofera, który bawił się z psiakiem w pobliżu gościńca, dowiedział się, iż panienska z jednym panem co grywa w piłki pojechali w prawo, w stronę lasu. Domyślił się od razu, że romantyczna para podążyła w kierunku romantycznego ustronia, to jest ruin. Toteż przesadził rów przydrożny i na przelaj pospieszył za uciekinierami.

Jeszcze ze dwieście kroków dzieliło go od lasu, kiedy zoczył nagle wyłaniający się spoza krzaków łeb czarnego konia, a potem sylwetkę kobiety, również na czarno ubranej. Przyczał się więc na chwilę za drzewami i śledził ze zdziwieniem amazonkę, która zniknęła po jakimś czasie na tle lasu.

W końcu uśmiechnął się domyślnie i mruknął:

— Czarny płaszcz, koń czarny... hm... Łatwo odgadnąć, że to urodziwa Beatrycze, o której Krzysia tyle opowiadała... Czarna Pani używająca chypre'u... Ha, zrobmy z nią bliższą znajomość... Okazja jest doskonała, bo tę koronkową chusteczkę mam przy sobie, na szczęście.

Wyciągnął z górnej kieszonki marynarki małą jedwabną chusteczkę, powąchał ją, włożył na dawne miejsce i lekkim uderzeniem szpicruty zmusił rumaka do przejścia z stępa w kłus wyciągnięty. Niebawem otoczyły go mroki leśne.

Pamiętał już teraz doskonale drogę do ruin i kiedy przybył do granicznego kamienia, stwierdził, że świerk zasłaniający ujście zamaskowanej ścieżki chwieje się jeszcze.

— Czarna Pani pojechała zatem do swojej rezydencji — pomyślał i wparł konia w gęstwinę. Aby nie płoszyć nieznamym, postanowił jechać teraz całkiem powoli, uwiązać konia przy końcu spiralnie biegnącej drogi, a potem podkraść się pieszo.

Skutkiem tej zmiany taktyki Zosia Dobromilska,

jadąca ostrym klusem oddaliła się znacznie od Dawidowicza i nie przeczuwając, że ją ktoś śledzi, popędziła w górę. W pewnym miejscu drogi rzucił się czarny Szejtan w bok gwałtownie, ale dzielony potężnym razem minął galopem podejrzanę miejsce i wpadł do długiej sieni zamkowej.

Zosia czuła się dzisiaj bezpieczna z dwóch powodów. Po pierwsze słyszała z drugiego pokoju, jak dwa dni temu ojciec jej wydał polecenie gajowemu, aby tenże natychmiast opróżnił ruiny z intruzów, po wtóre uzbroiła się na swą dzisiejszą wyprawę w rewolwer pokaźnych rozmiarów, który przytroczyła, a raczej ukryła w torbie przytroczonej do siodła.

Toteż nie lękała się żadnego spotkania, a kiedy wychyliła się z bramy i ujrzała dwa uwiązane koło dębów wierzchowce, zmarszczyła się gniewnie. Zaraz potem ujrzała siedzącą na głazie pannę ubraną w elegancki strój sportowy i opowiadającą coś młodzieńcowi, który leżał przed nią na trawie.

Cisza, jaka panowała w ruinach, i dobre warunki akustyczne pozwoliły Zosi pochwycić wątek opowiadania. Zrozumiała natychmiast, że mowa jest o

Czarnej Pani. Zosia nie знаła zupełnie swej kuzynki, a raczej siostry rodzonej, i zdziwiła się niezmiernie, kto może znać tak dokładnie historię pięknej Beatrycze.

Była chwila, kiedy chciała ruszyć koniem w stronę trzech dębów i zawrzeć znajomość z nieznaną sobie parą młodych ludzi, którzy zapędzili się w to romantyczne ustronie. Przecież ona była tu panią na swoich śmieciach, jako jedyna córka Huberta Dobromińskiego, jako dziedziczka i spadkobierczyni tych lasów, tego zamczyska.

Ale Zosia, wychowana w klasztornych pensjach, była dość nieśmiała, a przy ojcu-odludku zdziwaczała do reszty. I spostrzegłszy, że owa panna zerwała się z krzykiem z głazu, że z przerażeniem patrzy na czarną postać wychylającą się z bramy zamkowej, nawróciła wierzchowca i wolno wycofała się ze sieni. W zamyśleniu jechała z głową spuszczoną w kierunku ujścia drogi.

Po chwili otoczyły ją po obu stronach świerki lasu i krok za krokiem zbliżała się do jadącego z dołu Dawidowicza. Nie przypuszczała, że kogoś spotka jeszcze podczas dzisiejszej wyprawy, nie przeczuła, że

będzie to straszne spotkanie.

Była blisko owego miejsca, gdzie koń zdradzał przestrah tak wielki, ale pogrążona w dumaniach zapomniała o tym zupełnie.

Nagle Szejtan zarzął, począł przysiądać na zadzie...

Zosia ocknęła się z zamyślenia, sięgnęła ręką do torby, lecz było już za późno.

Spomiędzy dwóch pobliskich świerków wysunęły się długie, zakrzywione palce-szpony, pochwyciły nogę jadącej i silnym szarpnięciem ściągnęły ją ze siodła.

Dziewczyna runęła na ziemię. Zerwała się natychmiast, lecz nogi jej zaplątały się w fałdach olbrzymiej peleryny i upadła powtórnie. Przerażonymi oczyma ujrzała dwóch napastników i ścierpła zupełnie ze strachu. Poznała olbrzymiego dziada, oraz łysego wariata, który siedział w studziencie, gdzie było górne ujście podziemnego ganku.

Łysy siedział teraz na skraju drogi. Bawił się rewolwerem, wybuchając co chwila idiotycznym śmiechem na widok zapasów, jakich był świadkiem. Bo napadnięta jęła się bronić zawzięcie, walecznie. Zrozumiała szybko, że wysoki szaleniec chce ją

wciągnąć w krzaki, więc oburącz uchwyciła się pnia świerkowego, a nogami kopała napastnika z całej siły. Lecz opór rozwścieczył głupiego Wojtka do ostateczności. Rzucił się całym ciężarem na leżącą, przygniótł ją na wznak i zbliżył swą wstrętną, obrośniętą, niemytą od lat mordę do jej pobladłej twarzyczki.

— Na pomoc! — krzyknęła Zosia rozpaczliwie.

Dawidowicz posłyszał szalony tętent rumaka pędzącego z góry. Spoza zakrętu wyłonił się gnający na złamanie karku koń bez jeźdźca. Koń czarny jak noc... Ujrawszy drugiego wierzchowca, zwolnił Szejtan, przystanął; bez trudu dał się schwytać Karolowi, który roześmiał się głośno i szeroko:

— Czarna Pani zgubiła kiedyś chusteczkę naperfumowaną, a dzisiaj siebie samą gdzieś zgubiła — mówił. — No, teraz mi nie ujdiesz piękna amazonko — dodał, uderzając swego wierzchowca obcasami butów. Zdobycznego konia trzymał za uzdę i nie krępując się już więcej obawą spłoszenia nieznajomej, gnał szybko pod górę.

— Na pomoc! — zabrzmiało nagle przeraźliwe

wołanie kobiety.

Zdumiał się bardzo, ale czasu nie tracił. Był szantażystą, łajdakiem skończonym, lecz nie był złym na tyle, aby nie przyjść z pomocą kobiecie, wzywającej rozpaczliwie ratunku.

Konie zdzielone szpicrutą poszły jak wichher.

W mgnieniu oka ujrzał Karol chwiejący się na wszystkie strony świerk. Zsunął się z siodła błyskawicznie. Zarzucił uzdy obu wierzchowców na jakąś gałąź. Skoczył w gęstwinę. Ujrzał rozpostartą na ziemi czarną pelerynę, a na niej dwoje szamocących się z sobą ludzi. Z szybkością pioruna wpadł na wysokiego dziada, ucapił go za kołnierz i precz odrzucił.

Zosia dźwignęła się z ziemi o własnych siłach, podrapana porządnie, zmęczona nierówną walką, lecz zdrowa, nie skaleczona nawet. Głębokim spojrzeniem swych pięknych oczu podziękowała nieoczekiwanemu wybawcy i zarumieniwszy się aż po same uszy, zaczęła pośpiesznie zakrywać peleryną suknię, podartą w strzępy na piersiach.

Dawidowicz zaś ujrzał niesłychane podobieństwo ocalonej dziewczyny do Krzysi, zdumiał się wielce, lecz

w tym momencie spostrzegł, że odrzucony napastnik gotuje się do walki. Jak ryś skoczył do podnoszącego się draba i potężnym uderzeniem kulaka w zęby powalił go powtórnie. Nagle wyrósł przed nim nowy przeciwnik. Pomimo rudego zarostu poznał Dawidowicz jednym rzutem oka Dachsbergera i osłupiał zupełnie. Cofnął się przerażony jak przed widmem. A widmo nie zniknęło uparcie, lecz dzierząc w dłoni rewolwer, cichymi krokami podchodziło coraz bliżej do cofającego się młodzieńca.

I ujrzała Zosia, jak łysy wariat wymierzył z odległości może dwóch kroków w samą twarz młodego wybawcy i szarpnął za cyngiel.

Błysk strzału rozdarł półmrok panujący w gąszczu leśnym.

Huk głośny targnął powietrzem.

Dawidowicz padł w tył na jakiś świerk młody, który ugiął się pod ciężarem ciała, zakołysał się gwałtownie i ostrożnie złożył ciężkie brzemię na ziemi.

Nastały długie sekundy ciszy przeraźliwej, śmiertelnej...

Dachsberger wybuchnął śmiechem szalonej

radości. Ten śmiech opętańczy, nerwy rozdzierający, uśmiech uszczęśliwionego swym postępkiem wariata przywrócił przytomność umysłu leżącemu Wojtkowi. Wypluł z ust dwa wybite zęby oraz strugę krwi, podskoczył do Dawidowicza, zerwał mu z ręki bransoletę z osadzonym w niej zegarkiem, wyciągnął portfel papierami dobrze wypchany i, nie spojrzawszy nawet na bladą jak chusta Zosię, wyskoczył z gęstwiny na drogę.

Wówczas krew rycerska zagrała w żyłach Zosi Dobromilskiej.

Chęć pomszczenia zbójcekiej napaści przemogła nawet strach przed ponowną walką z silnym przeciwnikiem. Podniosła wypuszczoną w czasie szamotania szpicrutę i rzuciła się w pogoń. Kiedy przeskoczyła rów i stanęła na drodze, ujrzała, że wysoki dziad wgramoliwszy się na siodło smukłego kasztana, ruszył w dół drogi. Czarny Szejtan spostrzegł swoją panią i natychmiast przyklusował ku niej. W mgnieniu oka wskoczyła Zosia na grzbiet swojego konia.

Rozpoczęła się szalona, wściekła gonitwa.

Dwaj policjanci przedzierający się ze swym przewodnikiem przez chaszcze leśne usłyszeli strzał także. Przyspieszyli więc kroku i dochodzili właśnie do trzeciego koła spiralnej drogi, kiedy dobiegł ich uszu tętent dwóch cwałujących koni.

— Słyszysz pan? — rzekł szeptem gajowy. — To ona harce urządza.

— Zaraz zrobimy porządek — odparł głośno srogi stróż bezpieczeństwa publicznego.

— Ej, nie zaczepiaj pan licha, bo na psa urok!...

— Głupstwo!.. Kohut, na drugą stronę drogi...

Ukryj się za świerkiem. Jak krzyknę, wyskoczysz, chwycisz jednego konia, ja drugiego.

Posterunkowy wypchnięty siłą na drogę, przeskoczył szybko wolną przestrzeń i zapadł skwapliwie między krzaki, ślubując sobie w duchu, że w każdym razie nie będzie pierwszy zaczepiał niesamowitej władczyni ponurych ruin zamczyska.

Komendant posterunku wraz z gajowym odchylił gałąź świerku i z naprężeniem czekali ukazania się piekielnych rumaków.

A tętent zbliżał się z każdą sekundą.

Wreszcie na zakręcie zamajaczył łeb koński.

Rozległ się ryk przest్రachu.

— To Wojtek!... durny Wojtek! — wyszeptał gajowy, a schroniwszy się za plecy starego policjanta, wskazał na jeźdźca w łachmanach, który z wrzaskiem wysunął się spoza zakrętu. Wojtek trzymał się oburącz siodła, głowę pochylił naprzód, piętami bódł swego wierzchowca i krzyczał, i pędził na złamanie karku.

Dwie sekundy później poznali świadkowie zajścia przyczynę przest్రachu czy bólu szaleńca. Bowiem tuż za kasztanem wyłonił się rumak czarny jak smoła, a na nim młoda dziewczyna, w czarną pelerynę odziana. Amazonka raz po raz równała się z uciekającym wariatem i siekła go bez litości szpicrutą po łbie skudlonym, po karku, po plecach.

— To ona! — zasyczał gajowy do ucha towarzyszowi i chwycił go kurczowo za rękę. — Poznaje... Wygania teraz dziada z swego zamku. Na rany boskie, nie wylaż pan, panie komendancie, bo będzie nieszczęście!

Komendant niby to się wydzierał, lecz rad był w duchu że mu ktoś przeszkadza w legitymowaniu

piekielnej zjawy. Ale przecież należało coś przedsięwziąć, bo konie dobiegały właśnie kryjówki trzech mężczyzn...

— Kohut... Trzymaj!... łapaj! — huknął komendant tak potężnie, że mijający go właśnie kasztan uskoczył w bok i omal nie wpadł na czarnego ogiera, pędzącego tuż obok w tej chwili.

Ale Kohut ani nie trzymał, ani nie łapał, tylko siedział spokojnie za parawanem utworzonym przez dolne gałęzie dwóch świerków sąsiadujących z sobą. Dopiero kiedy tętent ścichł i oddalił się znacznie, dopiero kiedy nie tylko komendant posterunku ale także zabobonny gajowy wyleźli na drogę i jęli się rozglądać na wszystkie strony, dopiero wówczas wygramolił się ze swej kryjówki Kohut.

— Dlaczego posterunkowy Kohut nie wypełnił rozkazu? — zapytał nader groźnie komendant posterunku.

Kohut wyprężył się służbiście i już usta otwierał z jakąś odpowiedzią, kiedy gdzieś w górze, gdzieś blisko ruin padł strzał.

— Oto!... Słyszał pan?

— Słyszałem.. Tam jeszcze ktoś jest.

— No, oczywiście... Sam by rewolwer nie wypalił.

— Panie komendancie, poszedłby ja zbadać — ofiarował się Kohut, zadowolony, że huk wystrzału odwrócił uwagę zwierzchnika w inną stronę i burza z powodu niezatrzymania piekielnej zjawy przeminęła szczęśliwie.

Komendant łypnął podejrzliwym wzrokiem. Takiś ty mądry? — pomyślał — chciałbyś sam tego redaktora nakryć i mój tysiączek mi sprzątnąć sprzed nosa? — Głośno zaś rzekł:

— Posterunkowy Kohut pójdzie na dół zobaczyć, dokąd podążył dumny Wojtek i ta czarna panna. Zrozumiano?

— Rozkaz, panie komendancie — jęknął Kohut pozbawiony w ten sposób udziału w nagrodzie za odnalezienie Dachsbergera.

— Więc: marsz w drogę... A my, panie gajowy, pójdziemy zobaczyć co tam za raubszyce poluje koło ruin.

W ten sposób ekspedycja karna przeciwko wariatom i zagubionym redaktorom rozdzieliła się na

dwa korpusy, z których jeden, w osobie posterunkowego Kohuta, ruszył niezmiernie powoli, ociężale i bez zapалу bojowego w dół ślimakowatej drogi, a drugi korpus, o sto procent liczebnie większy, odmaszerował spieszenie w górę, skąd dobiegło właśnie echo dwóch dalszych strzałów.

* * *

Przeszła może minuta, może więcej trochę, zanim Andrzej Kaszowski ochłonął ze zdumienia. Podszedł do Krzysi, objął ją delikatnie ramieniem, a lewą ręką ujął jej obie dłonie na piersiach zaplecione.

— Otrząśnij się, kochanie — powiedział bardzo łagodnie, opanowując lekkie drzenie w głosie. — Ulegliśmy wspólnemu złudzeniu, że ktoś tam stoi w bramie... Kolektywna sugestia po prostu... Mówiliśmy o niej, raczej ty mówiłaś, a ja słuchałem, ale myślami przeniosłem się w ową epokę, kiedy ona żyła. Powiem ci nawet, dziecinko, że tak dalece pozwoliłem się unieść wodzom fantazji, iż wydało mi się, jak gdybym ja był owym Leszkiem Tatarczukiem, a ty biedną Beatrycze

Herburtową...

Andrzej umilkł, gdyż Krzysia poczęła się nagle trząść jak w dreszczach, a z oczu spłynęło jej kilka dużych, czystych jak brylanty, łez. Nie wiedział, że to samo porównanie, o którym mówił właśnie, dawno już przyszło na myśl dziewczynie, że dzięki swej nadmiernej wrażliwości i bujnej imaginacji rozmyślała nad ową dziwną analogią przez te sześć nocy ostatnich, z cicha popłakując, dopóki sen jej nie zmorzył. Bo analogia aż się w oczy rzucała: więc chory ojciec bohaterki, Marek Pazzi z Florencji odpowiadał choremu panu Augustowi, para kochanków, Beatrycze i Leszek, to Krzysia z Andrzejem, nawet poczciwy ksiądz Mazurowicz mógł od biedy reprezentować uczonego biskupa Macieja. Krzysztofa Herburta zastępować miał Dawidowicz. Wprawdzie Dawidowicz zyskiwał niezmiernie na porównaniu z zacnym senatorem, jeśli chodzi o zalety serca, lecz miał być tak jak tamten mężem narzuconym, niekochanym, może nawet znieawidzonym.

Więc przypomniała sobie Krzysia owe podobieństwo roli, którą trzeba będzie odegrać na twardej scenie życia i cichy początkowo płacz

przeszedł w łkanie głębokie, serdeczne.

— Jaka... ja... nieszczęśliwa — szeptała, tuląc się do zdziwionego tym wybuchem oraz słowami Andrzeja. Z wielkim trudem zdołał ją uspokoić i nakłonić, aby powróciła na dawne miejsce na głazie.

Po jakimś czasie uspokoiła się Krzysia zupełnie. Ujęła dłonie towarzysza i patrząc mu w twarz bardzo poważnie, a smutnie zarazem, zaczęła:

— Jędrusiu!... Ja nie w tym celu zaaranżowałam dzisiejszą naszą wycieczkę, aby ci opowiedzieć do końca historię biednej Beatryczy... Nie... Inne miałam powody... i o nich właśnie chcę teraz mówić. Jędrusiu, wierzaj mi, że dławią mnie te słowa, ale mówić muszę... muszę i ty chciej mnie cierpliwie wysłuchać do końca... Więc... Nie! Nie mogę... Przez usta mi to wyznanie nie przejdzie... Ale trudno... Słuchaj!... Ojciec mój...

Tu urwała Krzysia, bo w ciszę leśną padł odgłos brutalny... strzał.

Spiętrzone mury ruin odpowiedziały echem.

Oboje młodzi zerwali się błyskawicznie i jęli niespokojnie nadsluchiwać. Krzysia zamknęła oczy, a rysy jej twarzy zdradzały wielkie napięcie ducha.

Wreszcie, nie odmykając powiek, zaczęła mówić cichuteńko, szeptem tak słabym jak ruch skrzydeł konającego motyla:

— Ten... strzał... zaważył w życiu moim... w życiu nas wszystkich, Jędrusiu... Coś się stało, coś strasznego, co jednak w skutkach swych będzie dobre... jedyne... Ja to przeczuwam... sercem.

Andrzej zauważył, że Krzysia słania się na nogach. Podprowadził ją więc do głazu, na którym przed chwilą siedziała, otoczył ją ramieniem łagodnie i powtórnie uspakajać zaczął.

— Jesteś bardzo zdenerwowana, Krzychna najdroższa. Nie lękaj się... Pewnie któryś z gajowych wystrzelił na postrach lub do wiewiórki.

Krzysia zaprzeczyła ruchem głowy:

— Nie — odparła. — Strzału nie lękam się wcale. Ja tylko myślę, że skoro ją widzieliśmy, tam w bramie, to snadź wielkie groziło nam niebezpieczeństwo, lecz ona je odwróciła od nas... Nie przecz mi, Jędrusiu. Widziałam ją tak dobrze, jak ciebie teraz widzę... Zauważyłam nawet, że jest do mnie podobna, a raczej ja do niej.

Znowu Andrzej począł wygłaszać swoje teorie, że zjawienie się Czarnej Pani było wytworem rozgorączkowanej fantazji, ale mówił to tylko dlatego, żeby uspokoić narzeczoną, gdyż sam wierzył święcie, że czarne zjawisko stało tam w bramie czas dłuższy, że była to ta sama zjawia, którą ujrzał wówczas u przeprawy przez San, kiedy wezbrane wody zniosły środkowe przesło mostu. Toteż jego mało przekonywające wywody nie wywarły na Krzysię najmniejszego wrażenia i w niczym jej wiary w ukazanie się Czarnej Pani nie zachwiały.

A czas biegł...

I znowu padł strzał, lecz tym razem bliższy, wyraźniejszy, głośniejszy.

Andrzej nie miał przy sobie żadnej broni oprócz niewinnej szpicruty. Pomimo to jednak pobiegł do bramy naprzeciw zbliżającego się niebezpieczeństwa, zakławszy wprzód Krzysię, aby się ukryła za zrębem muru i nie ruszała się stamtąd, dopóki on nie powróci.

Dopadłszy długiej, trochę mrocznej w pośrodku sieni, począł się skradać wzdłuż ściany i stanął wreszcie u zewnętrznego wylotu bramy. Usłyszał też natychmiast

śmiej, który mu krew w żyłach zamroził.

Nie był to właściwie śmiej, lecz wycie niesamowite, jakby urywkowe szczekanie zbitego psa. Po chwili wychylił się spomiędzy drzew człowiek niski, dobrze zbudowany, o świecącej z daleka łysinie... W dłoniach trzymał rewolwer, który podrzucał wysoko i łapał go z większym lub mniejszym szczęściem, skutkiem czego broń spadała niekiedy na murawę. Wreszcie uderzyła raz o kamień i wypaliła a kula poszła w krzaki.

Huk wystrzału ucieszył wariata bezgranicznie. Ucałował rewolwer, przycisnął go do piersi i wymierzył w bramę zamczyska. Andrzej cofnął się przeczornie. Kulka gwizdnęła gdzieś blisko; odłamała kawałek tynku czy cegły z przeciwniejszej ściany sieni. Potem wysunął Andrzej głowę z kryjówki i ujrzał, że wariat ogląda z wielką uwagą swoją broń.

— Wystrzelał wszystkie naboje... Chwała Bogu!
— pomyślał z ulgą, widząc, że rewolwer szczeka tylko, lecz nie oddaje nowych wystrzałów.

Obłąkany rozpoczął teraz dalszy punkt programu swego przedstawienia to jest zwariowane płasy.

Wykonywał jakieś ogromnie skomplikowane figury, usiłując daremnie założyć nogę za kark. Przy tych ekwilibrystycznych wysiłkach przewrócił się oczywiście na ziemię, co mu jednak bynajmniej nie zepsuło humoru. Rżał jak koń, miauczał, szczekał, wył i śmiał się na przemiany, robiąc przy tej okazji ohydne grymasy. Twarz kurczyła mu się jak u buldoga, którego się drażni końcem kija.

Zachręściła gałąź przy świerku rosnącym u wylotu drogi.

Spoza zielonej zasłony wysunęła się lufa karabinu i czapka policjanta, a chwilę potem dubeltówka oraz zielony kapelusz gajowego.

Wilczymi susami podbiegli dwaj mężczyźni do wariata, siedzącego tyłem do nich a twarzą do bramy zamczyska.

— Mam cię ptaszku! — huknął triumfalnie komendant posterunku.

— Witaj Ulpianie — odparł Dachsberger przyjaźnie, usiłując objąć zdumionego i zaskoczonego takim wylewem czułości policjanta.

— Nie zawracaj pan głowy z jakimś Ulpianem..

Aresztuję pana w imieniu...

— Aresztować? Mnie aresztować? Mnie cezara? Ha, straży... bywajcie!... Wrzucić mi do lochów tego zuchwalca!...

— Nie graj pan wariata... Proszę ze mną po dobroci, bo skuję.

— Niewolniku! — wołał Dachsberger, szamocąc się z dwoma silnymi przeciwnikami — psom każę cię rzucić na pożarcie... Zastrzełę cię tak, jak tamtego buntownika zastrzeliłem.. Nie wierzysz?... Pójdź, pokażę ci, abys zoczył własnymi oczyma i padł na twarz przed potężnym cezarem.

Komendant nadstawił ucha ciekawie. Może on naprawdę zwariował przy głupim Wojtku. Trzeba go zażyć z mańki... Ha, spróbujmy. — Tak postanowiwszy, złożył komendant posterunku PPP w Olchowej poważny ukłon przed szaleńcem i nie puszczając z żelaznego uścisku jego ramienia, rzekł w te górnolotne, jak mniemał, słowa:

— Wielki cesarzu, miłościwie nam panujący... Ja jestem komendant posterunku, to jest, chciałem powiedzieć, twojej straży pałacowej, a ten tu gajowy,

co oczy wytrzeszcza, pilnuje twoich lasów. Racz nas zaprowadzić do miejsca, gdzie leży zastrzelony buntownik, abyśmy go mogli pogrzebać.

— Podobasz się, Ulpianie, cesarowi.. Pokażę ci tedy łotra, który ośmielił się podnieść rękę na mego przyjaciela Wespazjana. Idź przodem i rozpędzaj tłumy pospólstwa...

— Wielki cesarzu, ja już wolę iść z tyłu.. Nie jestem godzien, jak Boga kocham.. Nie jestem..

Po krótkim wzajemnym ceremoniuowaniu się, ruszyli wszyscy trzej w powrotną drogę. Gajowy podniósł leżący na ziemi rewolwer i umieścił go w kieszeni.

Zaciekawiony przebiegiem zajścia Andrzej, przywołał Krzysię. Razem poszli w tropy tamtej trójki.

— Oto jest ów podły niewolnik, którego ubiłem własną mą dłonią. Podziwiającie siłę i zręczność cezara — rzekł z patosem Dachsberger, wskazując na bezwładne ciało Dawidowicza, którego twarz pokryła jedna wielka plama krwi szkarłatnej.

Teraz komendant przestał żartować. Pomimo oporu oraz gwałtownej obrony, skuł dłonie „cezara”, który obrzucił „buntownika” stekiem takich

przekleństw, że nadchodząca właśnie z Andrzejem Krzysią, cofnęła się czym prędzej na drogę.

Gajowy dojrzał przybyłą parę, poznał córkę dziedzica Dobromilówka i skłoniwszy się grzecznie, przystąpił do ratowania nie dającego znaków życia mężczyzny.

Chwilę później nadbiegł z dołu policjant Kohut. Twarz miał zaleknioną. Znać było, że nie gorliwość służbowa, lecz strach zmusił go do zaprodukowania takiej chyżości w „biegu na przelaj”.

Zobaczywszy Krzysię, stanął jak wryty i przetarł oczy dłonią:

— Taż ja nie pił nic dzisiaj — bąknął na swoje usprawiedliwienie, ujrawszy sobowtóra czarnej zjawy, która przepędziła konno koło niego i okładała razami szpicruty uciekającego Wojtka, a którą widział przed chwileczką tam na dole, na skrzyżowaniu dróg.

— Czy posterunkowy Kohut zbaraniał do reszty? — przywołał go do porządku nasrożony komendant zdziwiony niepolitycznym zachowaniem się podwładnego.

— Panie komendancie, melduję posłusznie jako ten

czarny czort, mam rzec: ta pani, co gonila durnego Wojtka, lezy na ziemi bez ducha...

— Co? Jak? Gdzie? — posypaly sie pytania.

— Na rozstajach lezy, melduje pos...

— Miales ja arestowac!...

— Nie smialem, panie komendancie... Zreszta ona lezy...

— Lezy, czy stoi, wszystko jedno. Panie gajowy, pan tu pozostanie przy rannym, a ja pojde zobaczyc na dol... tego ptaszka wezmieniemy ze soba. Kohut, patrz... Odszukałem tego redaktora... Wez go teraz za kark i prowadz za nami, a trzymaj dobrze, bo mocny, jak prawdziwy wariat...

Zosia pedzaca za Wojtkiem, zmeczyła sie juz porzadnie tluczeniem go po plecach i ruka uzbrojona w szpicrute poczela jej zwisac... W podnieceniu zapomniala zupełnie, ze posiada przy sobie rewolwer, wiec umyslila gonic draba az do tej chwili, kiedy wydostana sie z lasu i spostrzegą ludzi. Wówczas poleci chwycic zlodzieja (ukradł wszakze portfel Karola), poleci oddac go policji.

Gnając tak w pedzie szalonym, dobiegli oboje az

do skrzyżowania dróg. Wówczas odchylona i puszczona przez Wojtka gałąź uderzyła tak potężnie w piersi piękną amazonkę, że spadła ze siodła. Straciła przytomność. Lecz wariat zbyt był przerażony dotychczasowym pościgiem, czy otrzymanymi razami, aby się oglądać poza siebie... Okładał swego wierzchowca kulakami, walił bosymi piętami i zmykał, co wlezie...

Dobre dziesięć minut przeleżała Zosia w omdleniu. Nie słyszała ani smutnego rżenia swego konia, ani później chrzęstu rozchylanych gałęzi. Nie widziała więc także wysuwającej się spoza świerku przerażonej twarzy policjanta, nie słyszała wreszcie pospiesznego tupotu nóg umykającego Kohuta.

Coś miękkiego, wilgotnego musnęło jej twarz kilkakrotnie.

Otworzyła oczy... Ujrzała pochylony nad sobą kształtny łeb Szejtana i jego wielkie, zaniepokojone ślepia. Oburącz pochwyciła zwisającą uzdę... Z pomocą tej windy jęła się powoli dźwigać z ziemi.

Bolały ją wszystkie kości, w głowie szumiało przedziwnie a serce tłukło się niezdolnie. Walilo tak

mocno, jak gdyby chciało przebić swą ciasną klatkę i na zewnątrz się wydostać.

Teraz dopiero ogarnął ją lęk przeraźliwy. Poprzednie szamotanie się z silnym przeciwnikiem, widok walki dwóch mężczyzn, widok skutku strzału, danego z takiej bliskości w twarz nieoczekiwanego wybawcy... wszystko to było niczym w porównaniu z przeświadczeniem, że leżała teraz sama, bezbronna, zemdlona, leżała, Bóg wie jak długo, w puszczy leśnej... Na samą myśl, że obłąkany mógł przecież w każdej chwili powrócić, czuła, że jej nogi się chwieją. A wszakże wariat mógł jeszcze teraz powrócić.

Owładnęła ją przemożna chęć ucieczki z tego odludzia. Ponury pałac w Żabnie, wydał jej się miastem najludniejszym w świecie w porównaniu z tym otoczeniem drzew milczących, z tymi niebezpieczeństwami.

Z największym wysiłkiem woli oraz mięśni wgramoliła się na siodło. Ruszyła z miejsca. Bicie serca zwiększyło się jeszcze, głowa kiwała się i chwiała we wszystkie strony, ale Zosia była dobrym jeźdźcem. W siodle czuła się może nawet lepiej niż na własnych

nogach.

W myślach panował wielki chaos... Bohaterowie legendy o Beatrycze Pazzi, której lekturą zajmowała się z niemniejszym zainteresowaniem od Krzysi, Marek Pazzi, biskup Maciej, Herburtowie, Soderini, Baldassare i inni, pomieszali się cudacznie z osobami, które Zosia dzisiaj spotkała w czasie swej niefortunnej wycieczki w ruiny... Spoza każdego krzaka czaił się jakiś złowrogi Tatar mający rysy Soderiniego, drugi raz głupiego Wojtka, lub łysego wariata...

W obolałej głowie tkwiła uporczywie tylko jedna myśl przytomna: Jak najprędzej wydostać się z lasu i wrócić do Żabna... Uciekać z tych miejsc strasznych... przeklętych... złowrogich...

— Tu, panie komendancie... tu ona leży.

— No, idźże śmiało.

Kohut zdobył się na bohaterski wysiłek i pchnął świerk silnym ramieniem. Ale natychmiast mina mu zrzędła. Rozczarowanie, osłupienie walczyło o lepsze z radością, że niesamowita istota znikła bez śladu...

— Gdzie posterunkowy Kohut widział tę... tam... czarną?...

— Tu, panie komendancie była... Tak, proszę wierzyć.

— Jakże mam wierzyć, kiedy nie ma nikogo — odparł już dużo łagodniej komendant posterunku, powstrzymując z trudem wybuch śmiechu na widok fizjonomii podwładnego.

— O, proszę... są ślady. Czort, bo czort, a przecież zostawił.. Trawa starszona dokoła. Gałęzie złamane; ot koń tu stał, bo pozostawił ła...

— Hemhemhem! — chrząknął strasznie głośno komendant, gdyż właśnie zbliżała się Krzysia, a za nią Andrzej prowadzący oba wierzchowce, po które wrócił przedtem do ruin.

Równocześnie jednak Dachsberger dostał napadu wściekłości. Począł miotać ohydne przekleństwa, rzucił się na ziemię, wierzgał nogami, kiedy któryś z dwóch policjantów zbliżyć się doń usiłował.

Komendant posterunku zwrócił się więc z gorącą prośbą do Andrzeja:

— Gdyby pan był łaskaw pojechać konno do wsi lub do dworu i przysłać mi pomoc... Z wariatem dam sobie radę, ale co począć z rannym? Lepiej zresztą, że

panienka nie będzie przy tym, jak wariata uspokoiemy, bo to żaden widok dla młodej hrabianki...

— Słusznie — przytwierdził Andrzej. — Jestem tak ogłuszony wypadkiem mego przyjaciela, że sam się na żaden pomysł nie mogę zdobyć. Popędzimy na przelaj. Za małe pół godzinki przyprowadzę panu pomoc.

Kiedy Krzysia z Andrzejem podcięli konie i znikali na zakręcie, posłyszeli jeszcze ostatni rozkaz komendanta, skierowany do Kohuta.

— Przynieś w czapce wody... Tam biegnie strumyk... Ja tymczasem wytnę sobie pręt odpowiedzialny... Jak woda nie pomoże, to mu wlepimy kilka cesarskich, bo to przecież cesarz, jak sam powiada... Che, che, che, che!

ROZDZIAŁ XVI

Portfel z dokumentami

Po raz pierwszy tego dnia opuścił pan August łoże. Zaczynał ksiądz Mazurowicz zdołał chorego do tego stopnia rozruszać, takim natchnąć optymizmem, że ten zdecydował się wstać i odprowadzić księdza, który się wybierał ponownie do Żabna.

Pogoda była przecudna, słońce grzało jak w lipcu grzać zwykło, ale powietrze nie było ani parne, ani duszne. Więc pan Dobromilski zajął miejsce w powozie, posadził księdza po swojej prawej ręce i kazał wolno jechać stangretowi w stronę dębiny, gdzie dwaj serdeczni przyjaciele mieli się pożegnać. Pan August miał powrócić powozem, a proboszcz przesiąść się na swoją bryczkę, która sunęła krok za krokiem z tyłu, za powozem.

Stanisław Dobromilski i Jadzia kłusowali na swych wierzchowcach w pobliżu obu pojazdów, a widząc, że ksiądz, oraz pan August są zajęci jakąś poufną, poważną rozmową, wysunęli się dość znacznie na czoło

pochodu. Minęli krzyż, który stał na skrócie drogi i zbliżyli się do małej kładki, gdzie rozpoczynała się polna drożyna, wiodąca do lasu i do ruin starego zamku.

Nagle Jadzia zakrzyknęła głośno:

— Ależ pędzą! No, jak wujcio zobaczy, że mu tak konie szanują, to pewnie nie będzie zadowolony.

— Patrz, Jadziu — dodał Stanisław — Krzysia kiwa na nas ręką... Ciekawym co tam nowego wymyśliła,

— Pana Karola nie widzę.

— Co cię martwi...

— O, bardzo proszę... On mi się wcale nie podoba.

— Inaczej przedtem mówiłaś...

— Przedtem, przedtem... Nie pamiętam, czy mówiłam kiedykolwiek inaczej, a jeśli mówiłam, to musiały być powody, że zmieniłam zdanie. Teraz go nie cierpię i już.

— I dlatego pierwsza spostrzegłaś, że to tylko Andrzej z Krzysią się do nas zbliżają — droczył się Stanisław z kuzynką.

Jadzia poczerwieniała. Chciała coś odrzec, lecz już

para jeźdźców zbliżyła się na tyle, że można było ujrzeć ich pomieszanie. W krótkich słowach opowiedziała Krzysia co zaszło, a Andrzej dodał:

— Najlepiej byłoby, gdybyś ty Stasiu powrócił na folwark i przyprowadził kilku ludzi z jakimi noszami.

— Co widzę! — zawołała w tej chwili panna Dobromilska, — Ojczulek na przechadzce? Jadę opowiedzieć mu o wypadku.

— Nie, nie Krzysiu, Lepiej wobec ojca przemilczeć.

— Tak... Staszek słusznie mówi — dodał Andrzej.

— Wiadomość o strasznym wypadku mogłaby wstrząsnąć chorymi nerwami.

— Przecież wujcio i tak musi się dowiedzieć o wszystkim. Godzinę wcześniej czy godzinę później to niewielka różnica. Zresztą teraz jest przy nim ksiądz Mazurowicz, który najlepiej potrafi wujka uspokoić.

Krzysia przytaknęła wywodom kuzynki:

— Jadzia ma rację. Już ja ojcu to ostrożnie przedstawię. Wy zajmijcie się zorganizowaniem pomocy dla pana Dawidowicza... Zresztą nie sądzę, żeby moja relacja tak bardzo zmartwiła ojczulka.

Ostatnie zdanie wypowiedziała młoda Dobromilska takim tonem, że wszyscy troje spojrzeli na nią ze zdumieniem, lecz Krzysia już podcięła konia i pognąła naprzeciw zbliżającego się drogą powozu.

— Papo! — wyrzekła zdyszany od szybkiego pędu głosem. — Panu Dawidowiczowi wydarzyło się nieszczęście.

August Dobromilski zbladł jak kreda. Wlepił oszalałe ze strachu spojrzenie swych źrenic w oczy córki. Spojrzenie to pytało, wdzierało się do serca i mózgu dziewczyny, usiłując wyrwać tajemnicę. Przypomniawszy sobie pan August wieczorną z córką rozmowę i jej słowa, że prócz zamążpójścia za niekochanego przez nią Karola, jest jeszcze drugie wyjście ze sytuacji a tym wyjściem jest... śmierć tego człowieka.

A Krzysia pojęła niemą mowę oczu rodzica i potrząsnęła głową przecząco:

— Strzelił do niego z rewolweru jakiś redaktor Dachsberger.

— Kto??? — wybełkotał August Dobromilski. Ksiądz Mazurowicz spojrział zdumionym wzrokiem na

mówiącą, potem na swojego towarzysza, którego był powiernikiem, którego wszelkie tajniki serca znał dobrze i znał także przebieg zajścia z obydwoma szantażystami.

— Dachsberger — powtórzyła Krzysia. — Jakiś obłąkaniec. Policjanci mówili, że to jest ów zaginiony redaktor, którego od miesiąca poszukują. Brrr! Zakazana fizjognomia!... Och, gdybyś go zobaczył ojczulku. Mały, tęgi, łysy jak kolano, oczy wylupiaсте, rudy zarost, wstrętny typ!... I jak się śmieje!... Jak gdyby konia wilki zarzynały... Ledwie go komendant z drugim posterunkowym skuć zdołał... O, nadjeżdża właśnie pan Kaszowski, który był razem ze mną. Komendant prosił, aby mu zaraz pomoc przysłać, bo pan Karol żyje jeszcze podobno...

— Żyje? — spytał machinalnie pan August. Jakieś ledwie dostrzegalne rozczarowanie zabrzmiało w jego głosie. Ksiądz Mazurowicz spojrzał surowo na przyjaciela i wychowanka, a potem rzekł cicho:

— Będzie, jak Bóg chce. Otrząśnij się, Guciu... Ja doskoczę do tego Dawidowicza... Może tam ksiądz potrzebniejszy, niż lekarz.

Potem zabrał się z młodzieńczą energią do organizowania pomocy. Obaj stangreci, dworski oraz księży, mieli wsiąść na bryczkę proboszcza i podwieźć księdza na miejsce tragicznego wypadku. Stach i Andrzej mieli towarzyszyć konno.

— Ty, Krzyśka siadaj na kozła, zastąp stangreta. Odwieszysz ojca do pałacu, przyślesz nam jakiś wóz dobrze sianem wymoszczony. Jadzia pojedzie z tobą konno. Poprowadzi twego wierzchowca... Nic tam po was, dziewczęta... Nie ma żadnych protestów! Proszę włązić na kozła.

Stary Dobromilski napierał się jednak, aby jechać z księdzem do lasu. Wołał wszystko niż dalszą niepewność i obawę. Nastąpiła więc taka mała zmiana w planach energicznego proboszcza, że pan August przesiadł się na księżą bryczkę a panienki same powróciły do domu. Powozem nie można było jechać polną drogą, gdyż był za szeroki. Natomiast bryczka zmieściła się od biedy, lecz Bartek cudów dokazywał, aby nie dopuścić do wywrócenia.

Na skrzyżowaniu dróg, gdzie Kohut widział Czarną Panią leżącą na ziemi, oraz gdzie stary komendant

posterunku w Olchowej „uspakajał” wariata, nie zastali nikogo. Widocznie policjanci razem z Dachsbergerem powrócili do gajowego na górę. Dalej bryczką jechać nie można było. Przywiązano więc konie do drzew i wyruszono w stronę ruin zamczyska, przy tym Stach i Andrzej nieśli prawie pod ramiona osłabłego ze wzruszenia lecz dygocącego z niepokoju czy ciekawości pana Augusta.

Pierwszy zoczył nadchodzących obłąkany Dachsberger. Wybuchnął najpierw szalonym śmiechem radości, a potem jął krzyczeć na całe gardło pod adresem komendanta, Kohuta i gajowego:

— Ha, psy!... Na kolana przed cezarem.. Oto nadciągają wiernie hufce... pretorianie.

Pan August począł ciężyc oba młodzieńcom nieznośnie, ale chciał być obecny, chciał widzieć wszystko, spojrzeć w oczy obu swych dręczycieli.

— Czy żyje? — zapytał ksiądz Mazurowicz, zbliżając się do leżącego ciała.

— Będzie trzy minuty temu, jak umarł — odpowiedział komendant, a Kohut zrobił nader wymowny ruch ręką.

— Mówił co przed śmiercią — wyjąkał stary Dobromilski, zdobywając się na olbrzymi wysiłek...

— Nie słyszał ja.

— Posterunkowego Kohuta nikt nie pytał. Zrozumiano? — zgromił podwładnego komendant i zwracając się do proboszcza odparł:

— Kiedyśmy mu twarz wodą obmywali westchnął kilka razy i poruszył wargami... Dosłyszałem tylko jedno słowo: papiery. Obszukałem go ale nie ma przy sobie portfela, a zegarek musiano mu zerwać z ręki, bo ma cały przegub podrapany. Badałem ślady dokoła... Ten pan zabity musiał się tu z wariatami mocować.

— Z wariatami? Więc było ich kilku?

— O, księżu proboszczu, nie obyło się tutaj bez głupiego Wojtka. Proszę, tu mam w papierku dwa wybite zęby... Zastrzelonemu nie brakuje żadnego, a ten głupi cesarz także ma kły w porządku... I na gałązkach świerku znalazłem kilka długich włosów kobiecych. Proszę spojrzeć. Czarne jak atrament.

— Czyżby moja tu córka była? — wybelkotał pan August...

— Nie, proszę pana — odpowiedział Kaszowski.

— Byliśmy razem w ruinach, kiedy padł pierwszy strzał, a potem dalsze... Zresztą, proszę. Panna Krystyna ma włosy krótko obcięte, a ten włos będzie miał chyba z pół metra długości.

— Słusznie.

— Nie mówił ja, panie komendancie, że tylko ten czort musiał to wszystko sprawić?

— Kogo pan ma na myśli? — zapytał Stanisław.

— Ech, co on wie, proszę pana hrabiego. Jemu się zdawało, że głupi Wojtek uciekał przed tą... no... czarną... panią, czy jak tam.

— Jak to zdawało? — zaoponował teraz gajowy. Przecież pan także widział doskonale, jak ona przepędziła na cztery wiatry Wojtka i biła go trzcina po głowie. Chyba się pan nie wyprze w żywe oczy. Zasadziliśmy się razem, pan miał wyskoczyć razem z panem posterunkowym, ale baliście się i tamci oboje przelecieli tuż koło nosa.

— Co? Ja się bałem? Pan się bał nie ja. Ja chciałem wyskoczyć z karabinem, kiedy nadjeżdżała, a pan mnie zatrzymał za rękaw.

— No, teraz się pan komendant niechcący

wygadał — rzekł Andrzej. — Nie!... Nie ma pan powodu się wypierać. Ja także nie wierzyłem w duchy, a jednak widziałem ją własnymi oczami dwa razy. Pierwszy raz nad Sanem, kiedy nam wszystkim życie ocaliła, a po wtóre dzisiaj, na dziesięć minut przed pierwszym strzałem.

Ksiądz Mazurowicz, który klęczał od dłuższej chwili przy zmarłym i modlił się w milczeniu, odwrócił głowę, począł ciekawie nadśłuchiwać.

Kwadrans później ruszył smutny orszak w stronę bryczki. Przodem postępowali dwaj posterunkowi, prowadząc szarpiącego się wciąż jeszcze Dachsbergera. Obaj stangreci, gajowy i Andrzej ujęli w ręce naprędce sporządzone nosze, na których spoczywało martwe ciało. Ksiądz Mazurowicz wziął pod ramię pana Augusta, któremu nagle powróciła rześkość i nie potrzebował z drugiej strony podpory. Stanisław zamykał pochód.

Proboszcz rzucił ukośne spojrzenie na swego sąsiada.

— Niezbadane są boskie wyroki... — szepnął mu w samo ucho. Oto myślałeś, iż jesteś zabójcą i wyrzuty

sumienia omal cię nie zapędziły do grobu. Stało się inaczej. Cios twój go nie zabił, ale ogłuszył, a pobyt zapewne dłuższy w jakiejś jamie głazem zapartej pozbawił go rozumu... I tak Bóg zrządził, że on właśnie stał się narzędziem kary dla drugiego winowajcy... Tak... tak... Niezbadane są boskie wyroki!

Tu podniósł ksiądz Mazurowicz oczy do nieba i jał się modlić po cichu.

Lecz stary Dobromilski zatroskał się nagle głęboko. Papiery. To były ostatnie słowa Dawidowicza. Tak... Gdyby te papiery, to jest listy żony, znalazł ktoś same, bez portfela, prawdopodobnie nie byłby z nich mądry, nie odgadłby wagi, jaką posiadają i rzuciłby je w ogień. Ale śmierć Dawidowicza, odnalezienie zaginionego wśród tajemniczych okoliczności Dachsbergera i jego zbrodnia, muszą w rezultacie spowodować przyjazd komisji policyjno-sądowych, śledztwa, wizje lokalne i tysiączne historie, a co najgorsza domysły dzienników czyhających na sensację. W takich warunkach, skoro Wojtek portfel zamordowanego ukradł, wyciągnie z niego pieniądze, a papiery porzuci gdziekolwiek, prędzej czy później dostaną się w ręce podejrzliwych

władz, a co gorsza ciekawej prasy.

Zwierzył się więc biedny pan August ze swoich obaw proboszczowi, ale ów rzekł z głębokim przekonaniem:

— Zbądź obaw i ufaj. Jestem pewien, że Opatrzność tak zrządzi, że papiery znajdzie człowiek uczciwy, który przeczytawszy, odniesie ci je z powrotem.

— A skądże będzie wiedział, że mnie dotyczą? — spytał Dobromilski niecierpliwie, podenerwowany optymizmem i naiwnością swego wychowawcy i przyjaciela.

— Zobaczysz, że jakoś to będzie...

— Stare polskie przysłowie — syknął przez zęby pan August.

I na tym się rozmowa urwała.

Dochodziła szósta, kiedy ksiądz Mazurowicz pożegnał się na drodze z całym towarzystwem Dobromilskich i ruszył w stronę Żabna. Raz jeszcze rzucił wstecz spojrzenie i objął nim powóz pana Augusta, wóz sianem wymoszczony, na którym złożono zwłoki Dawidowicza, Krzysię, Jadzię, które nie

usiedziały w pałacu, lecz pod pozorem zaprowadzenia ludzi i wozu wyjechały na spotkanie ojca, ujrzał Stacha, Andrzeja i kilku ludzi dworskich, posłał ostatnie pożegnanie ręką, a potem zagłębił się w rozmyślaniach.

Jeden problem miał do rozwiązania, a mianowicie, czy należy powiedzieć Augustowi Dobromiłskiemu, że Zosia, adoptowana przez Huberta jest rodzoną siostrą Krzysi, czy też lepiej zamilczeć o tym i pozostawić wypadki ich naturalnemu biegowi.

Ale nie dane mu było zbyt długo się biedzić nad rozstrzygnięciem owego pytania, bo Bartek począł ściągać konie lejcam i hamować.

— Cóż tam nowego? — spytał proboszcz.

— Jakisik koń na nas leci... O, jak mu to strzemiona bimbają.

— Aha... Widzę... Złap go...

— Ba, ale jak? Jak tu zatrzymać taką rozpędzoną bestyję...

— Ty byś nie potrafił? Ty, najlepszy stangret w Rzeczypospolitej? Che, che, che, che, Bartek... Nie daj się wyśmiać.

Proboszcz wiedział dobrze, którądy utrafić w

ambicję woźnicy. Migiem zlął Bartek z kozła, odrzucił bat i pochwyciwszy garść owsa z woreczka, wyszedł na spotkanie kłusującemu kasztankowi. Proboszcz tymczasem dzierżył lejce swoich koni..

— No co? Czyj koń może być? Jeźdźca widzę zgubił.. — rzekł ksiądz, kiedy Bartek przyprowadził zdobycznego rumaka.

— Widzi mi się, że z tutejszego dwora... O, są znaki na derce pod siodłem.. Naturalnie, że hrabski koń.. Ja bym nie poznał?

— Przywiąż go z tyłu... Odprowadzimy go jutro... A teraz w drogę, aby nas noc nie zaskoczyła, bo znowu byś wywalił do rowu, jak wtedy.

Szkarłatne rumieńce wybiegły na tłuste policzki Bartka, „najlepszego stangreta w Rzeczypospolitej”. — Już ta kanonik umieją dopiec — pomyślał i ruszył z fantazją, aby jak najprędzej zatrzeć wspomnienia owej niefortunnej jazdy nocnej, kiedy to Stróżikówna umarła i kiedy po dobrze zakropionej kolacji w Dobromiłówku odwoził proboszcza do Lipin.

Słusznie proboszcz przewidywał, że skoro jest wierzchowiec, to niedaleko musi być i jeździec. Jakoż

pół kilometra dalej, ujrzeli w rowie przydrożnym dziada wijącego się z bólu. Salto mortale ponad przykopą przyplącił głupi Wojtek złamaniem nogi i teraz był wniebogłosy, lub stękał na przemiany.

We dwójkę z Bartkiem załadowali wariata na bryczkę i ruszyli w dalszą drogę. Ksiądz nachylił się po jakiejś chwili do nieoczekiwanego towarzysza podróży i spytał:

— Tyś zastrzelił tego pana koło ruin?

— Nie ja, nie ja, nie ja — jęczał obłąkany, patrząc całkiem przytomnie w oczy księdza, który pomyślał zaraz: — Teraz przyszło nań ludicum intervallum.. Zapewne pod wpływem bólu. Ha, korzystajmy więc i indagujmy dalej.

— A kto go zabił?... Tylko gadaj prawdę, bo policja już tam jest.

— O rety!... Ja nie krzyw... Ten łysy strzelił, com go ze studzienki w zamku wydobył..

— Więc tyś go wydobył.. A portfel kto ukradł?

— Portfel? — Dziad począł mrugać, udając, że nie rozumie pytania. Jęczał przy tym dwa razy tak głośno jak przedtem.

— Nie stękać Wojtek, lecz gadaj zaraz.. Dasz portfel, czy mam cię kazać Bartkowi obszukać?

— Dam — odparł Wojtek, który w międzyczasie zdołał już wyciągnąć banknoty i ukryć je w niezbadanych zakamarkach swej postrzępionej odzieży.

— Nic nie zabrałeś? — spytał znów ksiądz, zagładając do wypchanego papierami portfelu.

— Co miałem zabrać? Oddaję jak beł..

— Zaraz się przekonam,

Ale ksiądz Mazurowicz nie miał najmniejszych kwalifikacji na urzędnika policyjnego i minę miał taką pocziwą, że dziad mruknął w duchu:

— Co ty możesz wiedzieć, co tam było. Nic ci wiecej nie dom.

W najbliższej wsi pozostawił ksiądz Mazurowicz głupiego Wojtka w chałupie wójtowej, przykazując, aby natychmiast wysłano podwodę po doktora. Nie odjechał też prędzej, aż pomrukliwy jak niedźwiedź naczelnik gminy nie zaprzągnął swoich chabet i nie wyekspediował drągowatego synalka do pobliskiego miasteczka.

Dopiero wówczas poleciał ruszyć w dalszą drogę do

Żabna i zajął się przeglądaniem z grubsza korespondencji nieżyjącej hrabiny Zofii. Zdziwił się trochę, ujrawszy obok oryginałów także odpisy, ale przypomniał sobie natychmiast, co Gucio mówił o przebiegłości Dawidowicza.

Potem wyjął wszystkie sześć listów, oraz sześć kopii sporządzonych przez Karola i wpuścił to wszystko do swojej przestronnej kieszeni, natomiast portfel wręczył Bartkowi ze słowami:

— To oddamy jutro panu komendantowi z Olchowej. Daję ci, bo ja bym zapomniał... Żeby mi tam ani świstek nie zginął... Wszystko przeliczyłem, uważasz..

Bartek zrobił minę urażoną srodze:

— Ksiondz kanonik mi furt dopała nie po sprawiedliwości.

— Nie po sprawiedliwości, powiadasz.. Hm.. A jak to było z tymi papierosami księdza wikarego w kancelarii parafialnej? Zapomniałeś?

— Prrrrr... Ta bestyja narency... się narowi — zagadał nagle Bartek i przeciągnął batem niewinnego gniadosza.

— Nie dziwota, że się narowi... Jaki stangret, taki koń — odparł proboszcz, któremu do zdrowia potrzebne były małe utarczki z ulubionym Bartkiem.

Bartek przegrał jak zwykle i umilkł, a proboszcz mógł znowu powrócić do swoich rozmyślań. I monologował w duchu: — Hania Strózikówna, świeć jej Panie, prosiła, abym powiedział Zosi czyją jest córką... Tak... Lecz dodała zarazem, że mam powiedzieć, jeżeli wyrozumię, że z tego co dobrego by przyszło. Ale czy warto?... Gucio nic nie wie do tej pory, kto jest ojcem Stasia... I lepiej niech się nie dowie... Bo po co? Właśnie zdołałem obu braci nakłonić, aby sobie ręce podali do zgody... Taka wiadomość rozłączyłaby ich na zawsze... A i Hubert biedaczysko nacierpiał się dosyć... Niech ma tę pociechę z córki.. Jakby się dowiedział, że to nie jego dziecko, byłby nowy bigos, a Zosieńka nie miałyby właściwie swojego domu. Tych z Dobromiłówka nie zna zupełnie. W Żabnie zaś nie miałyby po co zostawać u stryja... Tylko jeszcze jeden sęk został... Co będzie, jak się obie Dobromilskie razem zejną... Każdego uderzy tak niesłychane podobieństwo... Tu trza coś

obmyślić mądrego... Hm, hm... Niechby już reszta została po staremu... Tak... tak. Niech już zostanie...

Bartek zaś wywarł swą złość na koniach z takim skutkiem, że wbrew wszelkim przewidywaniom zajechała bryczka jeszcze przed nocą pod taras pałacowy.

Pięć minut później witał ksiądz Mazurowicz drugiego wychowanka, który usprawiedliwił swe zwleknięcie nagłą chorobą córki.

— Zosia chora? No, proszę... Ja myślałem, że ona gdzieś gania konno po lasach i górach, jak to jest w jej zwyczaju. Chyba nic ciężkiego. Co, Hubercie?

— Ja też tak myślę. Wróciła przed godziną i zaraz poszła do łóżka. Uskarża się na serce.

— Serce? Ha, to dobry znak. Będzie wnet wesele.

— Ależ nie to miałem na myśli — odparł śmiejąc się Hubert. — Zosieńka cierpi chwilami na jakies duszności i bicie serca. Umyśliłem też właśnie zmienić klimat dla niej i wyjechać...

— A toś w sedno utrafił... Naturalnie, że tak najlepiej. Tylko zanim wyjedziesz, musisz się ze mną kopnąć do Dobromiłówka. Choćby jutro.

— Hm, hm, hm? Cóż August? Bardzo na mnie zawzięty?

— Ha, ha, ha, Hubercie kochany... On się dziś o to samo pytał, czyś ty na niego zawzięty.

— Więc ślicznie... Pojedziemy razem.. Szkoda tylko, że Zosi nie mogę zabrać ze sobą...

— Nie szkoda, Hubercie, lecz szczęście, że możesz jej nieobecność usprawiedliwić chorobą i nie skalasz się przy tym kłamstwem, bo chora istotnie... Po cóż ją zabierać? Tyś Krzysi dawno nie widział, ale ja ci mówię, że nie odróżniłbyś obu dziewcząt... Dopieroż by były domysły, spojrzenia. Tak będzie najlepiej... Zresztą oni słyszeli, że dzwoniło, ale nie wiedzą w którym kościele. August dowiedział się niedawno, że adoptowałeś jakąś dziewczynkę i sądzi, że ona jest gdzieś w szkołach czy zagranicą. Zrób tak, jak ja ci radzę, a będzie wszystko dobrze... I nie martw się, że brat ci może krzyw będzie... Nie, chłopcze... Ja mu jutro przywiozę taki gościniec, że będzie tańczył z radości... Ho, ho...

Tu klepnął się proboszcz po kieszeni, gdzie tkwiły listy, które zrządzeniem losu, poprzez niepowołane ręce

Dachsbergera, Dawidowicza i głupiego Wojtka, miały wreszcie powrócić na właściwe miejsce. Aby zaś uniknąć dopytywań ze strony Huberta, począł ksiądz mówić prędko:

— Urwis ta twoja Zosia... Dzisiaj nastraszyła znów gajowego i policjantów... Ha, muszę jej uszu natrzeć... Zaprowadź mnie teraz do niej. Omówimy razem program waszej zagranicznej podróży... I natrę uszu, jak mi Bóg miły... zburczę tę „Czarną Panią”, że mi parafian straszy, jak mnie kiedyś nastraszyła...

I skończyło się wszystko szczęśliwie, jakby w jakiej powieści.

Hubert Dobromilski wyjechał z Zosią na Rivierę, Andrzej zaręczył się z Krzysią oficjalnie, a panu Augustowi wrócił na zawsze spokój ducha i zdrowie... Czarna Pani przestała się ukazywać, lecz długo, bardzo długo jeszcze bajano o niej po chatach wieśniaczych i w karczmach przy kieliszku. Ale prawdziwym bohaterem całej okolicy został komendant posterunku PPP z Olchowej, który prócz dziesięciu nowiusieńkich stuzłotóweczek zdobył łup, jakim się nikt nie mógł poszczycić, a jaki zdobył pono własnoręcznie w

niebezpiecznej do ruin wyprawie. Owym łupem był długi, czarny włos niesamowitej Czarnej Pani...

KONIEC